

**DAVID MORRELL**

**NOCNA UCIECZKA**

(Nightscape)

## Wstęp

Moja matka nie lubiła drzwi sypialni. Wręcz nie cierpiała. Kiedy dorastałem, po każdej przeprowadzce do nowego mieszkania (czasem nad barem) niemal natychmiast wyjmowała drzwi sypialni. Podejrzewam, że między innymi po to, żeby ten pokój stracił atmosferę prywatności i żeby mój ojczym czuł się nieswojo przy grze wstępnej, wiedząc, że leżę blisko w sypialni bez drzwi i wszystko słyszę.

A słyszałem dużo. Moja matka miewała w nocy koszmary. Często nie mogłem zasnąć, bo rzucała się i pojękiwała, jakby walczyła we śnie z czymś strasznym. Nigdy nie opowiadała o tych mękach (a ja nie czułem się w naszej rodzinie na tyle swobodnie, żeby pytać), ale domyślałem się z tego, co mamrotała przez sen, że chodzi o pożar. Myślę, że główną przyczyną wyjmowania drzwi sypialni był strach. Większość ludzi zamyka drzwi sypialni przed pójściem spać, to daje im poczucie bezpieczeństwa. Ale moja matka czuła się wtedy uwięziona. Osaczona. Schwytana w pułapkę. Uważała, że cokolwiek dręczy ją we śnie, może się w rzeczywistości skradać w holu i czaić do skoku. Lepiej zostawiać drzwi otwarte, żeby słyszeć zbliżające się niebezpieczeństwo i być gotowym.

Choć nie znałem treści jej nocnych koszmarów, dowiadywałem się o jej rzeczywistych strasznych przeżyciach, bo często mi o nich opowiadała (po tym, jak mój ojczym wybrał na rodzinne kłótnie porę kolacji, żeby móc wypadać jak burza z mieszkania i grać ze swoimi braćmi w pokera). Moja matka miała na imię Beatrice i ilekroć myślę o jej ponurym życiu, przypomina mi się dla kontrastu Beatrice Dantego, symbol piękna i prawdy. Moja matka ukrywała swój prawdziwy wiek, więc trudno powiedzieć, kiedy zaczął się ten koszmar na jawie. Ale pewnie około 1910 roku na

farmie na południu Ontario w Kanadzie, gdzie było wtedy tyle koni, ile samochodów. Jej matka umarła przy porodzie, a ojciec poślubił siostrę zmarłej żony (dla niektórych to kazirodztwo). Winiła ona moją matkę za śmierć swojej siostry. Matka miała starszą siostrę Estelle, która zdaniem macochy wszystko robiła dobrze. A moja matka, według niej, wszystko robiła źle. Dlatego często dostawała lanie. Opowiadała mi, jak kiedyś cały dzień chowała się pod gankiem, a macocha czekała na nią z kijem. Opowiadała też, jak kiedyś włożyły z Estelle swoje najlepsze sukienki, bo wybierały się na przyjęcie. Gdy wyszły z domu na farmie, macocha podkraǳła się do nich i rzuciła w moją matkę zdechłym świstakiem, którego już zżerały robaki, brudząc jej sukienkę. A Estelle pozwoliła pojechać bryczką na przyjęcie (moja matka kochała siostrę i cierpiała po jej śmierci w młodym wieku na raka piersi). W tych opowieściach przewijał się nigdy niewyjaśniony wątek o nocnym strachu; coś o ogniu.

Kiedy moja matka miała szesnaście lat, uciekła z domu do klasztoru, gdzie jakoś udało jej się doczekać pełnoletności. Potem przeniosła się do wielkiego miasta odległego o setki kilometrów. Pracowała w fabrykach i wykorzystywała swoje umiejętności krawieckie (przyjemnie było pa-trzeć, jak szyje na maszynie). W końcu poznała mojego ojca George'a, pilota bombowego RAF-u, przydzielonego podczas II wojny światowej do szkolenia kanadyjskich lotników. W 1943 roku, wkrótce po moim urodzeniu, został przywrócony do służby frontowej w Wielkiej Brytanii i zestrzelony w czasie nalotu nad Francją. Przynajmniej tak mi mówiono, kiedy byłem dzieckiem. Prawdę poznałem w wieku dwudziestu siedmiu lat, gdy mojej matce wymknął się przypadkiem zaskakujący komentarz. Ojciec przeżył zestrzelenie. Został ranny, ale wyskoczył ze spadochronem i bezpiecznie wylądował na polu, gdzie znalazł go francuski ruch oporu i przerzucił przez kanał La Manche do szpitala RAF-u. Tam umarł na ciężkie zapalenie płuc. Matka chciała się pozbyć bolesnych wspomnień, więc wyrzuciła wszystkie rzeczy, które po nim zostały-jego ubrania, ich akt ślubu i listy od niego. Zostawiła tylko zapalniczkę i kilka zdjęć.

W ostatnich latach wojny matka musiała utrzymać nas oboje, brała więc dużo szycia i pracowała całymi dniami. W moje drugie Święto Dziękczynienia nagle zachorowała. Do dziś pamiętam jej rozpaloną i ociekającą potem twarz. Siedziałem przy niej na łóżku i wycierałem jej mokre policzki. Zużyłem całe pudełko chusteczek. Kiedy w końcu zgłodniałem, wdrapałem się na kuchenny stół, gdzie stał indyk, którego matka zdążyła wyjąć z piekarnika, zanim opadła na łóżko. Obok nasz igo okna - mieszkaliśmy w dwupokojowym mieszkaniu na parterze - przechodził akurat

lekarz mieszkający w głębi ulicy. Zobaczył mnie na stole, gdy odrywałem mięso z indyka. Pół godziny później moja matka jechała karetką do szpitala. Dostała ostrego zapalenia skóry wywoływanego przez paciorkowce i nazywanego różą. Choroba była potencjalnie śmiertelna i bardzo zakaźna. Ale chociaż niemal przesiąknłem potem matki, kiedy brałem chusteczkę za chusteczką i wycierałem jej twarz, nie zaraziłem się.

Matka spędziła w szpitalu wiele tygodni. Po powrocie nie była w stanie zarabiać na nas oboje i jednocześnie siedzieć w domu, żeby się mną opiekować. Miałem wtedy cztery lata. Dokonała trudnego wyboru. Do dziś pamiętam dawnego przyjaciela rodziny, który miał samochód i zabrał nas na wycieczkę. Weszliśmy do ponurego budynku o gotyckim wyglądem, gdzie na dziedzińcu dzieci bawiły się na huśtawkach i zjeżdżalniach. Zachęcony, żebym się do nich przyłączył, skwapliwie to zrobiłem. Kiedy na chwilę przestałem, się śmiać i spojrzałem za siebie, zobaczyłem, jak moja matka wsiada do samochodu i odjeżdża. Pewnie już się domyślacie, że to był sierociniec. Matka twierdzi, że spędziłem tam tylko parę miesięcy, ale ja pamiętam kilka zmian pór roku i moje dwie próby ucieczki. W końcu matka powtórnie wyszła za mąż i zabrała mnie stamtąd. Ale zawsze czułem się jak adoptowany i miałem złe stosunki z ojczymem. Nie lubił dzieci. Kiedyś uderzył mnie w twarz palcami zakrzywionymi jak szpony i rozorał mi wargę. W *Lessons from a Lifetime of Writing* (Lekcje z życia pisarza) opisałem jego kłótnie z moją matką. Były tak przerażające, że w nocy wkładałem poduszkę pod koldrę, żeby udawała mnie, a sam spałem pod łóżkiem. Drzwi sypialni oczywiście nie było.

Dochodzimy do tego zbioru opowiadań. Tytuł *Nocna ucieczka* oddaje to, co opisałem. Ogólnie rzecz biorąc, opowieści autora są metaforami bliźni w zakamarkach jego psychiki. W młodości thrillery i horrory (książki i filmy) były dla mnie ucieczką od koszmarniej rzeczywistości. Czy to dziwne, że jako dorosły, ogarnięty obsesją bycia pisarzem, sięgam po tematy, które były dla mnie ucieczką w dzieciństwie? Może chcę ułatwić ucieczkę innym. Albo może nadal staram się uciec od swojej przeszłości.

W każdym razie, kiedy potem czytałem i redagowałem te opowiadania, uderzyło mnie, że mają wspólny temat. Byłem zaskoczony, gdy go rozpoznałem. Przy pisaniu każdej z tych historii nie zdawałem sobie sprawy, jak ważnym czynnikiem w mojej pracy był motyw obsesji i determinacji, o których już wspominałem. W większości opowiadań bohater ma jakąś silną potrzebę, pokusę i robi wszystko, co możliwe, żeby ją zaspokoić, bez względu na trudności. Prawdę mówiąc, ten nacisk na determinację był dla mnie odkryciem, choć zapewne nie dla mojej rodziny i przyjaciół. Zastanawiałem się dlaczego, i to doprowadziło mnie do gorzkich

wspomnień o matce. Zmarła w wieku osiemdziesięciu lat (może była trochę starsza lub młodsza -jak wspomniałem, ukrywała swój prawdziwy wiek). Powinna była dożyć dziewięćdziesięciu ośmiu lat, jak jej ojciec i macocha, ale wykończył ją rak płuc (nigdy nie paliła, ale mój ojczym tak - i to nałogowo).

Gdybym miał wybrać jedno wspomnienie o mojej matce, wybrałbym to: mojemu ojczymowi zwykle udawało się zepsuć każde święto. W dniach Święta Dziękczynienia, Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Wielkiej Nocy, kiedy moja matka (która nienawidziła gotować) miała właśnie zastawiać stół jedzeniem, wszczynał kłótnię i wychodził. Siadaliśmy z matką naprzeciwko siebie i próbowaliśmy cieszyć się posiłkiem. Zwykle płakała i mówiła mi tak: „Davidzie, możesz zostać, kim tylko zechcesz, jeśli będziesz ciężko pracował”. W kółko to samo, przy okazji każdej zepsutej uroczystości rodzinnej: „Davidzie, możesz zostać, kim tylko zechcesz, jeśli będziesz ciężko pracował”.

Doświadczenie uczy, że to nieprawda. Ktoś może harować przez całe życie od rana do wieczora i niczego nie osiągnąć. Pamiętam, co mówiłem o naturalizmie w dziełach Stephena Crane'a i Theodore'a Dreisera, kiedy byłem wykładowcą literatury amerykańskiej. W zasadzie naturalizm można zdefiniować jako „determinizm pesymistyczny”, zwięzły sposób powiedzenia tego, że jesteśmy środowiskowo i biologicznie skazani na zagładę. Choć naturalizm przeczy istnieniu Boga, amerykańska wersja tej doktryny wywodzi się z kalwinistycznej idei predestynacji, zaszczipionej w Ameryce przez pierwszych osadników przybyłych do Nowej Anglii. Kalwiński uważają, że człowiek jest zbyt nikczemny i godny pogardy, by zasługiwać na zbawienie. Może nas uratować tylko łaska boska. Nazwijmy to łutem szczęścia. A Bóg dobrze wie, jak bardzo powodzenie w życiu zależy od szczęścia. Wszyscy znamy ludzi, którzy ciężko pracują aż do śmierci i nigdy nie dostają zasłużonej nagrody. Ale nawet kalwiński koloniści uważali, wbrew logice swojej fatalistycznej religii, że nie możemy przestać pracować i próbować.

Takie było nastawienie mojej matki. Spotykał ją cios za ciosem. Myślałem, że nienawidziła każdego aspektu swojej egzystencji. Przypuszczam, że nie cierpiała być kobietą (wyjaśnię to w kilku zdaniach). Tydzień przed jej śmiercią moja żona zapytała ją, co zrobiłaby inaczej, gdyby mogła jeszcze raz przejść przez życie.

- Nie wyszłabym za męża - odpowiedziała moja matka.
- Ale wtedy nie miałabyś Davida.
- Jeśli czegoś nie masz i nie wiesz, że mogłabyś mieć - odrzekła matka - nie brakuje ci tego.

Dla mojej matki seks oznaczał cierpienie. Wmówiono jej, że przychodząc na świat, spowodowała śmierć własnej matki. Była katoliczką, a mój ojciec anglikaninem. Wychodząc za niego, naraziła się swojej macosze, również katoliczce, która uważała, że małżeństwo z wyznawcą innej wiary to grzech. Zawsze czułem, że jest głębsze źródło niechęci między nią i jej macochą, i zastanawiam się, czy nie chodziło o ciążę przedmażeńską, nieślubne dziecko, wówczas tabu. Potem, krótko po moich narodzinach, do przeżywanego już cierpienia doszło jeszcze dotkliwsze z powodu śmierci mojego ojca.

Wszystko wiązało się z seksem i jego konsekwencjami. Myślę, że moja matka wolałaby być mężczyzną. Podejrzewam też, że gdyby żyła w naszych mniej surowych czasach, czułaby się dużo szczęśliwsza. Przypuszczam, że była rozpustna, tylko o tym nie wiedziała.

- Możesz zostać, kim tylko zechcesz, jeśli będziesz ciężko pracował.

I tak, i nie. Determinacja była główną siłą napędową egzystencji mojej matki. Obsesja, żeby być kimś, uporać się przeszłością i osiągnąć coś w przyszłości, trzymała ją przy życiu. Czasem miała trzy prace jednocześnie: tapicerowanie mebli w fabryce, potem strzyżenie trawy, potem, do północy, robienie guzików w piwnicy. Żeby kupić dom i przestać mieszkać nad barami. Żeby mieć jakiś poziom komfortu i może dzięki temu pozbyć się strachu. Częściowo osiągnęła swoje cele. Ale nigdy nie była naprawdę szczęśliwa i -jak wskazywały jej nocne koszmary - nigdy naprawdę nie przezwyciężyła swoich lęków.

Możesz zostać, kim tylko zechcesz, jeśli będziesz ciężko pracował.

To mi wpoila. Praca? Jeśli tylko o to chodzi, do cholery, to wystarczy zakasać rękawy i do roboty. Żadna sprawa. Ale ważne są też dyscyplina i determinacja. To chyba dobrze pokazuje, czego potrzeba, żeby zostać pisarzem. W obsesji bohaterów *Nocnej ucieczki* rozpoznaję siebie. Moją młodość. Młodość mojej matki.

I brak drzwi sypialni.

## Szczałki

*Wypadki opisane w tym opowiadaniu, choć nieco przejawskrawione, są prawdziwe. Pod koniec lat 80. leciałem z Iowa City do Ottawy w Kanadzie na doroczny zjazd World Fantasy Convention (wspaniała okazja do spotkania twórców i fanów fantastyki). Pamiętam to jako podróż bez końca. Podczas długiego postoju na lotnisku w Toronto zagłębiłem się w lekturze książki, którą zabrałem ze sobą. Mówiła o historii Watykanu i była mi potrzebna przy pisaniu thrillera Bractwo Nocy i Mgły. Walczyłem ze zmęczeniem i sennością, przewracałem kartki i nagle wyprostowałem się - natrafiłem na fascynujące fakty luźno związane z Watykanem, które posłużyły za podstawę tego, co za chwilę przeczytacie. Jeśli kusi was, by powiedzieć, że mam chorą wyobraźnię, pamiętajcie, że ta historia jest dużo bardziej chora. Kilka lat później Robert Bloch poprosił mnie o napisanie opowiadania do jego antologii Psycho-Paths (Psychopaci). Zastanawiałem się, jaki rodzaj dziwacznej historyjki może ubawić legendarnego twórcę Psycho, i przypomniałem sobie, co przeczytałem na lotnisku w Toronto o argentyńskim dyktatorze Juanie Peronie.*

**N**a mój honor, Wasza Ekszelencjo! - Carlos stuknął obcasami, wyrzucił wysoko przed siebie prawe ramię i zacisnął pięść w salucie.

- Twój honor to za mało, Carlos! Przysięgnij na swoje życie!
- Przysięgam na moje życie, Wasza Ekszelencjo!

Wielki Człowiek skinął głową. Jego ciemne oczy płonęły. Niegdyś pewna siebie mina zniknęła, twarz skurczyła się wokół kości policzkowych i miała wyraz wiecznego smutku. Cienki wąsik, kiedyś ciemny jak oczy, teraz był siwy, smagła cera dawno przybrała niezdrowy kolor. Carlos

wiedział, że nawet gdyby zdarzył się cud i siły Jego Ekscelencji zdołałyby zgnieść rebelię, napięcie ostatniego miesiąca spowodowane pogłębiającym się kryzysem odcisnie piętno na jego przywódcy.

Ale oczywiście cud się nie zdarzy. Terkot karabinów maszynowych na obrzeżach miasta przybierał na sile. Nad dachami przetaczały się echa eksplozji. Nocą na tle czarnego dymu jaśniała luna pożarów.

Przybiegł przerażony żołnierz z ochrony. Pas amunicyjny objął mu się o pierś, od kurczowego trzymania karabinu zbiegły mu kostki.

- Wasza Ekscelencjo a musi natychmiast ruszać! Rebelianci się przedarli!

Ale Wielki Człowiek wahał się.

- Pamiętaj, Carlos, że przysiągłeś na swoje życie.

- Nie zawiodę Waszej Ekscelencji. Wielki

Człowiek poklepał go po ramieniu.

- Wiem. Nigdy mnie nie zawiodłeś.

Carlos poczuł dumę, ale smutek ścisnął mu serce. Strzały i eksplozje przypominały mu fajerwerki podczas uroczystej inauguracji rządów Wielkiego Człowieka. Teraz złote lata minęły. Przygębiony, poszedł za swoim przywódcą w kierunku ciężarówki z plandeką.

Na brukowanym dziedzińcu stała drewniana skrzynia. Miała prawie dwa i pół metra długości i metr dwadzieścia szerokości. Wielki Człowiek popatrzył na nią zmrużonymi oczami. Wychudłe policzki zmarszczyły się, gdy zacisnął zęby i skinął głową. Sześciu żołnierzy wystąpiło naprzód. Po trzech z każdej strony. Pospiesznie unieśli skrzynię. Przechyliła się. W środku coś stuknęło.

- Ostrożnie! - rozkazał Jego Ekscelencjo.

Żołnierze napięli mięśnie, zerknęli z obawą w kierunku strażników zbliżających się do śródmieścia i wsunęli skrzynię na ciężarówkę. Jeden szarpnął w dół część plandeki. Inny podniósł skrzypiącą tylną klapę. Wielki Człowiek osobiście zatrasnął rygle.

- Wasza Ekscelencjo, bardzo proszę! Musimy jechać! - przynaglił żołnierz z ochrony.

Eksplozja zatrzęsa szybami w oknach.

Wielki Człowiek zdawał się nie słyszeć. Patrzył na ciężarówkę.

- Wasza Ekscelencjo!

Wielki Człowiek zamrugał i odwrócił się do żołnierza z ochrony.

- Oczywiście. - Spojrzał na lunę nad przedmieściami. - Musimy jechać. Ale pewnego dnia... pewnego dnia wrócimy. - Odwrócił się do Carlosa. - Spełnij swój obowiązek. Wiesz, co masz robić. Skontaktuj się z tobą, jeśli będę mógł. - Ominął swoich ochroniarzy i pobiegł do opancerzonej limuzyny.



- Wasza Ekscelencja nie jedzie ze mną? - zawołał Carlos.

- Nie! - odkrzyknął w biegu Wielki Człowiek. - Oddzielnie mamy większe szanse zdezorientować rebeliantów! Musimy ich zmylić! Pamiętaj, Carlos, że przysiągłeś na swoje życie!

Wielki Człowiek po raz ostatni spojrzął na ciężarówkę i wskoczył do limuzyny. Ochroniarze rzucili się za nim. Kiedy samochód wyjechał z pałacowego dziedzińca i pomknął na południe w kierunku przeciwnym niż strzelanina, Carlos poczuł nagle wewnętrzną pustkę. Ale natychmiast przypomniał sobie o przysiędze.

- Słyszeliście Jego Ekscelencję! Musimy jechać!

Jego ludzie wyprężyli się na baczność. Carlos wsiadł do ciężarówki. Sierżant usiadł za kierownicą. Ruszyli ostro na wschód. Przed nimi i za nimi jechały dżipy pełne żołnierzy z bronią automatyczną. 'Pięć przecznic dalej zaatakował ich patrol rebeliantów. Dżip z przodu eksplodował, w powietrzu rozprysły się metalowe części i płonące ciała. Sierżant szarpnął kierownicę i ominął wrak. Seria z karabinu roztrzaskała przednią szybę. Posypało się szkło. Kierowca został trafiony w głowę, jego mózg wytrysnął z tyłu czaszki. Ciężarówka jechała dalej. Carlos przechylił się nad zwłokami, pchnął drzwi od strony kierowcy i wyrzucił martwego sierżanta na ulicę. Ciało odbiło się i uderzyło w ścianę. Carlos wcisnął gaz i staranował drewnianą barykadę. Prawą ręką trzymał kierownicę, lewą strzelał z pistoletu przez wybitą przednią szybę.

Ciężarówka i ocalały dżip okrążyły ponury magazyn, pomknęły wzdłuż ciemnego nabrzeża i zahamowały z piskiem opon przy jedynym statku w porcie. Wystraszona strzelaniną załoga zbiegła po trapie. Marynarze wyszarpnęli z ciężarówki skrzynię. Znow coś stuknęło.

- Ostrożnie!-rozkazał Carlos.

Marynarzy bardziej obchodziły coraz bliższe strzały niż jego rozkaz. Wsunęli skrzynię w pętlę i krzyknęli komendy do kogoś na pokładzie. Zawarczał silnik. Dźwig uniósł skrzynię. Pękła lina. Carlosowi zamarło serce, bo skrzynia wysunęła się do połowy z pętli. Ale nadal wędrowała do góry. Wstrzymał oddech, kiedy zawisła nad frachtowcem i opadła na pokład.

Chwilę później rozległa się eksplozja i pobliski budynek wyleciał w powietrze. Załoga statku wbiegła po trapie. Carlos i jego ludzie popędzili za marynarzami. Trap zaczął się podnosić. Frachtowiec odbił od brzegu. Oddalał się i nabierał szybkości. Upiorne refleksy pożarów w mieście wskazywały wyjście z portu.

Carlos rozkazał swoim ludziom, żeby zdjęli brezent z karabinów maszynowych kaliber 50 na dziobie i rufie. Kiedy ładowali broń, patrzył

z napięciem, jak załoga statku naprawia pętlę i opuszcza skrzynię przez luk do ładowni. Czekał na okrzyk z dołu, że skrzynia bezpiecznie spoczęła pod pokładem.

Dopiero wtedy poczuł ulgę. Otarł pot z czoła. Pierwszy etap jego misji został zakończony. Na razie nie miał nic więcej do roboty. Musiał zaczekać, aż dotrze do celu podróży i dostanie nowe rozkazy od Jego Ekscelencji.

Z tyłu kobiecego głosu wyszeptał jego imię.

Odwrócił się.

- Maria?

Podbiegła do niego rozpromieniona. Była niska, smągła i czarnowłosa. Cięża podkreślała jej krępa budowę. Mocne rysy sugerowały wierność i cierpliwość.

Objęli się. Carlos nie widział żony od tygodnia. Zbyt wiele się działo. Mimo przywiązania do Wielkiego Człowieka bardzo za nią tęsknił. W końcu Wielki Człowiek pozwolił mu wysłać Marii wiadomość, że chce się z nią spotkać na statku. Carlos był wzruszony troską Wielkiego Człowieka.

- Już po wszystkim? Jesteśmy bezpieczni? - zapytała Maria.

Carlos pocałował ją.

- Na razie.

- Ale Jego Ekscelencja nie przyjechał z tobą?

- Nie. Spotka się z nami później.

- A ta skrzynia?

- Co?

- Dlaczego jest taka ważna, że musiałeś ją tu przywieźć pod strażą?

- Jego Ekscelencja nie powiedział mi. A ja nie miałem śmiałości spytać. Ale musi mieć ogromną wartość.

- Powierzył ci ją i prosił, żebyś ją chronił z narażeniem własnego życia? Na wszystkich świętych, rzeczywiście musi mieć ogromną wartość!

Maria z uwielbieniem popatrzyła mężowi w oczy.

O trzeciej nad ranem Carlos kochał się z żoną w kajucie przydzielonej im z rozkazu Wielkiego Człowieka. Słyszac pod sobą jej westchnienia i jęki, martwił się o swojego dobroczyńcę. Modlił się, żeby Wielki Człowiek zdołał uciec z miasta i skontaktował się z nim wkrótce. Żona wyprężyła się pod nim ostatni raz i zasnęła z cierpliwym westchnieniem, jakby była dumna, że spełniła małżeński obowiązek.

Posłuszeństwo, pomyślał Carlos, to największa z zalet.

O świcie obudziło go walenie w drzwi kajuty.

- Łodzie rebeliantów! - wołał żołnierz.

- Zostań tu, Mario! - polecił Carlos.

Dwugodzinna walka była tak zacięta, że nawet nie poczuł trafienia w lewe ramię. Obsługiwał działko rufowe. Zastąpił kanoniera zabitego serią z karabinu maszynowego.

Frachtowiec też ucierpiał, ale atak rebeliantów został odparty. Skrzynia była bezpieczna. Misja trwała.

Kiedy jeden z żołnierzy bandażował mu krwawiące ramię, Carlos ignorował ból i koncentrował się na wiadomości przyniesionej przez radiooperatora. Jego Ekscelencja uciekł z miasta i przedzierał się przez góry.

- Niech Bóg ma go w opiece - westchnął Carlos.

Ale radiooperator wyglądał na zaniepokojonego.

- Co jest? - spytał Carlos. - Czego mi nie powiedziałaś?

- Monitorowałem łączność radiową między łodziami rebeliantów. Wie dzieli, że Jego Ekscelencja jest w górach, zanim nas zaatakowali.

Carlos zmarszczył brwi.

- Skoro wiedzieli, że Jego Ekscelencji nie ma na pokładzie - ciągnął radiooperator - to dlaczego nas zaatakowali?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Carlos.

Skłamał. Dobrze wiedział, o co chodziło.

O skrzynię.

W ciemnej ładowni cuchnącej rybami Carlos oświetlił latarką drewnianą skrzynię. Obszedł ją dookoła i uważnie obejrzał. Dolny róg był uszkodzony - nic dziwnego po nieostrożnym załadunku na pokład. Ale na szczęście pociski nie podziurawiły desek. Oparł się o wilgotną przegrodę i popatrzył na skrzynię.

Zastanawiał się, co w niej jest.

Dwadzieścia minut później, gdy nadal wpatrywał się w skrzynię, członek załogi przyniósł mu następną wiadomość radiową.

Carlos oświetlił latarką kartkę: *Ucieczka przez góry powiodła się. Omiń pierwszy punkt docelowy. Płyn od razu do drugiego. Czekał na dalsze instrukcje. Pamiętaj, że przysiągłeś na swoje życie.*

Złożył kartkę, wetknął do kieszeni i wyszedł z ładowni.

W drzwiach odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na skrzynię.

- Twoja ręka! - wykrzyknęła Maria, kiedy Carlos pojawił się na pokładzie. - Boli?

Wzruszył ramionami i powstrzymał grymas bólu.

- Nie możesz się tak przemęczać. Musisz odpocząć.

- Odpocznę, kiedy Jego Ekscelencja odbierze swoją własność.

- Myślisz, że to złoto lub klejnoty? - zapytała Maria. - A może rzadkie monety albo bezcenne obrazy?

- Najprawdopodobniej tajne dokumenty. Ale to nie moja sprawa. Dzięki Bogu, jutro wieczorem przestanę być za to odpowiedzialny.

Lecz Wielki Człowiek nie czekał na nabrzeżu, kiedy frachtowiec zawiązał do neutralnego portu, który był punktem docelowym numer dwa. Zamiast niego po trapie wbiegł zdenerwowany posłaniec. Otarł spocone czoło i wyrzucił z siebie, że Jego Ekscelencja przedostał się wprawdzie do sąsiedniego kraju, ale rebelianci nadal go ścigają.

- Nie może ryzykować spotkania ze statkiem. Prosi, żeby pan popłynął do punktu docelowego numer trzy.

Carlos stłumił rozczarowanie.

- Trzy dni drogi na północ? - Nie mógł się doczekać, kiedy pokaże Wielkiemu Człowiekowi, jak dobrze wypełnił swój obowiązek.

- Jego Ekscelencja polecił mi przypomnieć, że przysiągł pan na swój honor.

- Na moje życie! - sprostował Carlos. - Jestem z nim od początku. Odkąd on i ja, dwaj zastraszeni wieśniacy, postanowiliśmy obalić tyrana. Przysiągłem mu wierność. Nigdy go nie zawiodę.

Tej nocy, kiedy frachtowiec stał jeszcze przy nabrzeżu, na pokład zakradł się ośmioosobowy oddział rebeliantów przebranych za robotników portowych. Byli już przy drzwiach ładowni, gdy czujny żołnierz wszczął alarm. W gwałtownej strzelaninie zginęło pięciu ludzi Carlosa i wszyscy napastnicy, ale jeden z nich zdążył wrzucić granat do ładowni.

Na odgłos eksplozji Carlos wpadł w panikę. Wpakował cały magazynek swojego pistoletu maszynowego w rebelianta, który rzucił granat. Zbiegł pod pokład, zapalił latarkę i doznał szoku. Granat eksplodował niecałe pięć metrów od skrzyni. Odłamki roztrzaskały listwy, z boku widniała duża dziura.

Carlos przesunął drżącymi palcami po zniszczonym drewnie. Jeśli zawartość skrzyni ucierpiała, jak wyjaśni Jego Ekscelencji swoje zaniedbanie?

Aż zdrętwiał z przerażenia. A jeśli odłamek był taki gorący, że w środku skrzyni coś się zatliło? A jeśli są tam tajne dokumenty i zaraz staną w płomieniach?

Chwytał łom i wbił pod wieko. Zgrzytnęły gwoździe. Trzasnęło drewno. Oderwał wieko i zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy nic się nie pali. Zatkano go na widok tego, co zobaczył.

Z tyłu rozległ się odgłos kroków. Carlos zatrzasnął wieko, wyszarpnął pistolet i odwrócił się.

Z cienia wyszła Maria. Mrużyła oczy od blasku jego latarki.

- Wszystko w porządku?

Carlos odetchnął z ulgą.

- Prawie... - Schował pistolet do kabury. - Nigdy nie podkradaj się do mnie z tyłu.
- Bałam się. Słyszałam strzały.
- Wracaj do naszej kajuty. Spróbuj zasnąć.
- Chodź ze mną. Musisz odpocząć.
- Nie mogę.
- Co znalazłeś w skrzyni?
- Nie otworzyłem jej.
- Przecież widziałam, że...
- Światło mojej latarki musiało rzucać jakieś ruchome cienie i przywidziało ci się.
- Ale słyszałam, jak opuszczałeś wieko.
- Nie, usłyszałaś, jak straciłem równowagę i wpadłem na skrzynię.

Nie otwierałem jej! Wracaj do naszej kajuty! Rób, co ci mówię!

Maria odeszła posłusznie. Gdy echo jej kroków ucichło i u szczytu ciemnych schodów zatrzasnął się za nią właz, Carlos odwrócił się z powrotem do skrzyni i wolno uniósł wieko.

Zanim przeszkodziła mu żona, zdążył tylko zerknąć na zawartość. To wystarczyło, by stwierdził, że nic się nie pali. Ale wołał nie mówić Marii, co jest w skrzyni, w obawie, że zdradzi komuś tę tajemnicę. Bo to, co zobaczył, wstrząsnęło nim bardziej niż pożar.

Trumna była zrobiona z polerowanej" miedzi. Lśniącą powierzchnię uszkodziły odłamki granatu.

Trzęsły mu się kolana i kręciło w głowie, ale wziął się w garść i pochylił, żeby oszacować szkody. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że są powierzchowne. Odłamki nie przebiły trumny.

Ale co z ciałem?

Właśnie, ciało.

To nie jego sprawa. Wielki Człowiek nie uznał za stosowne poinformować go, czego przysiągł strzec z narażeniem życia. Bez wątpienia Jego Ekscelencja miał swoje powody.

Carlos przewyciężył ciekawość, opuścił wieko i zabezpieczył. Przekroczył swoje uprawnienia. Ale w dobrej wierze. Żeby chronić to, co mu powierzono. Taki miał obowiązek. Może wygładzić miedź i zlikwidować wszelkie ślady uszkodzeń. Jego Ekscelencja nigdy się nie dowie, że Carlos o mało nie zawiódł.

Ale zagadka pozostała nierozwiązana. Dlaczego rebelianci tak bardzo chcieli zniszczyć skrzynię? Kto leży w trumnie?

Carlos czuł ciężar odpowiedzialności. Wyszedł z ładowni i rozkazał marynarzowi zanieść na dół materac, koce, termos z kawą, jedzenie i lampę.

Uprzedził Marię, że będzie nocował w ładowni, dopóki Jego Ekscelencja nie odbierze swojej własności.

- Nie! -zaprotestowała. -Tam jest wilgoć. I cuchnie. Rozchorujesz się.
- Złożyłem przysięgę! Potroiłem warty na pokładzie! Nikomu oprócz mnie nie wolno schodzić na dół! Nawet tobie!

Trzy dni później Carlos wygramolił się z ładowni. Był nieogolony, wychudzony i rozgorączkowany. Zmrużył oczy i spojrział na północ w kierunku neutralnego portu, punktu docelowego numer trzy. Ale Jego Ekscelencja znów się nie zjawił. Na pokład wbiegł kolejny zdenerwowany posłaniec.

- Jest gorzej, niż się obawialiśmy. Rebelianci są zdecydowani ścigać go do skutku. Odcięli mu drogę. Musi dalej uciekać. Oto jego nowe instrukcje.

Roztrzęsiony Carlos przeczytał instrukcje.

- Do Europy?! -wykrzyknął.
- Do Marsylii. To jedyna szansa wypełnienia misji.

Carlos zawahał się.

- Jego Ekscelencja polecił mi przypomnieć, że przysiągł pan na swoje życie - rzekł posłaniec.

Carlos drżał.

- Nie tylko na moje życie. Na moją duszę. To była poważna przysięga.

W ładowni, dręczony nudnościami i zawrotami głowy, Carlos czuł się zniewolony. Podczas niekończącej się podróży przez Atlantyk wciąż myślał o skrzyni i jej zawartości. Trumna - jego jedyna towarzysząca - przyciągała go. Krążył przed swoją podopieczną. Skrzynia. Trumna. Zwłoki. Czyje?

W końcu nie mógł się powstrzymać. Chwycił łom i podważył wieko. Pochylił się, sięgnął drżącymi palcami zamknąć na spojeniu trumny, otworzył je, pchnął do góry i powoli odkrył...

Tajemnicę.

Tym razem wstrzymał oddech nie z zaskoczenia, lecz z szacunku. Ugięły się pod nim kolana. Omal nie uklęknął.

Przed Jej Wysokością.

Opiekunką swojego narodu. Błogosławioną matką swojego kraju. Ileż to dni - i późnych wieczorów - poświęcała swemu ludowi, przyjmując długie kolejki potrzebujących i rozdając jedzenie, pocieszenie i nadzieję? Ileż to razy wstawiała się u Jego Ekscelencji za ubogimi i bezdomnymi, których opisywała jako nagich i bosych? Kościół nazywał ją świętą. Ludzie nazywali ją zesłaną przez Boga.

Z jej dobrocią mogła się równać tylko jej uroda. Była wysoka i szczupła, o posągowych kształtach i uderzająco pięknej twarzy. Ucieleśnienie doskonałości. Jasne włosy - rzadkość u jej rodaków - podkreślały jej wyjątkowość. Przypominały aureolę.

Jej rak macicy był rzeczywistą i symboliczną ohydą. Ta otwarta i wrażliwa istota umarła na chorobę, która zaatakowała esencję jej kobiecości. Bóg odwrócił się od swojego wyjątkowego dzieła. Świat już nie zobaczy podobnego cudu.

Ludzie ją oplakiwali. Jego Ekscelencja rozpaczał tak bardzo, że pragnął zachować jej urodę tak długo, jak tylko potrafi współczesna nauka. Nikt nie wiedział, jak to zrobił. Podobno sprowadził najlepszego balsamistę na świecie, człowieka, któremu powierzono zwłoki wiecznie żywego radzieckiego boga, samego Lenina. Mówiono, że Wielki Człowiek poprosił balsamistę, żeby wykorzystał wszystkie swoje umiejętności i na zawsze zachował Jej Wysokość taką, jaka była za życia.

Jej krew zastąpiono alkoholem. Do tkanek wpompowano glicerynę o temperaturze sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Zwłoki zanurzone w chemikaliach. Jeszcze bardziej tajemnicze były techniki konserwowania narządów wewnętrznych. Choć cera trochę się ściągnęła, twarz wyglądała bardziej promiennie niż za życia. Złote włosy i czerwone wargi lśniły.

Carlos zmarł z wrażenia. Plotki okazały się prawdą. Jej Wysokość jest nieśmiertelna. Kulił się wewnętrznie w oczekiwaniu, że otworzy oczy i przemówi do niego.

Miał zamęt w głowie. Pamiętał resztę tragicznej historii. Śmierć Jej Wysokości zapoczątkowała upadek Wielkiego Człowieka. Jego Ekscelencja starał się utrzymać przy władzy bez niej, ale ludzie - zawsze czegoś żądający i zawsze niewdzięczni - zwrócili się przeciw niemu. Nie ważne, że planował szeroko zakrojone reformy socjalne, podczas gdy jego żona zaspokajała potrzeby społeczne tylko z dnia na dzień. Obecny dobrobyt był dla ludzi ważniejszy niż przyszły. Kiedy demagog podburzył motłoch i obiecał natychmiastowy raj na ziemi, nowa rewolucja obaliła rząd Wielkiego Człowieka.

Carlos rozumiał teraz, dlaczego rebelianci tak bardzo chcieli zniszczyć skrzynię. Żeby wyrwać z korzeniami wszystkie pozostałości po władzy Wielkiego Człowieka, musieli pozbyć sienie tylko Jego Ekscelencji, ale również nieśmiertelnych szczątków jego wielkiej miłości i źródła jego siły, bogini swojego kraju.

Poczuł ciężar jeszcze większej odpowiedzialności. Z czią pochylił głowę. Godzina minęła jak minuta. Opuścił wieko trumny i zamknął szczelnie skrzynię. Drżał w nabożnym szacunku.

Podczas niespokojnego rejsu przez Atlantyk jeszcze dwa razy uległ pokusie, otworzył skrzynię i trumnę i popatrzył na powierzony mu skarb. Cud trwał. Jej Wysokość wyglądała jak żywa.

Wielki Człowiek wkrótce cię odzyska, myślał Carlos.

Ale Jego Ekscelencja nie czekał w porcie, kiedy frachtowiec zawinął do Marsylii. Na pokład znów wbiegł zdenerwowany posłaniec i zameldował, że ich przywódca nadal jest ścigany. Dostarczył nowe instrukcje. Zmarszczył brwi na widok nieogolonych policzków Carlosa, jego zaczerwienionej skóry i zapadniętych oczu.

- Dobrze się pan czuje? Może ktoś inny powinien...

- Przysięgłem Jego Ekscelencji! Muszę wypełnić misję!

Kiedy Maria powiedziała mu na osobności, że źle wygląda, krzyknął:

- Nie rozumiesz, o co chodzi!

Kazał przeładować skrzynię z frachtowca na ciężarówkę. Zawieziono ją pod strażą na tajne lotnisko, skąd poleciała do Włoch i została umieszczona w pociągu do Rzymu. Grupy rebeliantów trzy razy próbowały ją przechwycić, ale Carlos był czujny. Napastnicy zginęli, choć kosztowało to życie kilku jego ludzi.

Krążył wokół skrzyni po pustym wagonie towarowym. Skąd rebelianci znali jego trasę? Kiedy pociąg dotarł do Rzymu, Carlos uznał, że gdzieś jest szpieg. Zapewne jeden z doradców Jego Ekscelencji przekazuje informacje rebeliantom. Trzeba się zabezpieczyć.

Zgodnie z planem skrzynia szybko trafiła do magazynu. Ale dwanaście godzin później Carlos kazał ją przenieść do podziemi kościoła, a po dwóch dniach do kostnicy. Dopiero gdy spokojnie minął tydzień, zabrano ją do przewidzianego miejsca przeznaczenia - opuszczonej willi pod Rzymem. Carlos miał nadzieję, że te manewry zdezorientowały rebeliantów i nasunęły im przypuszczenie, że cały plan został zmieniony. Kusiły go dalsze kroki zapobiegawcze, ale musiał być pewien, że Jego Ekscelencja zdoła się z nim skontaktować i - co ważniejsze - odzyskać szczątki Jej Wysokości.

Opuszczona willa była istną ruiną. Witrażowe okna nie domykały się, nie działało światło. Z sufitu w wielkim salonie zwisały pajęczyny. Skrzynia stała na marmurowej podłodze otoczona świecami, żeby Carlos mógł celować do szczurów, gdyby śmiały się zbliżyć do trumny i jej świętej zawartości. Jego ludzie patrolowali teren i strzegli wejścia do rezydencji. Maria miała zakaz wychodzenia z sypialni na górze.

Od czasu do czasu Carlos otwierał skrzynię i trumnę, żeby nie zapomnieć, dlaczego się poświęca i stale musi być czujny. Jego wizja błogosławionej tajemnicy stawała się coraz pełniejsza. Jej Wysokość wydawa-



ła się coraz bardziej żywa, szczęśliwa, promienna. Iluzja była zniewalająca - ona nie umarła, po prostu zasnęła.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kąpał. Miał zmierzwiłone włosy i brodę, wymięte i brudne ubranie. Klapnął na zakurzony fotel. Nie mógł dłużej walczyć ze zmęczeniem. Głowa opadła mu na pierś, ręka z pistoletem osunęła się bezwładnie. Przypomnił sobie mgliście, że kiedyś sypiał spokojnie. Teraz śniły mu się tylko koszmary pełne duchów.

Ocknął się na dźwięk metalicznego zgrzytu. Usłyszał kroki i odwrócił się gwałtownie. Jego wprawna ręka była szybsza niż zaspane oczy. Strzelił kilka razy, zaryczał triumfalnie i rzucił się w kierunku wroga, który bezczelnie próbował wtargnąć do świątyni Jej Wysokości. Przygotował się do ostatniego strzału w głowę, żeby dobić przeciwnika i... rozdziawił usta. Ciężarna Maria leżała nieruchomo w kałuży krwi. Wszystkie pociski trafiły w brzuch.

Krzyczał, dopóki nie stracił głosu.

Pochował Marię za willą w zaniedbanym ogrodzie. Nie mógł ryzykować i sprowadzić księdza. Duchowny, mimo łapówki, bez wątpienia zawiadomiłby władze o zabójstwie. Zabranie zwłok żony do kościoła, a potem na cmentarz nie wchodziło w rachubę. Nie mógł opuścić willi. Trzymał go tu obowiązek. Musiał strzec Jej Wysokości. Płacząc, uklepał łopata ziemię na mogile Marii. Ukląkł i zasadził pojedynczy kwiat - żółtą różę. Jej ulubioną.

Jego smutek mieszał się z gniewem.

- Kazałem ci siedzieć na górze! Dostałaś ode mnie rozkaz, tak jak ja dostałem od kogoś rozkaz! Dlaczego mnie nie posłuchałaś? Ile razy ci mówiłem, że posłuszeństwo to największa zaleta?

Powstrzymał łkanie i wrócił do salonu willi. Zluzował wartowników, którzy zajęli jego miejsce, i kazał im zostać na zewnątrz. Zaryglował drzwi, zmęczonym krokiem podszedł do skrzyni i otworzył trumnę. Jasne włosy Jej Wysokości lśniły. Czerwone wargi błyszczwały. Zmysłowe policzki wydawały się półprzezroczyste.

- Teraz rozumiesz, jak poważnie przysiągłem. Na moją duszę. Poświęciłem dla ciebie moją żonę. Zabiłem moje nienarodzone dziecko. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił. Śpij spokojnie. Nie lękaj się. Bez względu na koszty, zawsze będę cię chronił.

Jego łzy kapały na jej czoło. Wydało mu się, że poruszyła powiekami. Wciągnął gwałtownie powietrze. Ale powiedział sobie, że to tylko jego wyobraźnia. Wrażenie ruchu wywołał refleks świetlny w jego zamglonych oczach.

Starł łzy z jej czoła.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość. - Próbował się powstrzymać, ale nie mógł. Pocałował ją w czoło w miejscu, gdzie kapały łzy.

W końcu przyjechał posłaniec. Carlos miał nadzieję, że Wielki Człowiek wreszcie uciekł i zamierza odzyskać swój skarb, a równocześnie czuł żal, że jego misja dobiegła końca. Z ulgą więc przyjął wiadomość, że Wielki Człowiek nadal jest ścigany. Przeczytał nowe instrukcje. Miał dostarczyć skrzynię do Madrytu.

- Jego Ekszelencja jest panu bardzo wdzięczny za lojalność - powie dział posłaniec. - Kazał mi przekazać, że nigdy tego panu nie zapomni.

Carlos starał się uspokoić drżenie rąk. Szarpał zmierzwioną brodę i przeczesywał palcami potargane włosy.

- To dla mnie zaszczyt służyć Wielkiemu Człowiekowi. Żadne poświęcenie nie jest zbyt uciążliwe.

- Jego Ekszelencja słyszał o tragicznej śmierci pańskiej żony. Przesyła wyrazy głębokiego współczucia.

Carlos wykonał gest smutku i przywiązania.

Ale przywiązania do kogo? - zastanowił się.

- Jak powiedziałem, jestem gotów na każde poświęcenie.

W Madrycie zauważył, że Jej Wysokość porusza ustami, i uznał, że musi ją nakarmić.

Trzy miesiące później, po otrzymaniu rozkazu przewiezienia skrzyni do Lizbony, doszedł do wniosku, że Jej Wysokości będzie zimno w podróży, więc okrył ją kocami.

Sześć miesięcy później, w Brukseli, stwierdził, że Jej Wysokość będzie miała trudności z oddychaniem w trumnie, i kazał swoim ludziom przynieść wiertarkę elektryczną.

Wreszcie nadeszła wiadomość: *Ucieczka się powiodła. Twoja misja, wierny przyjacielu, dobiegła końca. Załączam wskazówki. Serdecznie dziękuję i proszę o zwrot mojej własności.*

Twojej?

Carlos spojrzął na Jej Wysokość i zapłakał.

Konwój ślizgał się na zaśnieżonej drodze prowadzącej w górę do zamku pod Genewą. Wielki Człowiek czekał niecierpliwie. Spacerował na podjeździe i oddychał mroźnym powietrzem. Przycisnął zmarznięte dłonie do spodu skrzyni i pomógł swoim służącym wnieść ją przez otwarte podwójne drzwi. Kazał ją postawić w salonie pod strzelistym dachem

i wyprosił wszystkich z pokoju. Został tylko człowiek, który wykorzystał swoją tajemniczą wiedzę do zabalsamowania wielkiej miłości Jego Eks-celencji i teraz miał potwierdzić rezultaty swojej obietnicy.

Obaj trzymali łomy, żeby podważyć wieko skrzyni. Okazało się, że nie jest zabite gwoździami, więc sięgnęli do wnętrza i otworzyli trumnę.

Jej Wysokość wyglądała jak żywa. Lepiej, niż gwarantował geniusz.

Ale wieko trumny było przewiercone na wylot.

W czaszce Jej Wysokości był identyczny otwór - wiertarka weszła za głęboko.

Z jej ust wystawało zgniłe jedzenie.

Na jej twarzy była zakrzepła krew.

Carlos leżał na niej z dziurą od kuli w głowie, z pistoletem w dłoni i wyrazem szczęścia na twarzy.

## Nic ci nie grozi

*W 1987 roku mój piętnastoletni syn Matthew zmarł na skutek zakażenia paciorkowcem i gronkowcem w wyniku komplikacji po przeszczepie szpiku kostnego, który był desperacką próbą wyleczenia go z rzadkiej odmiany raka kości. Po jego śmierci moja wyobraźnia skoncentrowała się na temacie smutku. Napisałem powieść Desperackie kroki i kilka opowiadań, które zamieściłem w zbiorze zatytułowanym Czarny wieczór. Przy pisaniu utworów do następnego zbioru nie mogłem przestać myśleć o seryjnym zabójcy Tedzie Bundym. Opowiadanie zamówione przez Dennisa Etchisona ukazało się w antologii MetaHorror wydanej w roku 1992 i było nominowane do nagrody Horror Writers of America (Amerykańskiego Stowarzyszenia Autorów Powieści Grozy) dla najlepszej noweli roku.*

Później ta piosenka będzie miała dla niego bolesną wymowę. - Nie mogę się od niej uwolnić - powie Chad swojemu psychiatrze i spróbuje zapanować nad przyspieszonym oddechem. Rozbolągo oczy. -Bez względu na to, co robię - spotykam się z klientem, rozmawiam z wydawcą, czytam rękopis, spaceruję po Central Parku czy nawet idę do łazienki, słyszę tę piosenkę! Staram się jak cholera, żeby jej nie słyszeć. Prawie nie śpiam, ale kiedy uda mi się zasnąć, budzę się z uczuciem, że nuciłem ją całą noc.

Chad dobrze pamiętał, kiedy usłyszał ją pierwszy raz. Mógł podać dokładną datę: środa, dwudziesty kwietnia 1979 roku. Potrafił nawet podać godzinę - dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć. Choć piosenka wzruszyła go i był zachwycony jej wykonaniem, czuł dziwny przymus zerk-

nięcia na zegarek. To musiał być cięższy dzień, niż mu się zdawało. Mężący. Dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć.

*Sweeney Todd. Demoniczny fryzjer z Fleet Street.* Musical Stephena Sondheim'a wystawiony w marcu na Broadwayu. Wielki sukces, bilety nie do zdobycia. Ale Chad miał klienta dramaturga, który znał producenta. Kiedy żona Chada, Linda, złamała jedną z ich małżeńskich zasad i wyprawiała mu urodzinowe przyjęcie niespodziankę, dramaturg (udając magika) wyciągnął zza ucha Chada dwa bilety.

- Wszystkiego najlepszego w dniu czterdziestych drugich urodzin.

Ale Chad nie dlatego pamiętał datę spektaklu, że miała coś wspólnego z jego urodzinami. Przyczyna była głębsza. *Demoniczny fryzjer z Fleet Street.* Przychodzisz, żeby się ostrzyc i ogolić. Twoje podcięte gardło łąduje w zsypie. Zostaje zmielone na hamburgera i podane w lokalu pani Lovett. Jako słynny pyszny pasztecik mięsny o niepowtarzalnym smaku.

Jesz i nigdy nie masz dosyć. Żeby wywrzeć wrażenie na publiczności, przy każdym podcięciu gardła przez Sweeney'a rozlegał się przeraźliwy zgrzyt. Tryskała krew. Jeden z młodych kelnerów pani Lovett był kompletnym idiotą. Nie miał bladego pojęcia, o co chodzi. Ale czuł, że coś jest nie tak. Zwierzył się ze swoich obaw pani Lovett. Traktowała go jak syna i obiecała, że będzie go chroniła. Zaśpiewała, że nic mu nie grozi - wspinała wykonanie Angeli Lansbury, które potem stało się torturą dla Chada. Tytuł brzmiał: *Dopóki jestem przy tobie.* Pogodna, chwytająca za serce piosenka wśród wielokrotnych zabójstw i kanibalizmu.

Po spektaklu Chad i Linda długo nie mogli złapać taksówki, więc wrócili do swojego mieszkania w Upper East Side prawie o północy. Byli tak wstrząśnięci fabułą musicalu, a jednocześnie tak zachwyceni muzyką, że postanowili wymienić wrażenia przy kieliszku brandy. Wtedy zadzwonił telefon. Chad skrzywił się z niezadowoleniem. Kto, do cholery, zwraca mu głowę o tej porze? Podejrzewał, że to jeden z jego znerwicowanych - i oczywiście ważnych - autorów, z którym prowadził trudne rozmowy przez cały tydzień, bo wydawcy nie podobał się ostatni rękopis faceta. Chad próbował zignorować uporczywy dźwięk telefonu. Niech się nagra na automatyczną sekretarkę, pomyślał. W końcu podniósł słuchawkę.

Silny męski głos z trudem przebijał się przez szum na linii międzymiastowej.

- fu porucznik Raymond McKenzie z policji w New Haven. Wiem, że jest późno. Przepraszam, jeśli pana obudziłem, ale obawiam się, że to pilne.

Chad wzdrygnął się po tym, co za chwilę usłyszał.

- To chyba pomyłka - zdołał wykrztusić.

- Niestety nie - odparł ponuro porucznik. - Bardzo panu współczuję. W takich momentach nie cierpię mojej pracy - wyznał i podał instrukcje.

Chad wymamrotał, że zrozumiał, i odłożył słuchawkę.

Linda popatrzyła na męża. Spytała, dlaczego tak zbladł.

- Nie! - krzyknęła, kiedy jej powiedział. - Dobry Boże, to niemożliwe!

Odrętwienie zastąpił pośpiech. Wrzucili do walizki ubrania na zmianę i pobiegli do wynajętego garażu trzy przecznice od ich mieszkania. Trzymali tam dwuletniego forda (kupili go jednocześnie z domkiem w Connecticut, żeby móc spędzać weekendy blisko córki). Potem prawie nie pamiętali z szybkiej jazdy do New Haven. Tylko to, że w kółko powtarzali: „Nie, to niemożliwe!”

Głos porucznika MacKenziego zupełnie nie pasował do jego niskiej, szczupłej sylwetki. Chad i Linda uparcie zaprzeczali. Nawet gdy porucznik po raz kolejny powtórzył współczująco, że nie ma mowy o pomyłce. Nawet kiedy pokazał im torebkę Stephanie, jej portfel i prawo jazdy. Kiedy odczytał im zeznanie jej współlokatorki, że Stephanie nie wróciła na noc do akademika. Kiedy zeszli do kostnicy i zidentyfikowali zwłoki - a raczej to, co z nich zostało, choć twarz Stephanie nie była okaleczona. Wciąż się upierali, że to nie może być ona, że to ktoś do niej podobny, kto ukradł jej torebkę, że to jakaś koszmarna pomyłka!

Angela Lansbury śpiewała chłopcu, którego w *Sweeney Todd* traktowała jak syna, że nic mu nie grozi. Chad słuchał tej piosenki, niemal kołysanki, poprzedniego wieczoru i myślał o własnym jedynym dziecku. Przypominał sobie czasy, kiedy Stephanie była mała, a on czytał jej bajki na dobranoc, nucił piosenki i uczył ją modlitwy.

- Teraz położę się spać - powtarzała posłusznie jego ukochana córeczka - i pomodłę do Boga, żeby czuwał nad moją duszą. A gdybym umarła, zanim się obudzę, żeby zabrał mą duszę... Tatusiu, czy na świecie są potwory?

- Nie, kochanie. Są tylko w twojej wyobraźni. Śpij. Nie bój się. Tatus jest przy tobie. Nic ci nie grozi.

*Dopóki jestem przy tobie*, tak brzmiał tytuł piosenki. Ale przed dwoma laty Stephanie wyjechała do New Haven, żeby uzyskać w Yale bakalaureat z anglistyki. A ostatniej nocy zjawił się jakiś potwór i Chada nie było przy Stephanie, gdy znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Kiedy to się... - Chad z trudem łapał oddech. - O której ona...

- Ciało znaleziono ubiegłej nocy tuż przed jedenastą - odparł porucznik MacKenzie. - Lekarz policyjny ocenia, że zgon nastąpił między dwudziestą pierwszą trzydzieści a dwudziestą drugą.

- O dwudziestej pierwszej czterdzieści sześć - wyszeptał Chad.

Porucznik zmarszczył brwi.

- Mniej więcej. Trudno to precyzyjnie określić.
- Jasne. - Chad przygryzł wargę i poczuł smak łez. - Dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć.

Pamiętał dziwny przymus, żeby zerknąć na zegarek, kiedy poprzedniego wieczoru Angela Lansbury śpiewała, że jej przyjacielowi nic nie grozi.

W momencie, gdy potwór zabijał Stephanie.

Chad wiedział. Był pewien. Dwudziesta pierwsza czterdzieści sześć. O tej godzinie zginęła Stephanie. Poczł jej śmierć, jakby mała dziewczynka pociągnęła go za rękaw marynarki.

- Tatusiu, czy na świecie są potwory?
- Dopóki jestem przy tobie, nie.

Najwyraźniej powiedział to głośno, bo porucznik zmarszczył brwi i zapytał:

- Przepraszam, co pan mówił, bo chyba nie dosłyszałem?

- Nic. - Chad nie mógł powstrzymać płaczu. Przytulał zrozpaczoną Lindę i czuł niepohamowaną potrzebę zobaczenia Stephanie jeszcze raz. Mimo jej wyglądu. Chciał, żeby porucznik zaprowadził go z powrotem do kostnicy.

Pragnał tylko znów ją zobaczyć! Nie, to niemożliwe! Jezu, nie Stephanie!

Odrętwienie. Zaprzeczanie. Dezorientacja. Potem próbował zrekonstruować rozmowy. Pamiętał je jak przez mgłę. Choć podawano mu wszelkie szczegóły, potrzebował coraz więcej wyjaśnień.

- Nie rozumiem. Co się stało, do cholery? Macie jakieś ślady? Świadków? Znaleźliście skurwysyna, który to zrobił?

Porucznik tłumaczył mu z ponurą miną. Poprzedniego popołudnia Stephanie wybrała się do biblioteki uniwersyteckiej. Jej przyjaciółka widziała, że wyszła stamtąd o szóstej. W drodze powrotnej do akademika musiała kogoś spotkać. Może zaproponował, że ją podwiezie. Albo poprosił ją o pomoc przy wniesieniu czegoś do budynku. Albo ją porwał bez zwracania na siebie uwagi - może wzbudził jej współczucie, udając niepełnosprawnego. W każdym razie, Stephanie zniknęła.

Ciało znaleziono w rowie przy bocznej drodze poza granicami New Haven. Na ziemi nie było żadnych śladów krwi, co wskazuje, że morderstwa dokonano gdzie indziej. Zabójca zatrzymał się na poboczu, wybrał moment, gdy szosa była pusta, wyrzucił zwłoki z samochodu i odjechał.

Porucznik westchnął.

- To tylko zbieg okoliczności, że ostatniej nocy jakiś samochód zła pał gumę na tamtej drodze w miejscu, gdzie zabójca pozbył się zwłok.

Kierowca, farmer mieszkający w okolicy, zapalił latarkę., okrążył wóz, żeby sprawdzić koło, i zauważył ciało. Czysty przypadek, ale dzięki temu mamy ślady opon na poboczu. Wczoraj po południu padało, więc ślady były świeże. Kryminolodzy zdjęli bardzo wyraźne odciski bieżnika.

- Ślady opon? W ten sposób nie zidentyfikujecie zabójcy.

- Cóż, panie Dolan, w tej chwili mamy tylko to. Ale proszę mi wierzyć, że to więcej, niż udało się zdobyć wszystkim innym jednostkom policyjnym, które zajmują się tymi zabójstwami. Poza śladami na ciałach ofiar, oczywiście.

Liczba mnoga. Przynajmniej w tym momencie Chad nie potrzebował wyjaśnień. Wystarczyło jedno spojrzenie na ciało Stephanie, na to, co ten skurwiel jej zrobił - i od razu wiedział, kim jest zabójca. Oczywiście nie znał nazwiska skurwysyna. Ale każdy znał jego przezwisko. Gryzoń. Nadała mu je któraś z tanich supermarketowych gazet ilustrowanych. Poważne dzienniki zniżyły się do poziomu brukowców i też tak go nazywały. Bo oprócz tego, że gwałcił i dusił swoje ofiary (dotychczas osiemnaście kobiet, wszystkie białe, atrakcyjne blondynki przed dwudziestką, studentki), zostawiał na ich ciałach ślady ugryzień. Tak wynikało z raportów policyjnych.

Publikowane szczegóły były fragmentaryczne. Chad wyobrażał sobie ślady zębów na szyjach, rękach, ramionach, ale nie był przygotowany na to, co zobaczył na ciele córki. Zabójca nie gryzł ofiar - on je przeżuwał! Odrywał zębami wielkie kawały mięsa z ich rąk i nóg. Wyjadał dziury w ich brzuchach, odgryzał im sutki i wargi. Skurwysyn był kanibalem! Seryjnym zabójcą i...

*Sweeney Todd.*

Nic ci nie grozi.

Chad wyobraził sobie przerażenie samotnej Stephanie i jęknął, a potem krzyknął.

On i Linda przebrnęli w otępieniu przez koszmar załatwiania pogrzebu, czekania na wydanie ciała przez policję i zabierania rzeczy córki z akademika. Na jej biurku znaleźli niedokończony esej o sonetach Szekspira. W maszynie do pisania tkwiła jeszcze kartka z urwanym cytatem: Do czego cię przyrównać? Do dnia w pełni...\*

Na półce przy łóżku leżały podręczniki z podkreślonymi na czerwono fragmentami tekstów. Stephanie przygotowywała się z tych książek do egzaminów końcowych. Ubrania, pamiątki, radio, maskotka Kubusia Puchatka. Wszystko zmieściło się w walizce i trzech pudłach. Tak mało

\* William Szekspir, *Sonet 18*, przekład Stanisław Barańczak.



tego. Tak łatwo to usunąć. Jesteś i za chwilę już cię nie ma, pomyślał gorzko Chad. O Jezu.

- Bardzo mi przykro - powiedziała współlokatorka Stephanie. Była piegowata i nosiła okulary. Długie rude włosy wiązała w koński ogon. Wyglądała na zdruzgotaną. - Naprawdę. Stephanie była miła, inteligentna i zabawna. Lubiłam ją. Będzie mi jej brakowało. Była wyjątkowa. To po prostu niesprawiedliwe. Kurczę, mam zamęt w głowie. Nie wiem, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nie umarł mi nikt bliski.

- Rozumiem to - odrzekł ponuro Chad. Jego ojciec zmarł w wieku siedemdziesięciu lat na atak serca, ale tamta śmierć nie była dla niego takim szokiem. W końcu ojciec miał problemy z sercem od kilku lat. Odszedł, przeniósł się na tamten świat, Stwórca powołał go do siebie - obojętne, jaki eufemizm najlepiej ukrywał ten fakt i dawał największe pocieszenie. Ale to, co spotkało Stephanie, było okrutne i brutalne. Została zamordowana.

Dobry Boże, to niemożliwe!

Chad i Linda zanieśli rzeczy Stephanie do samochodu, wrócili na posterunek policji i dopóty męczyli porucznika MacKenziego, dopóki im nie wyjaśnił, jak trafić do miejsca, gdzie znaleziono Stephanie.

- Nie zdręczajcie się... - próbował im powiedzieć, ale już byli za drzwiami.

Chad nie wiedział, co chce zobaczyć, poczuć czy osiągnąć, oglądając miejsce, w którym zabójca zaparkował samochód i wyrzucił ciało Stephanie jak worek śmieci. Nie mogli podejść blisko, bo tego odcinka pobocza pilnował policjant, a teren ogrodzono żółtą taśmą z napisami MIEJSCE PRZESTĘPSTWA, WSTĘP WZBRONIONY. Na trawie na dnie rowu wymalowano białą farbą w sprayu kontur ciała Stephanie.

Linda zaczęła płakać.

Chad poczuł mdłości i wewnętrzną pustkę. Jednocześnie narastała w nim wściekłość. Cholerny skurwiel. Kiedy go znajdą... Wyobraził sobie, jak wali tamtego pięścią, dźga nożem, dusi... i nagle przypomniał sobie, że Stephanie została uduszona. Oparł się o samochód i głośno zaszczołał.

Wreszcie, po niekończących się formalnościach, wydano im ciało. Pojechali w milczeniu za karawanem do Nowego Jorku na pogrzeb. Choć twarz Stephanie nie była okaleczona, nie zgodzili się na wystawienie zwłok na widok publiczny. Krewni i znajomi nie zauważąliby śladów na jej ciele, bo zasłaniało je ubranie, ale Chad i Linda widzieliby te ślady w wyobraźni. Nie mogli też skazywać córki, żeby spoczywała w grobie całą wieczność z ohydnyymi znakami tego potwora na sobie. Musiała zostać

skremowana. Oczyszczona. Odzyskać niewinność. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Chad i Linda codziennie jeździli na cmentarz i tym wyprawom podporządkowywali plan każdego dnia. Nie żeby mieli dużo zajęć. Chada przestało interesować czytanie rękopisów, spotkania z autorami i załatwianie im umów z wydawcami, choć przyjaciele przekonywali go, że powinien wrócić do dawnego trybu życia, oderwać się od rozmyślań o córce i poświęcić swojej agencji literackiej. Ale praca nie miała dla niego znaczenia i coraz więcej czasu spędzał na długich spacerach po Central Parku. Cierpiał na zawroty głowy. Za dużo pił. Linda z kolei przestała dawać lekcje gry na pianinie, przesiadywała samotnie w mieszkaniu, oglądała zdjęcia Stephanie, patrzyła w przestrzeń i dużo spała. Sprzedali domek w Connecticut, który kupili tylko po to, żeby jeździć tam w każdy weekend i być blisko Stephanie, gdyby chciała ich odwiedzić. Sprzedali fordę, który był im potrzebny tylko do wyjazdów do domku.

Nic ci nie grozi. Słowa słodko-gorzkiej piosenki stale rozbrzmiewały w najciemniejszych zakamarkach umysłu Chada. Czuł, że zaczyna wariować. Nie mógł się powstrzymać od odwiedzania wszystkich miejsc związanych ze Stephanie: boiskowej dawnej podstawówki, jej szkoły średniej, zoo w Central Parku, trasy joggingu wokół jeziora; i wszędzie ją widział: w różnym wieku, różnego wzrostu, z różnymi włosami i w różnych ubraniach, jakby oglądał w wyobraźni zdjęcia. Widział dziwnie podwójne obrazy - przeszłość nakładała się na teraźniejszość. Mała dziewczynka chichotała na huśtawce w pobliskim parku, gdzie od dawna stał apartamentowiec. Pomyślał, że nie zniesie dłużej tego obłędu. Jakąż poczułby ulgę, gdyby rzucił się pod pędzący pociąg metra.

Nie zrobił tego, bo Stephanie mu zabroniła. Była trzecia nad ranem, a on krążył po kuchni, gdzie często spędzał bezsenne noce. Kiedy usłyszał głos Stephanie, wiedział, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Ale jej głos brzmiał tak prawdziwie i zarazem tak ciepło, że przyniósł mu ulgę w cierpieniu.

- Tato, pomyśl o mamie. Jeśli się zabijesz, będzie cierpiała podwójnie. Jesteś jej potrzebny. Pomóż jej. Zrób to dla mnie.

Pod Chadem ugięły się nogi. Osunął się na krzesło.

- Przepraszam, córeczko - wyszeptał.

- Nie mogłeś mnie uratować, tato. To nie twoja wina. Nie mogłeś czuwać nade mną cały czas. To mogło się stać inaczej. Mogłam zginąć w wypadku drogowym przecnicę od naszego mieszkania.

- Chodzi tylko o to, że tak cholernie za tobą tęsknię.

- Ja za tobą też, tato. Kocham cię. Ale nie odeszłam naprawdę. Przecież z tobą rozmawiam.

- Fakt... Przynajmniej tak mi się zdaje.
- Jestem daleko, ale jednocześnie jestem w tobie. Możemy rozmawiać, kiedy tylko zechcesz. Wystarczy, że pomyślisz o mnie, i zjawię się.
- Ale to nie to samo!
- To najlepsze, co możemy zrobić, tato. Tu, gdzie jestem... jest jasno! Szybuję w powietrzu! Jestem w ekstazie! Nie rozpaczaj po mnie. Musisz się pogodzić z moim odejściem. Musisz się pogodzić z tym, że twoje życie jest teraz inne. Zaangażuj się w nie z powrotem. Przestań pić. Więcej jedz. Zaczynaj znów czytać rękopisy. Odpowiadaj na telefony klientów. Nawiąż kontakty z wydawcami. Pracuj.
- Nie obchodzi mnie to!
- Musi cię obchodzić! Nie marnuj swojego życia dlatego, że ja straciłam moje! Nigdy ci nie wybaczę, jeśli...
- Proszę cię, kochanie, nie denerwuj się. Postaram się. Obiecuję. Naprawdę.
- Zrób to dla mnie.

Chad skinął głową, gdy plamka światła zniknęła.

Ale głos Angeli Lansbury nie ucichł. Bez względu na to, jak bardzo się starał, Chad nie mógł wyrzucić z głowy tej piosenki. A im dłużej jej słuchał, tym bardziej niepokoiło go ukryte, głębsze znaczenie jej słów. Mroczne i groźne. Wróżące nieszczęście.

Następną ofiarę Gryzonia znalazł trzy miesiące później autostopowicz na brzegu strumienia w pobliżu Princeton. Ciało zamordowanej studentki dwa tygodnie leżało w palącym słońcu w okolicy, gdzie grasowały dzikie zwierzęta żywiące się padliną, ale zachowało się w takim stanie, że lekarz policyjny zdołał ustalić, iż przyczyną śmierci było uduszenie, oraz odróżnić ślady ludzkich ugryzień od zwierzęcych. Tylko tyle ujawniono prasie, lecz Chad wiedział, co znaczą „ślady ugryzień”. Wzdrygnął się na wspomnienie kawałków mięsa, które zabójca oderwał zębami od ciała Stephanie.

Wkrótce przed tym zdarzeniem Linda zaczęła znowu udzielać lekcji muzyki, a Chad - dotrzymując obietnicy złożonej Stephanie - zmusił się do nawiązania kontaktów z autorami i wydawcami. Wiadomość o kolejnym zabójstwie Gryzonia groziła utratą kruchej stabilizacji, którą zdołali wreszcie osiągnąć. Chad, pod wpływem impulsu, napisał do rodziców zamordowanej studentki.

*Oplakujemy Państwa córkę jak naszą własną. Modlimy się o spokój ich dusz i błagamy Boga o sprawiedliwość. Oby złapano tego potwora, zanim znów zabije. Niech go piekło pochłonie.*

Prawdę mówiąc, Chad nie musiał się modlić o spokój dla duszy Stephanie. Wiedział, że jest jej dobrze. Mówiła mu to, ilekroć podczas

bezsennej nocy wchodził o drugiej czy trzeciej nad ranem do kuchni i znajdował tam płamkę światła. Mimo to narastała w nim wściekłość. Każdego ranka jedyną motywacją do wstania z łóżka była dla niego nadzieja, że dziś policja w końcu złapie potwora.

Zamiast tego znalazła kolejną ofiarę Gryzonia. We wrześniu, wkrótce po rozpoczęciu semestru jesiennego. Zwłoki leżały w kanale burzowym w pobliżu college'u w Vassar. Chad zadzwonił do porucznika MacKenziego i spytał, czy policja ma jakieś ślady.

- Tak - odparł porucznik. - Policja w Vassar znalazła takie same ślady opon. - MacKenzie westchnął ciężko. - Rozumiem pańską rozpacz, panie Dolan. I pański gniew. Pragnienie zemsty też. Ale niech pan da sobie spokój. Niech pan się zajmie swoim życiem, a my będziemy wykonywali naszą robotę. Wszystkie jednostki policji zaangażowane w sprawę tych zabójstw utworzyły sieć. Zapewniam, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby...

Chad z trzaskiem odłożył słuchawkę i napisał list do rodziców ostatniej ofiary Gryzonia.

*Dzielimy z Państwem smutek po stracie Waszej córki. Opłakujemy ją razem z Wami. Jeśli dobry Bóg ss:nieje, nasze dzieci zostaną pomśczone. Ich dusze doczekają się sprawiedliwości. Zbrodniarz odpokutuje za sprofanowanie ich niewinnych ciał.*

Chad nigdy nie dostał odpowiedzi od rodziców innych ofiar. Ale nie obchodziło go to. Zrobił, co mógł, żeby ich pocieszyć. Jeśli byli zbyt przygnębieni, by móc pocieszyć jego, trudno. Rozumiał to. Najważniejsze, że ich zapewnił, iż nie spocznie, dopóki potwornie zostanie ukarany.

Codziennie dzwonił do wszystkich komend policji w rejonach, gdzie Gryzoń pozbył się ciał swoich ofiar. Odwoływał lunchy z wydawcami, przekładał spotkania z autorami, zostawiał nieprzeczytane rękopisy. Koncentrował się na przepytывaniu detektywów z wydziałów zabójstw. Żądał wyjaśnień: dlaczego nie robią więcej, dlaczego nie mają wyników, dlaczego jeszcze nie wytropili skurwiela i nie pozwalają jego ofiarom spoczywać w świadomości, że ich zabójca zostanie ukarany, dlaczego nie chronią następnych potencjalnych ofiar przed jego brutalnością?

Tuż przed Świętem Dziękczynienia w Wellesley znaleziono kolejną ofiarę Gryzonia. Znow białą nastoletnią blondynkę. Zwłoki były w pojemniku na śmiecie za restauracją oddaloną półtora kilometra od tamtejszego college'u. Jasne, pomyślał Chad. Ten potwór potraktował ostatnią ofiarę tak samo jak Stephanie i wszystkie pozostałe. Jak śmiecie.

Napisał kolejny list i znowu nie dostał odpowiedzi. Uznał, że rodzice dziewczyny byli zbyt przygnębieni, by zareagować. Trudno. Spełnił swój

obowiązek. Zawiadomił, że dzieli z nimi smutek. Uświadomił im, że nie są sami. Że jest adwokatem ich córki i swojej.

Sylwester. Następną ofiarą. College w Dartmouth. Znów telefony do detektywów. Znów list do rodziców. Znów wizje w kuchni o trzeciej nad ranem. Plamka światła. Czuli głos.

- Tracisz nad sobą kontrolę, tato! Proszę cię! Błagam! Zajmij się swoim życiem. Ogól się. Weź kąpiel. Zmień ubranie. Większość autorów odwróciła się od ciebie. Mama odeszła! Boję się o ciebie!

Chad potrząsnął głową.

- Mama... Co? Zostawiła mnie?

Zaczął drzeć. Zdał sobie sprawę, że Linda spakowała kilka walizek i... dobry Boże. Teraz sobie przypomniał. Linda krzyczała:

- To już za długo trwa! Wystarczy, że cierpię z powodu śmierci Stephanie! Mam jeszcze patrzeć na to, co ze sobą robisz? Tego już za wiele, do cholery! Możesz niszczyć swoje życie, ale nie niszczyć mojego!

No, tak.

Oczywiście.

Trudno, pomyślał z przygnębieniem. Potrzebowała pocieszenia, którego nie potrafiłem jej dać. Wola boska. Znajdzie je u kogoś innego.

Zemsta. Kara. Chad kontynuował swoją misję z jeszcze większą furją. Znów telefony. Znów szaleńcze listy.

A potem przełom. Detektywi nie powiedzieli mu - ale teraz już to wiedział - że ślady opon pozostawione przez zabójcę jego córki zidentyfikowano jeszcze w kwietniu ubiegłego roku jako standardowe ogumienie określonego modelu amerykańskiej furgonetki. Nie tylko zwłoki Stephanie w pobliżu Yale, ale również późniejszą ofiarę z Vassar powiązano ze śladami opon konkretnego rocznika i modelu samochodu. A że wszystkie ofiary Gryzonii były studentkami college'ów i uniwersytetów w Nowej Anglii, skoncentrowano poszukiwania na tamtym terenie.

Kiedy atrakcyjna jasnowłosa studentka ledwo uniknęła wciągnięcia do furgonetki w drodze do akademika Uniwersytetu Browna, miejscowa policja - przygotowana na zagrożenie - zorganizowała blokadę okolicznych dróg i zatrzymała poszukiwany model furgonetki.

Przystojny kierowca był podejrzanie grzeczny. Zbyt uprzejmie odpowiadał na pytania i niczemu się nie dziwił. Policjant, tknięty przecuciem, poprosił go o otwarcie tylnych drzwi samochodu.

Oczy kierowcy zwięzły się.

Policjanta zmroziło jego intensywne spojrzenie. Wyciągnął rewolwer i powtórzył prośbę. Kierowca zawahał się. Policjant zabrał mu kluczyki. Furgonetkę wypełniały stopy pudeł.

Za nimi leżała związana i zakneblowana nieprzytomna studentka.

Gdy tego wieczoru policja ogłosiła komunikat o aresztowaniu podejrzanego w sprawie Gryzonia, Chad wniósł okrzyk triumfu.

Nareszcie! Sprzedawca podręczników. Skurwiela działał na wyższych uczelniach Nowej Anglii. Grasował w kampusach. Przyglądał się potencjalnym ofiarom, dokonywał selekcji, wybierał ostateczny cel i...

Chad wyobrażał sobie, jak Gryzoń wabił studentki.

- Te pudła z książkami są strasznie ciężkie. Zwichnąłem sobie lewy nadgarstek. Mogłabyś mi pomóc? Byłbym wdzięczny... Bardzo dziękuję. A przy okazji, na jakim jesteś wydziale? Naprawdę? Na anglistyce? Co za zbieg okoliczności. Ja też. Tutaj. Z tyłu. To już ostatnie pudło. Same pierwsze wydania. Nie uwierzysz, co tu mam.

Gwałt, tortury, kanibalizm i zabójstwo - to miał.

- Wejść dalej. Nic ci nie grozi.

Ale w końcu dorwali skurwiela. Nazywał się Richard Putnam. „Rzekomy” Gryzoń, jak ostrożnie podawały media. Ale gdy Chad zobaczył Putnama w telewizji, nie miał wątpliwości, że to on. Pewna siebie mina. Obojętne spojrzenie. Powinien się pocić ze strachu, szaleć z oburzenia. Zamiast tego patrzył prosto w kamery z irytującym spokojem. Socjopata.

Chad zadzwonił do policjantów i prokuratorów okręgowych z ostrzeżeniami, żeby nie dali się wykołować Putnamowi. Napisał listy do rodziców wszystkich ofiar z zachętą, by wykonali podobne telefony. Co noc o trzeciej nad ranem znajdował w kuchni jasne światelko Stephanie unoszące się w powietrzu.

- Wreszcie go złapali - powiedziała. - Teraz możesz się uspokoić. Śpij. Jedz. Odpoczywaj. Pracuj. Już po wszystkim.

- Nie będzie po wszystkim, dopóki ten skurwysyn nie zostanie ukarany! Chcę, żeby cierpiał! Żeby czuł takie przerażenie, jakie ty czułaś!

- On nie potrafi czuć przerażenia. On niczego nie czuje. Z wyjątkiem chwil, kiedy zabija.

- Wierz mi, skarbie, że kiedy przysięgli uznają go za winnego i sędzia ogłosi wyrok, ten socjopata nagle okaże się zdolny do odczuwania emocji!

- Właśnie tego się obawiam!

- Nie rozumiem! Nie pragniesz zemsty?

- Szybuję z taką cudowną szybkością że nie mam czasu na... Boję się.

- Czego?

Jasne światelko Stephanie zniknęło.

- Czego się boisz?

Nic ci nie grozi. Słowa piosenki wciąż rozbrzmiewały w głowie Chada. Skoro nie zdołał ochronić córki -tak jak jej obiecał, gdy była dziec-

kiem - powinien przynajmniej dopilnować, żeby potwór cierpiał. Dowiedział się, że wszystkie stany, w których dokonano zabójstw, domagają się procesu Gryzonia na swoim terenie. W rezultacie panuje biurokratyczny chaos i trwają spory o pierwszeństwo w sądzeniu zabójcy.

Konflikt między władzami stanowymi trwał, więc Chad złożył wizyty rodzicom wszystkich ofiar i namówił ich do utworzenia grupy obywatelskiej. Zwoływali konferencje prasowe, na których nalegano, by proces odbył się w tym mieście, w którym zebrano najmocniejsze dowody zbrodni.

Miał ogromną satysfakcję, kiedy jego wysiłki przyniosły rezultaty i na miejsce procesu wybrano New Haven, gdzie Gryzoń miał być sądzony za zabójstwo Stephanie. Minął rok. Zgodnie z warunkami rozvodu, Chad sprzedał swój apartament na Manhattanie i podzielił siępieniędzmi z Lindą. Przeprowadził się do tańszego mieszkania w New Haven i utrzymywał z dziesięcioprocentowych tantiem od swoich dawnych autorów, dla których wynegocjował kontrakty.

Sukces.

Oczywiście.

Zanim Stephanie...

Nic ci nie grozi?

Bzdura! Grozi jak cholera!

W czasie procesu Chad codziennie siadał w pierwszym rzędzie, żeby dobrze widzieć pozbawioną emocji, pewną siebie minę Putnama, która zdawała się mówić, że to jakaś pomyłka. Ty sukinsynu, myślał. Okaż strach, okaż skruchę. Cokolwiek. Ale nawet gdy prokurator okręgowy pokazał przerażające zdjęcia okaleczonego ciała Stephanie, potwór nie zareagował. Chad miał ochotę przeskoczyć przez barierkę, rzucić się na niego i wydłubać mu oczy. Potrzebował całej siły woli, żeby nie wykrzyknąć litanii przekleństw.

Ława przysięgłych obradowała dziesięć dni.

Dlaczego tak długo?

W końcu uznano Putnama za winnego.

I tym razem potwór nie zareagował.

Nie zareagował również wtedy, gdy sędzia wymierzył mu najwyższą karę dopuszczoną w stanie Connecticut: dożywocie.

Ale zareagował Chad.

- Dożywocie?! - wrzasnął. - Zmieńcie prawo! Ten skurwysyn zasługuje na karę śmierci!

Chada usunięto z sali. A adwokat Putnama przekonywał dziennikarzy, że doszło do pomyłki sądowej, i zapowiedział apelację.

Zaczął się kolejny horror - zawiłości i luki w systemie prawnym. Minął następny rok. Potwór spędził go wprawdzie w więzieniu, ale Chad

zastanawiał się, co będzie, jeśli sędzia uzna, że Putnam jest niepoczytalny. Co wtedy? Rok więzienia za to, co zrobił Stephanie? Jeżeli zostanie zwolniony z powodów proceduralnych albo umieszczony w szpitalu psychiatrycznym, gdzie będzie udawał, że reaguje na terapię, i w końcu wypiszą go jako „wyleczonego”...

Znów zabije!

O trzeciej nad ranem w swoim ponurym mieszkaniu w New Haven Chad ocknął się z drzemki przy stole kuchennym i podniósł głowę. Uśmiechnął się w kierunku płamki światła Stephanie.

- Cześć, kochanie. Cudownie znów cię widzieć. Gdzie się podziewałaś? Bardzo za tobą tęskniłem.

- Musisz z tym skończyć!

- Wyrównuję rachunki za ciebie.

- Przerażasz mnie!

- Gdy tylko będę miał pewność, że zostanie ukarany, uporządkuję moje życie. Obiecuję, że się zmienię.

- Nie o to mi chodzi! Nie mam czasu na wyjaśnienia! Tak szybko szybuję! To takie wspaniałe! Przestań to robić!

- Nie potrafię. Jak możesz spoczywać w spokoju, skoro on nie...

- Boję się!

Apelacja Putnama została odrzucona. Ale minął kolejny rok. W międzyczasie Linda ponownie wyszła za mąż. Tantiemy Chada od jego dawnych autorów skurczyły się. Musiał się przeprowadzić do skromniejszego mieszkania. Zaczął wyjmować pieniądze z funduszu emerytalnego. Z karnymi odsetkami. Zapuścił brodę. Duża wygoda - nie potrzebował się golić. Co z tego, że brudne włosy opadały mu na uszy? Nie musiał na nikim robić dobrego wrażenia. Ani na autorach, ani na wydawcach. Na nikim.

Z wyjątkiem Stephanie.

Gdzie ona jest, na Boga?

Opuściła go. Dlaczego?

Gryzoniowi udowodniono tylko zabójstwo Stephanie. Innych nie. Putnam nie przyznawał się do winy. Władze miały dosyć jego uporów. Postanowiły go przycisnąć, zmusić do zeznań, żeby wreszcie zamknąć śledztwo w sprawie pozostałych zabójstw. Zanim Putnam został sprzedawcą książek w Nowej Anglii, pracował na Florydzie. Przed laty zamordowano tam atrakcyjną jasnowłosą studentkę uniwersytetu stanowego. Zabójca okaleczył ofiarę nożem, nie zębami. Żaden trop nie prowadził do Gryzonia. Ale w archiwach tamtego miasta na Florydzie odkryto, że Putnam dostał kwit parkingowy w pobliżu miejsca zniknięcia ofiary po jej wyj-



ściu z biblioteki uniwersyteckiej. Poza tym miał taką samą rzadką grupę krwi jak tamten zabójca. Wykazała to analiza spermy pozostającej w ciele ofiary. Krew identycznej grupy była w spermie Putnama pozostawionej w zwłokach Stephanie. Lata temu nie byłoby to wystarczającym dowodem dla sądu z powodu ograniczeń technicznych. Ale teraz...

Putnama aresztowano za zabójstwo studentki. Jego adwokat zażądał nowego procesu. Znakomicie. Na Florydzie maksymalny wyrok to nie dożywocie, lecz kara śmierci.

Chad przeniósł się na obrzeża Uniwersytetu Stanu Floryda. Jego fundusz emerytalny i tantiemy z wynegocjowanych kiedyś kontraktów stale malały. Ubierał się i wyglądał coraz gorzej. Był zaniedbany i wychudzony. Linda zmarła na raka piersi. Oplakiwał ją, ale nie tak bardzo jak Stephanie.

Proces na Florydzie ciągnął się w nieskończoność. Chad znów przychodził patrzeć na potwora. Znów cierpliwie znosił zawiłości systemu prawnego. Znów drżał na widok dowodów pokazywanych w sądzie.

Putnama uznano za winnego. Tym razem skazano go na karę śmierci. Chad wiwatował i znów usunięto go z sali. Grupy przeciwników kary śmierci podniosły wrzawę. Wystosowały petycje do Sądu Najwyższego Florydy i gubernatora stanu o złagodzenie wyroku. Chad z kolei słał listy do mediów i rodziców ofiar Gryzonia, żeby wykorzystali wszystkie swoje wpływy do utrzymania wyroku w mocy.

Richard Putnam wreszcie zareagował. Najwyraźniej zrozumiał, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, i próbował zawrzeć ugodę. Przyznał się do popełnienia zabójstw w innych stanach i zaproponował ujawnienie szczegółów w zamian za złagodzenie wyroku.

Detektywi z kilku stanów przesłuchali go w sprawach tajemniczych zaginięć studentek. W końcu, po wysłuchaniu dokładnych opisów tortur i aktów kanibalizmu, odmówili zwrócenia się do sędziego o złagodzenie wyroku. Egzekucję odraczano cztery razy, ale w końcu Putnama ogolono, posadzono na krzesło elektrycznym i uśmiercono prądem o napięciu dwóch tysięcy woltów, który przepłynął przez jego mózg.

Chad stał o północy w deszczu przed więzieniem wśród zwolenników kary śmierci. Razem z nimi trzymał w górze transparent: USMAŻ SIĘ, PUTNAM. MAM NADZIEJĘ, ŻE BĘDZIESZ CIERPIAŁ TAK JAK STEPHANIC. Egzekucję wykonano punktualnie. Wreszcie, po tylu latach, doznał uczucia triumfu i ulgi.

Ale gdy wrócił do swojej kawalerki pełnej karaluchów i o trzeciej nad ranem opijał sukces tanim winem, ucieszył się jeszcze bardziej, bo znów pojawiło się światło Stephanie. Wróciła!

Nie widział jej i nie rozmawiał z nią od tylu lat! Myślał, że opuściła go na zawsze. I nie rozumiał dlaczego. Przecież mu obiecała, że zjawi się, ilekroć będzie chciał z nią porozmawiać. Prosiła wprawdzie, żeby zaprzestał starań o ukaranie potwora, ale tego też nie pojmował.

Teraz wreszcie zrozumiał.

- Ostrzegałam cię, tato! Próbowałam cię powstrzymać! Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Tak się boję!

- Wyrównałem rachunki za ciebie! Możesz wreszcie spoczywać w spokoju!

- Nie! To znów się zacznie!

- O czym ty mówisz?

- Jest wolny! Idzie po mnie! Nie pamiętasz? Mówiłam ci, że odczuwa emocje tylko wtedy, gdy zabija! I teraz, kiedy został uwolniony, nie może się doczekać, żeby znów to zrobić! Idzie po mnie!

- Przecież mówiłaś, że tak wspaniale szybujesz! Jak mógłby cię dogonić?

- Dwa tysiące voltów! Jest jak rakietka! Szczęrzy zęby! Wyciąga ręce! Pomóż mi, tatusiu! Obiecałeś!

Psychiatra, który przeczytał list pożegnalny Chada, uznał autora za ogarniętego zabójczą obsesją. Chad poranił dłonie, kiedy przełaził przez ogrodzenie z drutem kolczastym na szczycie. Ale nie zwracał uwagi na ból. Nie pamiętał nawet o swoim lęku wysokości, gdy wspinał się na wysoką jak wieża konstrukcję wśród głośnych wezwań strażników, żeby się zatrzymał. Liczyło się tylko to, że Stephanie jest w niebezpieczeństwie. Musiał złapać się linii wysokiego napięcia, żeby poraziło go dwadzieścia tysięcy voltów - dziesięć razy więcej, niż przepłynęło przez Gryzonia - i wystrzeliło w kierunku Stephanie. Wiedział, że jego ciało stanie w płomieniach, ale cierpienie fizyczne nie miało znaczenia. Liczył się tylko impet jego duszy.

Pędź przed siebie, skarbie! Najszybciej, jak możesz!

Ale ja będę szybszy! Potwór cię nie dopadnie! Nic ci nie grozi!

Dopóki mogę pomóc.

## Elvis 45

*Przyznaję, że Elvis 45 to najbardziej tajemniczy tytuł, jaki kiedykolwiek wymyśliłem, za nic w świecie jednak bym go nie zmienił. Musicie wiedzieć, że w szkole średniej byłem członkiem społecznej komisji upoważnionej do doboru i zakupu płyt na weekendowe potańcówki. Jak sugeruje opowiadanie, w tych pradawnych czasach w sklepach muzycznych były kabiny do przesłuchiwania płyt. Jeżeli mieliśmy ochotę, mogliśmy spędzać tam całe popołudnia. Oczywiście nie na słuchaniu płyt CD — ten format nie został jeszcze wtedy wynaleziony. Królowali winyl i Elvis. Wielu z was jest zbyt młodych, byście mieli okazję słuchać muzyki z płyty winylowej (do dziś uważam, że brzmi lepiej niż z płyty CD), a tym, którzy taką okazję mieli, określenie „ winylowa płyta ” prawdopodobnie kojarzy się z „ longplejem ” (płytą długogrającą o średnicy pizzy), zawierającym pięć, sześć piosenek z każdej strony i obracającym się z prędkością trzydzieści trzy i jedna trzecia obrotów na minutę. Istniał jednak także inny format płyty winylowej: o małej średnicy, z jedną piosenką z każdej strony, czyli singiel 45 (od liczby obrotów na minutę). To właśnie ona dała tytuł temu opowiadaniu - razem z pistoletami kaliber 45, którymi Elvis tak lubił się bawić. Tytuł kojarzy się także z numerem kursu uniwersyteckiego - takim, jak angielski 101 czy Presley 45. A nie mówiłem, że tytuł jest tajemniczy? W każdym razie opowiadanie zostało napisane do wydanej w 1994 roku antologii The King is Dead (Król nie żyje) i stanowiło dla mnie okazję do poeksperymentowania z niecodzienną techniką pisarską. Nie ma w nim wprowadzenia w akcję. Nie ma opisów. W dialogach unikałem didaskaliów. Opowiadanie składa się wyłącznie z fragmentów dialogu oraz podobnych do dialogu substytutów.*

A więc chce pan poprowadzić kurs...? -  
O Elvisie Presleyu.

- Elvisie...?
- Presleyu.
- Obawiałem się, że pan to powie.
- Ma pan coś przeciwko Presleyowi?
- Nie, jeżeli pojawia się w odpowiednim miejscu. W radiu ze złotymi przebojami, kiedy tkwię w korku. Fred, naprawdę mówi pan poważnie? Nie jesteśmy Wydziałem Muzyki. Choć nie wyobrażam sobie zaproponowania także im kursu na temat Elvise. Muzykologiczna ocena jego twórczości... kiepski żart, jak miałbym więc uzasadnić nauczanie o Elvisie na Wydziale Anglistyki? Subtelnością tekstów? Poetyką *Więziennego rocka*? Niech pan da spokój... dziekan pomyślałby, że straciłem rozum. Poprosiłby mnie o rezygnację ze stanowiska prezesa. Fred... nie sprawia pan wrażenia, że to, co mówię, do pana dociera...
- To nie będzie kurs z zakresu literatury.
- Słucham?
- To będzie kurs kulturoznawczy.
- Nie bardzo...
- Oferujemy kursy o kulturze wiktoriańskiej oraz o dziewiętnastowiecznej kulturze amerykańskiej. Ten będzie dotyczył amerykańskiej kultury XX wieku.
- Nie sądzi pan, Fred, że pojmuję pan kulturę dość szeroko? Niech pan chociaż spróbuje usłyszeć, co mówi! Na Boga: Elvis Presley! Wydział stałby się pośmiewiskiem. Na dodatek akurat pan chce poprowadzić kurs!
- Co w tym niestosownego?
- Właśnie o to mi chodzi. „Co w tym niestosownego?“, a nie: „Co w tym złego?“ albo „Czemu nie?“ Piękny literacki język. Jest pan jedyną osobą na wydziale, która mówi, jakby pisała esej do „Kwartalnika Filologicznego“. Precyzja języka. To wspaniałe, ale... Fred... nie jest pan typem... wykładając o Elvisie Presleyu, brzmiałby pan absurdalnie. Nie jest pan -jak powiedzieliby uczniowie - *cool*.
- Może właśnie dlatego chcę poprowadzić zajęcia.
- W szkole średniej. Kiedy miałem piętnaście lat.
- O czym ty mówisz?
- Edno, jeżeli przestaniesz mi przerywać, to ci wyjaśnię. Kiedy miałem piętnaście lat, w naszej szkole była komisja uczniowska wybierająca muzykę na piątkowe potańcówki, które odbywały się wieczorami po meczach futbolu i koszykówki.

- Widzę, że znowu będziemy mieli wspominki. Jak co wieczór przy kolacji. Cóż, jeżeli mam wysłuchać kolejnej opowieści, to podaj mi wino.
- Nie muszę opowiadać.
- W takim razie ja muszę zadzwonić.
- Byłem przewodniczącym tej komisji. Miałem trzech podwładnych i co piątek szliśmy po szkole do naszego ulubionego sklepu muzycznego.
- Zdawało mi się, że mówiłeś, że nie będziesz opowiadał.
- Pomyliłem się. Muszę o tym opowiedzieć.
- A ja muszę zadzwonić.
- Do Petera Robinsona?
- Na jakiej podstawie sądzisz, że zamierzam dzwonić do...
- Wyglądacie na bardzo zaprzyjaźnionych.
- Czyżbyś insynuował, że...
- Napij się wina. W sklepie muzycznym stały dźwiękoszczelne kabiny. Klienci mogli wybierać interesujące ich płyty i odsłuchiwać je w kabinach. Co sobota z moją komisją...
- Fred, czy ktoś ci już kiedyś mówił, że opowiadasz, jakbyś wykładał? .-;.... spędzałem w nich wiele godzin. Komisji wolno było kupować tylko dwie płyty na tydzień. Małe. Czterdziestki piątki. Ten format był wtedy całkiem nowy.
- Fred, wiem o tym. Pamiętam, jak wyglądają czterdziestki piątki.
- Zanim kupiliśmy dozwolone dwie płyty, przesłuchiwaaliśmy czasem nawet i trzydzieści. Dziwne, ale właścicielowi sklepu zupełnie to nie przeszkadzało. Dla mnie ta kabina pośrodku sklepu była...
- Fred, jak mam się napić wina, skoro nie podajesz mi butelki?
- ... czymś, czym powinien być dom. Nigdy nie miałem lepszych przyjaciół od chłopaków z tej komisji. Każdą płytę omawialiśmy z największym zapalem, zdecydowani przynieść na potańcówkę możliwie najlepszą muzykę. Już wtedy miałem niedowagę, no i jestem niski, więc...
- Fred - czy ta historia ma puentę?
- .. nie miałem szansy być tak popularny jak zawodnicy z drużyn futbolowej i koszykarskiej. Jeśli się zastanowić, to właściwie wszyscy członkowie naszej komisji byli... pewnie byś to określiła: „szurnięci”. Tak jak ja. Próbowaliśmy więc zdobyć popularność inaczej. Decydując o muzyce na potańcówkach. Uczniowie musieli do nas przychodzić, i składać zamówienia. Musieli być dla nas mili, bo inaczej nie zagrałibyśmy tego, co chcieli.
- Fred...
- Oczywiście sam nigdy nie tańczyłem. Byłem zbyt nieśmiały. Potańcówki były tylko pretekstem, pozwalającym mi pójść w piątek po szkole

do sklepu muzycznego. Chyba nigdy nie przeżyłem czegoś tak podniecającego, jak słuchanie w tamtej dźwiękoszczelnej kabinie Ehrisa Presleya śpiewającego *Don't Be Cruel*. Miałem wrażenie, że śpiewa do mnie. Czuję jego emocje - poczucie bycia przyłapanym na występku, bycia wyrzutkiem. Co to było za objawienie... co za wrażenie, że jestem uprzywilejowany, mogąc słuchać nagrania, zanim usłyszy je na potańcówce reszta uczniów.

- Fred, powiedz mi wreszcie, czy ta historia ma puentę?
- Już nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak wtedy.

- Na kurs zapisało się dwustu dwudziestu pięciu studentów. Muszę powiedzieć, że jestem zadowolony. Nigdy bym się nie spodziewał, że przyciągniemy tylu entuzjastów Presleya.

(Śmiesznie wygląda, co? Popatrz na te jego okulary ze szklami jak denka od butelek i na muchę).

- Jak podkreśliłem w planie kursu, który rozdałem, temat... Elvis Aron Presley... może być dla niektórych mylący. Doszliście do wniosku, że ten kurs jest czymś, co w waszym języku nazywa się „lekcjami na świeżym powietrzu”, i można się spodziewać dobrych ocen przy niewielkim nakładzie pracy. Prawda wygląda inaczej. Oczekuję takiej samej staranności, jaką wykazują moi studenci na kursach semiotyki i poststrukturalizmu.

(Śmiesznie gada).

- Naszym tematem jest jedna z tych rzadkich jednostek, która dzięki talentowi, charakterowi i zbiegowi okoliczności stała się ogniskową głównych trendów w kulturze, w której żyła. Mamy do czynienia z młodym osobnikiem płci męskiej z Południa, który zaadaptował tematy i techniki zaczerpnięte z czarnej muzyki, czyniąc je możliwymi do przyjęcia przez segregacjonistycznie nastawioną białą publiczność. Można twierdzić, że muzyka Presleya, przerzucając pomost między białym a czarnym, stworzyła klimat, w którym możliwa była desegregacja. Podobne argumenty można wysunąć, mówiąc o wkładzie Presleya w rozwój kontrkultury lat pięćdziesiątych oraz późniejszej rewolucji seksualnej.

(To z tą rewolucją seksualną brzmi ciekawie).

- Muszę powiedzieć, że w pierwszym odruchu zamierzałem zakazać Fredowi poprowadzenia tego kursu. Cieszę się, że zmieniłem zdanie, i nie muszę chyba dodawać, że dziekan jest bardzo zadowolony z rosnącej liczby zapisów. Czy chcę jeszcze jedno martini? Jak najbardziej. Na przyjęciach zawsze mam straszne pragnienie. A skoro mowa o dziekanie. Popatrzcie na

Freda - tam w kącie - który z nim rozmawia. Choć chyba dokładniejsze byłoby określenie „robi mu wykład”. Jedyne pytanie, na jakie Fred jest teraz w stanie rozmawiać, to Elvis. Biedny dziekan wygląda, jakby się obawiał, że po przyjęciu będzie miał egzamin. Elvis całkiem padł Fredowi na mózg.

- Jestem jednym z ludzi, którzy widzieli pierwszy występ Elvise w telewizji. Nie, nie mam na myśli *Show Eda Sullivana*. Wszyscy słyszeli, o co chodzi, i wiedzą, że Sullivan nalegał, aby śpiewając, Elvis nie ruszał biodrami, i że kamera obejmowała go od pasa w górę. Ten incydent jest doskonałym przykładem represji kulturowej i seksualnej, którą Elvis przełamał. Mówię o wcześniejszym show telewizyjnym. Kiedy Jackie Gleason zrobił sobie przerwę wakacyjną, zastępowali go bracia Dorsey i oni pokazali po raz pierwszy Elvise - kręcącego biodrami i tak dalej - widzom w większości nieznanymi rocka i obciążonymi konwencjami.

- Kręci tyłkiem. Po co? Nigdy przedtem nie widziałem czegoś...  
- Powinno się tego zakazać. Facet nie jest lepszy od zbrodniaka.  
- I popatrz, jakie ma długie... kto to jest? Mężczyzna czy kobieta? Za każdym razem, kiedy szarpie głową, włosy wpadają mu do oczu. A baczki ma brzydkie jak nieszczęście. Znowu kręci...  
- Tato, wiesz, jak go nazywają? Elvis the Pelvis\*.  
- Zamknij gębę, Fred. Idź do swojego pokoju i weź się do nauki. Nie chcę, żebyś oglądał takie śmiecie.

- Trudno przecenić znaczenie pojawienia się Elvise z braćmi Dorsey. Ci, którzy nie widzieli występu, dowiedzieli się o nim od innych i ubarwili go za pomocą wyobraźni. Zjawisko zaczęło się... >  
- Panie profesorze?  
- Proszę zaczekać z pytaniami do końca wykładu.  
- Chciałem tylko spytać, czy nie uważa pan za ironię losu, że Elvis został przedstawiony telewizyjnej publiczności przez muzyków, którzy jego pokoleniu wydawali się tak przestarzały, jak on wydaje się przestarzały fanom Metaliki?  
- To ma być pytanie czy stwierdzenie?  
- Pomyślałem, że może któregoś dnia ktoś zaproponuje kurs o Metalice. (Cha, cha, cha).

\* Elvis the Pelvis (ang.) - Elvis „Biodro” (przyp. tłum.).

- Fred, dość tego! Jest trzecia nad ranem! Nie mogę spać przy tym hałasie! Ile razy mam wysłuchiwać *AU Shook Up!* Sąsiedzi zaraz zaczną się skarżyć! Proszę bardzo! Nie mówiłam? To pewnie któryś z nich!

- Widzisz te baki, które Fred próbuje zapuszczać? Przypominają gąsienice.

- Przy jego łysinie to jedyne miejsce, gdzie może coś zapuścić.
- Buty z niebieskiego zamszu\* też nie bardzo mu pasują. Brakuje tylko, żeby zaczął się uczyć grać na gitarze.
- I zamiast wykładami, zanudzał nas koncertami.
- Albo kazał nam czytać książkę, którą pisze.

### *Upadek legendy*

#### Rozdział szósty

Zasadniczy przełom w karierze Elvise nastąpił w 1958 roku, kiedy został powołany do wojska i wysłany do Niemiec. Parafrazując słowa jednej z jego najbardziej znanych piosenek, wtedy zaczął się upadek. Ten epizod był pełen implikacji. Rząd okazał się silniejszy od buntownika, ostrzyżenie wspaniałych, uczesanych w kaczki ogon włosów Presleya symbolizowało utratę jego męskiej siły - było swoistą symboliczną kastracją. Dwa lata wojskowej indoktrynacji zrobiły swoje. Długo oczekiwany powrót Elvise do społeczeństwa okazał się szokiem. Uśmiech, za pomocą którego sygnalizował młodym słuchaczom pogardę dla autorytetów, został zastąpiony skrzywieniem ust demonstrującym chęć bycia do usług. Wcześniej jego maniera „tak, proszę pana - nie, proszę pana” miała w sobie coś z tonu czarnego służącego, fałszywie ugrzecznionego wobec białych panów; teraz Elvis wydawał się naprawdę zdecydowany utorować sobie drogę do establishmentu. Nawet znów długie włosy wyglądały jak oklapłe. Jeżeli pominiemy znane jedynie lokalnie „południowe” przeboje z lat 1954-1956, staje się jasne, że jego zadziwiająca kariera pozostała czysta tylko przez kolejne dwa lata i ograniczyła się do czternastu nagrań sprzedanych w wielomilionowych nakładach. Po przerwie spowodowanej służbą wojskową przeboje nadal się pojawiały, ale autoironiczny utwór *My Way* jest ledwie dalekim echem niewinności *Hound Dog*.

- Robił wszystko na własny sposób, zgadza się. Został narzędziem establishmentu.

\* Aluzja do przeboju Elvise Presleya *Blue Suede Shoes* (przyp. tłum.).



- Fred...
- The Jordinares zostali splawieni. Zamiast małej sekcji rhythm and bluesowej miał ekwiwalent mormońskiego chóru kościelnego.
- Fred...
- Piosenki straciły wszelkie pozory i treść. Na przykład nowa wersja *O sole mio*, która dostała tytuł *Its Now or Never*, była tak przesłodzona, że aż dziwne, iż słuchacze nie umierali z zatrucia cukrem.
- Fred, gadasz, odkąd zaczęliśmy jeść kolację. Rzygać mi się chce od słuchania o Elvisie. Prawdę mówiąc, niedobrze mi się robi od samego słuchania ciebie. Jestem pewna, że państwo Robinsonowie też chcieliby coś powiedzieć.
- Och... bardzo przepraszam. Chyba dałem się ponieść. Dobry Boże... jak mogłem się zapomnieć? A tak a propos, pani Robinson, wie pani, że pani mąż dyma moją żonę?
  
- Trzydzieści trzy beznadziejne filmy.  
(Wieść niesie, że nasz profesor się rozwodzi).
- Każdy bardziej miałki od poprzedniego. W coraz większym stopniu ich jedynym wątkiem wydaje się przekaz, że widz powinien jechać na wakacje do Las Vegas, Fort Lauderdale, Acapulco, na Hawaje czy w inne miejsce, gdzie rozgrywa się akcja-jakby Elvis stał się agentem biura podróży albo rzecznikiem izby handlowej.  
(Może jego żona nie jest fanką Elvisa).
- Las Vegas. Ten symbol luksusu staje się synonimem upadku Elvisa. Stylizowany na meksykańską modę garnitur, wyrażający protest przeciwko establishmentowi, po powrocie z wojska zamienił na parodię skórzanej kurtki motocyklisty, a w końcu na wyszywane cekinami garnitury z pelegrynami, które ostentacją dorównywały strojom Liberace'a. Kiedy Elvis pojawił się ponownie w telewizji w 1968 roku, wyglądał jak tandetny piosenkarz z Las Vegas, którym wkrótce się stał.  
(Słyszałem, że w Today mają pokazać program o nim).
- Dziewięć lat później umarł w toalecie.
  
- Profesorze Hopkins, dlaczego uważa pan, że Elvis to odpowiedni temat kursu uniwersyteckiego?
- Jeżeli przyjrzeć mu się bliżej, jest symbolem Ameryki.
- Obawiam się, że za panem nie nadążam, profesorze.
- Mówiłem, że... Słyszysz mnie pan, Bryant?
- Tak, bardzo dobrze.
- Proszę sobie wyobrazić chłopca wychowywanego do śpiewania muzyki gospel w kościele zielonoświątkowców, chłopca zapatrzonego w matkę,

który nagle, z dnia na dzień, staje się sławny. Wszystko wskazywało na to, że stopi się z establishmentem, a jednak postanowił z nim walczyć. Kiedy nagrywał pierwszą piosenkę dla Sama Phillipsa w Memphis, miał dopiero dziewiętnaście lat i nikt nie podejrzewał, że ktoś tak młody okaże się tak ważną siłą w procesie przemian kulturowych. Popularyzując czarną muzykę, propagował zrozumienie między rasami, i bez wątpienia można go uznać za postać równie ważną dla ruchu praw obywatelskich jak Martina Luthera Kinga.

- Profesorze Hopkins...
- W kontekście rewolucji seksualnej człowiek ten...
- Profesorze Hopkins, ta uwaga o ruchu praw obywatelskich i Martinie Lutherze Kingu... Nie sądzi pan, że to lekka przesada?
- Nic, co dotyczy Elvise, nie może być przesadą. On w ciągu zaledwie kilku lat odmienił całe stulecie.
- Profesorze Hopkins...
- Ale w końcu został ofiarą zdegenerowanego społeczeństwa. Najpierw był symbolem buntu, a potem stał się symbolem zła amerykańskiego społeczeństwa. Kiedy umarł w toalecie, uzależniony od narkotyków, noszący pieluchy, tłusty żarłok, pokazał po raz ostatni, jak destrukcyjny jest kapitalizm.
- Profesorze Hopkins...
- Tak naprawdę był od dłuższego czasu martwy, a Graceland, ten jaskrawy monument dekadencji, był tylko mauzoleum jego chodzących zwłok.
- Profesorze Hopkins, obawiam się, że kończy nam się czas.
- Mam dziś na sobie ten wyszywany cekinami garnitur i pelerynę, bo wykrzywiony obraz Elvise musi zostać pomszczony. Widzi pan ten pistolet?
- Na boga, profesorze...
- Wiele razy opisywano, jak Elvis strzelił z pistoletu do telewizora. Nawet w narkotycznym ośpieniu zdawał sobie sprawę, że telewizja jest jego wrogiem - że manipuluje amerykańskim społeczeństwem i niszczy wszelkie wartości. W imieniu Elvise...

- ... strzelił w obiektyw kamery, przed którą udzielał wywiadu dla programu *Today*. Zastrzelił dziennikarza nagrywającego reportaż i kilku studentów, których zaprosił na nagranie jako przedstawicieli uczestników jego kursu. Poszedł do biura Wydziału Anglistyki i zastrzelił kierownika, a stamtąd udał się do budynku administracji uniwersytetu, gdzie zastrzelił dziekana. Następnie pojechał do swojego domu i zastrzelił żonę, z którą od dłuższego czasu pozostawał w konflikcie, oraz jej znajomego Petera Robina, którego właśnie gościła. Na koniec poszedł do sklepu muzycznego

w centrum, gdzie wziął do ręki stertę płyt kompaktowych Elvisa, krzyknął: „Gdzie kabina?! Nigdy nie byłem tak szczęśliwy! Niech żyje rock and roli!” i strzelił sobie w głowę. Na kartce, którą znaleziono w jego kieszeni, było napisane: *Ali Shook Up*. Organa śledcze wciąż badają jedno z najstraszniejszych masowych morderstw, jakie miały miejsce na amerykańskim uniwersytecie. Dla NBC mówił...

Dzięki transmisji na żywo wydarzeń znanych pod nazwą „zemsty Elvisa” program *Today* uzyskał największą oglądalność od dwóch lat. Zapowiedziano produkcję telewizyjnego filmu na temat tych wydarzeń.

## Środowisko

*W dalszej części tego zbioru opowiadań przeczytacie o złej stronie przemysłu filmowego i telewizyjnego. Dla kontrastu, tło realizacji scenariusza Środowiska było moim dobrym „hollywoodzkim” doświadczeniem. Napisałem „hollywoodzkim” w cudzysłowie, gdyż firma producencka realizująca ten scenariusz miała siedzibę w Nowym Jorku niedaleko Flatiron Building. Nazywała się Laurel Entertainment. Jej dwaj szefowie, Richard Rubenstein i Mitchell Galin, zajmowali się głównie produkcją telewizyjnych programów fantasy i horrorów, Tales from the Darkside (Mroczne opowieści) i Monsters (Potwory). Okazjonalnie realizowali też filmy, na przykład zekranizowali Creepshow (Odraza) Stephena Kinga. W końcu lat 80., dzięki zainteresowaniu widzów opowieściami w stylu Twilight Zone (Strefa mroku), półgodzinne odcinki tych seriali emitowane w nocnych programach telewizyjnych zyskały dużą popularność. Richard i Mitchell wiele razy prosili mnie o napisanie scenariusza do Monsters, ale miałem z tym trudności, bo nie mogłem sobie wyobrazić historii, która pasowałaby do nielicznej obsady i skromnych dekoracji, narzuconych przez ograniczenia budżetowe.*

*W międzyczasie zaangażowali mnie do stworzenia filmowej adaptacji thrilleru medycznego Michaela Palmera The Sisterhood (Siostrzeństwo). Jak to często bywa w branży filmowej, projekt nigdy nie wyszedł poza fazę przygotowawczą, ale w trakcie pracy Richard i Mitchell okazywali mi dużo życzliwości. Przez kilka tygodni byłem w podróży promocyjnej mojej nowej powieści. Kiedy wróciłem do domu, zadzwonili do mnie, żeby ustalić termin spotkania w celu omówienia scenariusza. Normalnie odbywa się to tak, że autor (przymierający głodem) składa wizytę producentowi. Ale kiedy Richard i Mitchell zorientowali się, jaki jestem zmęczony,*

*natychmiast zaproponowali, że to oni przylecą do Iowa City (gdzie wtedy mieszkałem) i omówimy scenariusz u mnie w domu. I tak zrobili. Nie macie pojęcia, jaki byłem zakłopotany, gdy siedzieliśmy na ganku z tyłu domu i przeglądaliśmy scenariusz. W końcu w 1989 roku wpadłem na pomysł, który wydał mi się odpowiedni do ograniczonego budżetu Monsters. Uznałem, że skoro może być tylko kilka postaci, to najlepiej, jeśli będzie jedna. Ku memu zaskoczeniu scenariusz trafił do realizacji zaledwie dwa miesiące po jego napisaniu. Rolę Jamie zagrała Liii Taylor, znana z serialu Sześć stóp pod ziemią.*

UJĘCIE Wnętrze  
*pomieszczenia kontrolnego - dzień*

*Przed nami rozciąga się rozległy krajobraz księżycowy: nagie góry, wyschnięte koryta rzek, niebezpieczne rozpadliny i kaniony. Skaliste, szare, ponure otoczenie. Przez moment może się wydawać, że to rzeczystwo, ale szybko zdajemy sobie sprawę, że to tylko wielka makietka. Słyszymy uporczywy brzęczyk elektroniczny. Kiedy oglądamy panoramę, widzimy model bazy księżycowej z kopułą i łukowymi korytarzami, które prowadzą do innych budynków. Model stoi na metalowym stole. Razem z makietą stwarza wrażenie, że jesteśmy w kompleksie na Księżycu.*

*Patrzymy na model bazy i słyszymy nowy dźwięk. Nie pasuje tu, jest zaskakujący. To dźwięk strojonej gitary. Nagle instrument zaczyna grać. Melodyjny kobiecy głos śpiewa ludową piosenkę o morzach i lasach i o tym, że ziemia i niebo należą do ciebie i do mnie.*

*Oddalamy się od bazy i stwierdzamy, że jesteśmy w pomieszczeniu kontrolnym z konsolami elektronicznymi i włączonymi monitorami. Brzęczyk, który słyszeliśmy wcześniej, jest jak metronom wyznaczający rytm gry na gitarze i kobiecego śpiewu.*

*Mijamy konsole i zatrzymujemy się na piosenkarce. Kobieta ma około trzydziestki, jest w dżinsach i sportowej bluzie drużyny koszykarskiej Lakers, włosy ma związane w koński ogon. Jest ładna i zgrabna. Siedzi wyciągnięta na metalowym krześle, boscie stopy opiera na pulpicie obok konsoli. Nazywa się Jamie Neal. Przypomina cheerleaderką z college'u.*

*Ma zamknięte oczy. Jest w swoim własnym świecie. Gra na gitarze i śpiewa. W jej cichym głosie słyhać melancholię. „ Tak, ziemia i niebo należą do nas ”.*

*W polowie zdania o wspaniałym, żyznym kraju milknie i przestaje grać. Uporczywy brzęczyk nadal buczy.*

*Jamie wzdycha, opuszcza gitarę, otwiera oczy i patrzy na pomieszczenie kontrolne.*

*Może spodziewała się, że piosenka przeniesie ją w magiczny sposób do wspaniałego kraju, o którym śpiewała. Jeśli tak, to czar prysł. Przygnębiona, kładzie gitarę obok monitora, wstaje z krzesła i podchodzi do makiety powierzchni Księżycy. Nagie góry i kaniony wyglądają jeszcze bardziej ponuro. Przygląda się uważnie modelowi bazy, potem mruży oczy i patrzy na sprzęt elektroniczny wokół niej. Jest spięta, jakby była w więzieniu.*

*Podnosi z westchnieniem głowę, zastanawia się i zaczyna mówić. Ale jak widzieliśmy, jest sama w pomieszczeniu. Początkowy efekt jest zaskakujący, dezorientujący.*

JAMIE

Nie wiem, czy powinnam to mówić...  
To znaczy, o ile wiem, nie to chcielibyście  
usłyszeć... jeśli słuchacie.

*Brzęczyk nadal buczy. Jamie przechyla głowę na bok i marszczy brwi.*

JAMIE

Chciałabym, żebyście to...  
*(wykonuje gest frustracji)*  
wyłączyli. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie...  
*(kolejny gest)*  
to irytujące.  
*(wypuszcza powietrze z płuc)*  
Jeśli słuchacie.

*Odwraca się od modelu i podchodzi do komputera.*

JAMIE Oczywiście, że  
słuchacie. Słyszycie każdy mój oddech.  
Bicie mojego serca. Fale alfa

w moim mózgu. Dźwięki, które wydają,  
kiedy muszę sobie ulżyć...  
*(oplata się z przodu ramionami, zażenowana)*  
Chrapię?

*(jej spojrzenie staje się ostre)*  
Miałam kiedyś narzeczonego. Poczciwego, starego  
jak-mu-tam. Oczekiwał, że będę typową żoną biznesmena.  
Czytaj: chciał, żebym była posłuszna. Żebym się  
dostosowała. Ubierała się odpowiednio. Mówiła  
odpowiednie słowa w odpowiednich momentach.  
Przyspieszała jego karierę. Twierdził,  
że jestem zbyt niezależna. Zawsze podejrzewałam,  
że zerwał zaręczyny  
*(chichocze)*  
bo chrapałam. Nawet we śnie musiałam się  
dostosowywać.  
Nigdy nie mogłam być sobą.  
*(patrzy w sufit)*  
Więc jak? Chrapię?

*Słyszymy tylko brzęczyk.*

JAMIE  
Dajcie spokój!  
*(patrzy wściekle)*  
Możecie mi powiedzieć!  
*(rozgląda się dookoła)*  
Znacie mnie lepiej, niż on mnie kiedykolwiek znał.  
Wy i ja jesteśmy ze sobą bliżej niż chleb i masło!...  
dłoń i rękawiczka!... Flip i Flap!... bliżej, niż kiedykolwiek  
była moja matka z moim ojcem! Więc powiedzcie mi!  
Chrapię?

*Brzęczyk nadal buczy.*

*Ale pomieszczenie wydaje się ciche.  
Jamie znów obejmuje się ramionami.*

JAMIE Odezwijcie się  
do mnie.

*Brzęczyk.*

JAMIE Posłuchajcie, wiem,  
jak się umawialiśmy. Ale...

*Opuszcza ramiona, sięga po gitarę i brzdąka.*

JAMIE  
{*provokująco*}  
Nic? Ani słowa? Nie powiecie nawet „cześć”, żeby  
wiedziała, że tu jesteście?

*Uśmiecha się najładniej, jak potrafi. Żadnej odpowiedzi. Brzęczyk nadal buczy.*

*Jamie opiera się z rezygnacją o konsolę.*

JAMIE  
Okay, umówiliśmy się. Żadnego kontaktu. Żadnej...  
(*gest frustracji*)  
łączności...  
(*wzruszenie ramionami*)  
co przypomina mi tego jak-mu-tam. Mam nadzieję,  
że ta porcelanowa lalka, z którą się ożenił, zażąda  
rozwodu, bo...  
(*szeroki uśmiech*)  
nigdy nie zdradziłam mu tajemnicy, że to on chrapie.

*Brzęczyk. Jamie patrzy w podłogę.*

JAMIE Nie powiecie mi nawet  
„cześć”?

*Marszczy brwi i odwraca się w kierunku...*

*Cofniętego fragmentu ściany. Powyżej żarzy się prostokątna lampa.  
I są drzwi.*



JAMIE  
Bo widzicie, ja jestem...  
(drży)  
po tym wszystkim...  
(oplata się ramionami)  
trochę...  
(zamyka oczy)  
przeżona.

*Wpatruje się ze zmarszczonym czołem w drzwi.*

JAMIE  
Czy to znaczy, że się nie nadaję? Boże, mam nadzieję.  
Proszę was, przerwijcie to. Powiedzcie mi „cześć” i...  
odblokujcie zamek. Wypuście mnie.

*Brzęczyk.*

JAMIE „Lasy są moją krainą.  
Rzeki są...” Nie. One nie są  
czyjeś. Tylko że... Cokolwiek jest w... Proszę,  
nie zmuszajcie mnie do zrobienia tego jeszcze raz.  
Nie kaźcie mi tam znów wchodzić. Wiem, zgodziłam się.  
Podpisałam ten cholerny kontrakt. Dziewięć miesięcy  
tutaj w zamian za...  
(wzdryga się)  
Ale ta cała forsa, którą mi obiecaliście, nie ma już  
dla mnie znaczenia. Zatrzymajcie ją sobie! Powiedzcie  
tylko „cześć”. A potem zapewnijcie mnie,  
że już nie muszę tam wchodzić! Że nie jestem...  
(drży)  
sama. Nie możecie się do mnie odezwać?  
Nie możemy porozmawiać o tym, co się ze mną dzieje?  
Nie rozumiecie? Pieniądze już mnie nie obchodzą.  
Chcę stąd wyjść!

*Odwraca się gwałtownie do makiety powierzchni Księżyca. W oczach ma wściekłość. Chwyta model bazy i rzuca przez pomieszczenie. Model roztrzaskuje się.*

JAMIE

Chcę wrócić do domu! Chcę widzieć ludzi!  
Znów oddychać świeżym powietrzem!  
Jeść ciastka czekoladowe! Chodzić boso po trawie!  
Uśmiechać się do gwiazd! Chcę być...  
*{opadają jej ramiona, pociera z desperacją czoło}*  
...wolna.

*Patrzy z nadzieją w górę.  
Żadnej odpowiedzi.*

*Brzęczyk.*

JAMIE

*(cichym głosem)*

Wolna.

*(schyla się i podnosi kawałki modelu, który zniszczyła)*  
Nigdy przedtem nie zdawałam sobie sprawy,  
co to znaczy.

*Nagle się ożywia, miażdży szczątki modelu i ciska przed siebie.  
Rozbijają się o konsolę.*

JAMIE

*(ze złością)*

Ale wy nie zwolnicie mnie z umowy, prawda?  
Tego chcieliście, tak? Patrzeć, jak się załamuję!  
*(chodzi tam i z powrotem)*  
Myślicie, że jesteście tacy sprytni? Mylicie się!  
Nie wiecie, że popełniliście błąd! Nie powiedzieliście mi,  
że to będzie tutaj ze mną!  
*(z furią wskazuje drzwi)*  
Pełna jawność. Słyszeliście kiedyś o tym?  
Nie powiedzieliście mi wszystkiego. Zatailiście istotne  
informacje! Od mojego narzeczonego jak-mu-tam  
nauczyłam się jednej rzeczy: zawarcie kontraktu  
wymaga dobrej woli.  
*(następny wściekły gest w kierunku drzwi)*  
A tamto na pewno nie ma dobrej woli.  
Co z was za potwory? Wypuście mnie stąd!

*Podchodzi energicznie do jedynej gołej ściany w pomieszczeniu i z desperacją wali w nią pięściami.*

JAMIE

Koniec! Słyszycie? Kontrakt jest... Chcę być wolna!

*Nagle zaczyna wyc syrena. Jamie wzdryga się i zasłania uszy. Syrena nadal przeraźliwie wyje.*

JAMIE

Nie! Proszę! Przepraszam! Nie chciałam tego powiedzieć!

*Syrena uporczywie wyje. Przebija przez nią dźwięk brzęczyka.*

*Jamie osuwa się na kolana, wciąż przyciskając dłonie do uszu.*

JAMIE

Przepraszam! Przestańcie! Proszę was, wyłączcie to!

*(kuli się od wycia syreny)*

Zrobię to! Zgadzam się! Zrobię wszystko, co chcecie! Wszystko, co obiecałam! Tylko to wyłączcie!

Zapomnijcie o tym, co mówiłam!

*(placze)*

Dotrzymam słowa! Wywiążę się z umowy!

Zgadzam się na wszystko!

*(drży)*

Zrobię to!

*Syrena zaczyna cichnąć, jej wycie jest mniej dokuczliwe.*

*Jamie ostrożnie odslania uszy i nasłuchuje.*

*Kiedy wycie zanika, Jamie wzdryga się i powoli odpręża.*

JAMIE

Dziękuję. Zrobię to. Naprawdę.

*(składa dłonie jak do modlitwy)*

Dziękuję wam. Dziękuję.

*Ociera łzy z oczu, wstaje z trudem i rozgląda się po pomieszczeniu.*

*Syrena w końcu milknie, ale brzęczyk nadal buczy.*

JAMIE

*(jakby zahipnotyzowana, w rytm brzęczyka)*

„Morza i lasy, ziemia i niebo należą do...”

*(urywa)*

Boże, pomóż mi.

*Rozlega się syrena, przeraźliwe wycie przyciąga uwagę.*

*Jamie sztywnieje i patrzy wściekle w kierunku sufitu.*

JAMIE Przecież obiecałam, że  
to zrobią!

*Zerka z przestraszeniem w kierunku drzwi i, powłócząc nogami, przechodzi do części pomieszczenia kontrolnego, której dotąd nie widzieliśmy.*

*Podchodzi do mechanicznej bieżni treningowej, bierze głęboki oddech i zapina wokół obu ramion opaski do mierzenia ciśnienia krwi. Opaski są połączone przewodami z monitorem.*

*Zerka nerwowo w kierunku drzwi.*

JAMIE

Gdybyście tylko byli szczerzy... Gdybyście mnie  
po prostu przygotowali...

*Syrena ostrzegają.*

*Jamie kuli się.*

JAMIE

Wiem, wiem! Słyszę was!

Ale dlaczego nie odzywacie się do mnie?

*Przygląda się wściekle sufitowi.*

*Żadnej odpowiedzi.*

*Wchodzi ze złością na bieżnię i wciska przycisk. Nawierzchnia pod jej stopami zaczyna się przesuwać. Jamie zaczyna iść.*

*Zbliżenie monitora, który jest połączony przewodami z opaskami na jej ramionach. Jak przy EKG, na ekranie wyświetlają się czerwone liczby - ciśnienie krwi, tętno i inne dane, których nie rozumiemy.*

*Jamie idzie w miejscu, bieżnia przesuwa się pod nią.*

*Rozlega się gwizdek.*

*Jamie wciska inny przycisk.*

*Bieżnia przyspiesza.*

*Liczby na monitorze rosną.*

*Jamie zwiększa tempo marszu i zaczyna recytować.*

JAMIE

Nazywam się Jamie Neal. Jestem docentem  
psychologii kosmicznej.

*Znów rozlega się gwizdek.*

*Jamie wzdryga się i wciska następny przycisk. Bieżnia przyspiesza.  
Jamie zwiększa tempo marszu.*

*Czerwone liczby na monitorze rosną.*

*Mimo zwiększonego wysiłku fizycznego Jamie nadal recytuje.*

JAMIE

Zajmuję się adaptacją do zamkniętych  
pomieszczeń. Reakcjami na ograniczone środowisko  
zewnętrzne. Nienormalnymi zachowaniami  
wywoływanymi przez stres powodowany...

*Kiedy znów rozlega się przeraźliwy gwizdek, Jamie wciska kolejny przycisk na konsoli sterowniczej bieżni. Zmusza się do przyspieszenia kroku.*

JAMIE

Klaustrofobią.

*Na jej czole pojawiają się krople potu.*

JAMIE

Jest pięć pomieszczeń. Dwa tutaj w części centralnej...  
(zerka nerwowo w kierunku drzwi)  
i trzy inne, czyli komora wejściowa, stacja baterii  
słonecznych i kwatera mieszkalna, połączone  
z częścią centralną korytarzami.  
(przełyka ślinę i ociera pot z czoła)  
Ale nie mogę iść do mojej kwatery...  
(jeszcze bardziej nerwowe zerknięcie  
w kierunku drzwi)  
dopóki nie przejdę przez tamto pomieszczenie.

*Następny przeraźliwy gwizdek. Jamie pospiesznie wciska inny przycisk. Kiedy bieżnia przyspiesza, musi niemal biec.*

JAMIE

A wszyscy wiemy, co tam jest.  
(wzdryga się)  
To jasne. Wszyscy wiemy, co mnie tam czeka.  
(bez tchu)  
To wynika z tego, jak zmuszacie mnie do wywiązania  
się z umowy.

*Czerwone liczby wyświetlane na monitorze rosną.*

*Jamie już biegnie.*

JAMIE Z tego, jak poddajecie  
mnie dzisiejszej porcji testów.  
(ociera pot z czoła)  
A może wczorajszej? Już sama nie wiem. To chcecie  
sprawdzić? Jaki stres można wytrzymać?

*Na monitorze czerwone liczby zmieniają się, jakby wymknęły się spod kontroli. Zamiast gwizdka znów odzywa się syrena.*

*Jamie oddycha bardzo szybko. Wciska następny przycisk na konsoli. Zmniejsza tempo biegu. Nerwowo, ależ ulgą, wciska inne przyciski*

*i coraz bardziej zwalnia. Kiedy bieżnia się zatrzymuje, Jamie schodzi z przyrzędu.*

*Podnosi bluzę Lakersów, żeby wytrzeć nią twarz, i patrzy z obawą na sufit, a potem na drzwi.*

JAMIE Nazywam się Jamie

Neal. Mam dwadzieścia

osiem lat. Jestem tu... od sześćdziesięciu  
czterech dni. Chyba. Dlaczego nie daliście mi  
pomieszczenia z oknami? Chcę widzieć...

*(czepia się rękami ściany)*

gwiazdy. Nawet tutaj zachodzi słońce. Choć nie o takiej  
porze, do jakiej jestem przyzwyczajona. Ale mogłabym  
się do niej przyzwyczaić. I chętnie bym to zobaczyła.

Po sześćdziesięciu czterech dniach.

*(patrzy zmrużonymi oczami w kierunku sufitu)*

Albo noce. Skąd mam wiedzieć, jakie są? Gdybym  
tylko mogła zobaczyć... Założę się, że zachód słońca...

Nie ma tu smogu... Kolory muszą być...

*(zniża głos)*

Pamiętam... czerwień... jak kwiat... róży...

w rozkwicie...

*(melancholijnie)*

Była piękna.

*(w nagłym przyplywie furii kopie szczątki modelu bazy, który wcześniej  
zniszczyła)*

Okna nieważne! Dlaczego nie daliście mi...?

*(odwraca się gwałtownie w kierunku konsoli)*

Komputery! Wskaźniki temperatury! Odczyty  
ciśnienia! Monitoring tlenu! Wilgotności! Grawitacji!

Nawet kurzu! Mogę zmierzyć wszystko! Oprócz  
jednej, najcenniejszej rzeczy w moim życiu!

*(opiera się o stół)*

Czasu. Może minęły dopiero sześćdziesiąt trzy dni.

A może już sześćdziesiąt dziewięć. Albo może jestem tu  
tylko parę tygodni. Ale wydaje się, że to...

*(z rozpaczą)*

cała wieczność.

*Brzęczyk.*

JAMIE Dlaczego nie  
pozwoliliście mi nawet nosić  
zegarka?

*(gestykuluje gwałtownie w kierunku konsoli)*  
Ani mieć zegara? Nie chcę nic wymyślnego! Żadnego  
cyfrowego kalkulatora czasu astralnego. Żadnego  
skomputeryzowanego monitora wyświetlającego datę  
tutaj w porównaniu z datą w domu, w gwiazdozbiornie  
Bliźniąt iw... Wystarczy mi zwykły staromodny zegar.

*(wykonuje jedną ręką ruch obrotowy, udając, że  
w drugiej trzyma jakiś przedmiot)*

Taki do nakręcania wieczorem, który tyka i ma  
wskazówki, i budzik, który się  
nastawia, jeśli chce się wstać o określonej godzinie.  
A kiedy zadzwoni, to wiadomo że jest jutro. A jeśli  
zaznacza się...

*(udaje, że ma ołówek)*

na kartce wszystkie budzenia... i liczy się te znaki,  
to wiadomo, ile dni minęło.

Człowiek nie czuje się wtedy tak...

*(osuwa się po ścianie)*

jakby wariował. Czy to część testu?

Jak zareaguję - nie jeśli, tylko kiedy się załamię?

Z powodu...

*(patrzy z przerażeniem na drzwi)*  
czasu.

*Rozlega się syrena.*

JAMIE

Nie.

*Drugi sygnał syreny.*

JAMIE Proszę! Nie

każcie mi tam znów wchodzić!

*Trzeci sygnał syreny.*



*Po twarzy Jamie spływają łzy.*

*Czwarty sygnał syreny.*

*Jamie idzie w kierunku drzwi jak zahipnotyzowana.*

JAMIE Dotrzymam  
umowy. Wykonam polecenia.

*Punkt widzenia Jamie - zbliża się do drzwi.*

JAMIE  
Przejdę testy.

*Milknie. Poza kadrem słyszymy syk odsuwających się drzwi. Robimy najazd w kierunku zbliżenia twarzy Jamie: spiętej, niespokojnej, przerażonej.*

JAMIE Czas. Tak.  
Znowu czas.

*Drzwi są już otwarte. Za nimi widzimy korytarz. Ale jak w Alicji w Krainie Czarów, korytarz zwęża się i staje coraz niższy.*

*Wciąż odzywa się uporczywy brzęczyk.*

JAMIE  
Czas.  
{sprawdza sobie tętno}  
Bicie mojego serca. Tylko ono odmierza czas.

*Bierze z pulpitu przedmiot wielkości walkmana, zapina jego pasek wokół nadgarstka, patrzy na przyssawkę na końcu przedmiotu, sięga pod bluzę Lakersów i najwyraźniej przymocowuje przyssawkę do piersi.*

*Brzęczyk natychmiast trochę przyspiesza, jakby przedmiot na nadgarstku Jamie monitorował rytm jej serca.*

JAMIE

Ciągły upływ czasu. Tyle że to nie ma znaczenia bez  
możliwości porównania tego z czymś... Bez czegoś  
do oceny... Bez wschodu słońca. Mogłabym sobie  
wyobrazić wschód słońca, gdyby...  
Dlaczego nie daliście mi zegarka?

*Wycie syreny.*

*Jamie wzdryga się, zaciska z furią pięści i patrzy wściekle na sufit.*

JAMIE

Dobra, idę!

*Brzęczyk odmierzający rytm jej serca przyspiesza.*

*Jamie przechodzi przez drzwi.*

*Sufit jest tak nisko, że Jamie musi się schylić. Ściany dotykają jej ramion.*

*Brzęczyk znów trochę przyspiesza.*

JAMIE

*(idzie schylona i patrzy wściekle w górę)*

Chcę tylko wiedzieć, czy wtedy, gdy moje serce  
bije szybciej, starzeję się?

*(przełyka ślinę i wpatruje się w ciasny  
korytarz przed sobą)*

Czy sześćdziesiąt dziewięć dni, które wydają się  
sześćdziesięcioma trzema dniami... czy ile tam tu  
jestem... to w rzeczywistości odpowiednik stu  
dwudziestu dni? A może sześciu miesięcy? Albo  
dziewięciu, za które mi płacicie? Bo czas wlecze się...

*Coraz niższy sufit zmusza ją do przysiadu. Ściany ściskają jej ramiona.  
Na wprost jest jeszcze ciaśniej. Jamie drży.*

*Brzęczyk przyspiesza.*

JAMIE

Ale moje serce pracuje jak na paliwie rakietowym.  
Strasznie szybko. Czy to ma wpływ na bieg czasu?  
Jestem tu...

*Sufit jest już tak nisko, że Jamie musi iść na czworakach.*

JAMIE

Na zawsze?

*Wyciąga ręce i zamierza wsunąć głowę w ciasną czelusć przed sobą.  
Drży. Waha się.*

*Wyje syrena.*

JAMIE

Dajcie mi spokój! Powiedziałam, że wejdę! Potrzebuję  
tylko minuty na...!

*Nagle drzwi za nią zamykają się z sykiem.  
Odwraca się gwałtownie.*

*Brzęczyk przyspiesza.*

*I coś skwierczy. Szum i trzask prądu elektrycznego.*

*Jamie wzdryga się. Cierpi. Podnosi jedną rękę, potem drugą. Próbuje  
wstać, ale sufit jest tak nisko, że nie może unieść pleców. Odrywa od  
podłogi jedno kolano, potem drugie, żeby mieć jak najmniejszy kontakt  
z trzeszczącym prądem elektrycznym.*

JAMIE Nie! Proszę!

Przestańcie! Wejdę tam! Obiecuję!

*Wciska się w ciasną czelusć.*

*Trzask prądu natychmiast milknie.*

*Na twarzy Jamie widać cierpienie, gdy pełźnie na brzuchu. Korytarz  
jest tak ciasny, że przypomina kanał wentylacyjny. Jamie ciężko dyszy.  
Jest wyczerpana po porażeniu prądem. Osuwa się z ulgą.*

JAMIE

Dosyć tego! To nie może trwać wiecznie!  
(westchnienie rozpaczny)  
A może to piekło?

*Pełźnie niezgrabnie, krzywi się, uderza głową w sufit, ociera się ramionami o ściany.*

JAMIE

A może nigdy nie zamierzaliście dotrzymać słowa?  
Może tylko bawicie się ze mną? Podoba się wam  
poddawanie mnie testom i obserwowanie moich  
reakcji? Jestem tylko... Dla was to tylko jakaś  
okrutna, sadystyczna zabawa?

*Dociera z wysiłkiem do końca tunelu i wciska się do następnego pomieszczenia. Ma spocone czoło, brudne łokcie i kolana, postrzępioną i brudną bluzę.*

*Zbiera siły i wstaje z trudem. Chwieje się i opiera o ścianę.*

*Ociera pot z czoła i patrzy przed siebie. Na widok tego, co tam jest, zamyka z rozpaczą oczy. Otwiera je ponownie i mruży.*

JAMIE

*(łamiącym się głosem)*

Dlaczego... Nie! Znow złamaliście umowę!  
Zmieniliście zasady!

*Brzęczyk przyspiesza.*

*Jamie łka i stara się nie osunąć na podłogę.*

JAMIE To nie to samo!

Dlaczego ciągle zmieniacie...

*Widzimy teraz pomieszczenie, do którego dotarła Jamie. Jest puste, a podłoga odchyła się stromo w górę.*

JAMIE To nie to samo. Nie  
to samo.

*Wyje syrena.*

JAMIE  
Słyszę, wy...!

*Zatacza się w przód i dociera do pochyłości. Próbuje wspiąć się na stojąco, ale pada na brzuch i pelźnie do góry.*

JAMIE  
Nazywam się Jamie Neal.  
*(pelźnie)*  
Tak myślę.  
*(pelźnie)*  
Mam dwadzieścia osiem lat.  
*(pelźnie)*  
Tak myślę.  
*(pelźnie)*  
Zamierzam dożyć stu.  
*(pelźnie)*  
Jestem docentem...  
*(waha się, kiwa głową i pelźnie wyżej)*  
psychologii...  
*(znów się waha i zdezorientowana kręci głową)*  
Kosmicznej? Tak myślę. Zajmuję się...

*Dociera do szczytu i opada na krawędź. Głowę ma po jednej stronie, nogi po drugiej.*

JAMIE  
Adaptacją do zamkniętych pomieszczeń? Ile jeszcze,  
na Boga? Jak długo?

*Rozlega się syrena.*

*Jamie z trudem podnosi głowę. Patrzy wściekle na sufit.*

JAMIE Muszę  
odpocząć!

*Znów słyszymy skwierczenie i trzask prądu elektrycznego.*

*Jamie wrzeszczy z bólu. Brzęczyk przyspiesza. Jamie stara się oderwać ciało od szczytu wzniesienia. Spada poza krawędź.*

*Po drugiej stronie koziółkuje z jękiem w dół pochyłości. Ląduje na poziomej powierzchni.*

*Z trudem łapie oddech, klęka i wstaje.*

JAMIE Nazywam się Jamie  
Neal. Mam dwadzieścia osiem  
lat. Jestem docentem... Jestem istotą ludzką.  
I bez względu na to, ile razy nie dotrzymacie słowa  
i jak będziecie mnie torturowali... Nie poddam się!  
Przysięgam! Będę walczyła!

*Wyje syrena.*

*Jamie wzdryga się. Brzęczyk przyspiesza. Ale Jamie nie rusza się z miejsca.*

*Nagle prąd elektryczny skwierczy i trzeszczy i Jamie gwałtownie rzuca się naprzód. Brzęczyk przyspiesza jeszcze bardziej.*

JAMIE Nie dotrzymaliście  
słowa! Ja też nie dotrzymam!

*Znów skwierczenie i trzask.*

*Twarz Jamie wykrzywia grymas bólu. Potykając się, dociera przez otwartą przestrzeń do metalowej drabinki. Popędzana skwierczącym prądem wspina się po szczeblach.*

JAMIE Jamie Neal. Jamie Neal.  
Jamie Neal.

*Znika w okrągłym otworze w suficie nad drabinką.*

*Skwierczenie milknie, kiedy Jamie spada z drabinki i ląduje w innym pomieszczeniu. Jęcząc, podnosi wolno głowę.*

*Mruży oczy.*

*Potrząsa głową, żeby odzyskać ostrość widzenia.*

JAMIE  
(*śpiewa*)  
„Morza i lasy, ziemia i niebo należą do ciebie  
i do mnie”.

*Pomieszczenie wypełniają lustra - krzywe zwierciadła jak w wesołym miasteczku.*

JAMIE Znów coś  
zmieniliście!

*Z wysiłkiem wstaje.*

*Brzęczyk przyspiesza.*

JAMIE  
To wszystko było kłamstwem!  
Nigdy nie zamierzaliście...!

*Rusza z trudem naprzód, patrząc wściekle w kierunku luster. Każde pokazuje inne odbicie. Jest gruba, chuda, wysoka, niska, pokręcona, wklęśła, wypukła.*

JAMIE  
Teraz to ja jestem potworem! Zmieniliście mnie w...  
(*odwraca się z obrzydzeniem od luster*)  
Was samych! Odplączę wam za to!  
Przysięgam, że to zrobię!

*Poza kadrem słyszymy syk.*

*Jamie odwraca się z przerażeniem. Brzęczyk przyspiesza jeszcze bardziej.*

*Drzwi odsuwają się. Otwarte wejście wypełnia cień.  
Jamie kuli się ze strachu.  
Cień staje się -jak to nazwać? - nie człowiekiem... bezkształtną istotą z galaretowatymi torbielami na ścięgnach, czyrakami i kilkorgiem oczu.*

POTWÓR 1

*{zniekształcony głos - symulacja elektroniczna}*  
Bardzo dobrze się spisałaś. Byłaś dziś wyjątkowo elastyczna... i wyjątkowo zabawna. Zasłużyłaś na nagrodę.

*(unoszą płaskie pudełko)*

Twoje pożywienie. To, które najbardziej lubisz.  
Z podwójnym serem i czarnymi oliwkami.

JAMIE Mam uczulenie na  
czarne oliwki.

*Potworowi groteskowo opadają ramiona.*

POTWÓR 1

Przepraszam. Nie wiedziałem. Jestem nowy.  
Powiedziano mi, że wasz gatunek przepada za takim  
jedzeniem.

*Jamie prostuje się odważnie, wciąga głęboko powietrze, wypina  
piersi i patrzy groźnie.*

JAMIE A ja wam  
powiedziałam, że będę walczyła.  
Złamaliście umowę. Teraz ja też ją złamię.

POTWÓR 1

Nic nie możesz zrobić. Tak to jest urządzone.  
Przed jedzeniem musisz wykonać jeszcze jedno  
zadanie.

*Nagle poziome promienie światła wypełniają przestrzeń między nimi.  
Sajak przezroczyste, wielokolorowe szczeble drabinki na ścianie sali gim-  
nastycznej. Z trzaskiem i sykiem przepływa przez nie prąd elektryczny.*

*Jamie ma jeszcze groźniejszą minę.*

JAMIE Nazywam się  
Jamie Neal!



POTWOR 1

Wiemy.

*Jamie wpełza pod jeden z promieni. Jego fragment dotyka jej pleców i poraża ją prądem.*

*Jamie jęczy i wstaje. Wciska się między dwa inne promienie, ale za bardzo się do nich zbliża i znów zostaje porażona.*

JAMIE Jestem istotą  
ludzką!

POTWÓR 1  
To też wiemy.

JAMIE  
Mylisz się! Nie macie zielonego pojęcia! Zaraz wam  
to udowodnię!

*Zbiera się na odwagę i wchodzi prosto w pozostałe promienie. Poraża ją prąd. Trzask staje się nie do zniesienia. Jamie idzie wolno, ale pewnie w kierunku potwora. Na jej twarzy pojawiają się pęcherze. Jamie wylania się z promieni i zatacza w kierunku potwora. Chwyta pudełko, odrzuca z wściekłością na bok i upada na podłogę.*

*Zbliżenie jej poparzonych, krwawiących rąk. Drgają, potem nieruchomieją.*

*Oszalały brzęczyk milknie.*

*Potwór patrzy z oszołomieniem w dół.*

*Część sufitu odsuwa się i odsłania drugiego potwora.*

POTWÓR 2

*{zniekształconym głosem}*

Co za strata. Ona była wyjątkowo zabawna.

POTWÓR 1

Po tym całym czasie... nadal nie rozumiem ich  
emocji... ale...  
{opuszcza głowę}  
podejrzewam, że czuję... jak oni to nazywają?

POTWÓR 2

Smutek.

POTWÓR 1

Tak. Niezwykłe uczucie. Eksperyment się nie powiódł.

POTWÓR 2

Niezupełnie. Czegoś się dowiedzieliśmy.

POTWÓR 1

Czego?

POTWÓR 2

Kiedy zbadaliśmy jej mózg, dowiedzieliśmy się,  
że istoty jej gatunku trzymały w takich samych  
środowiskach, nazywanych „klatkami”, stworzenia  
podobne do szczurów... chyba chomiki. Najwyraźniej  
ludzie byli hipokrytami. Bawiło ich posiadanie  
zwierzątek domowych, ale sami nie lubili,  
wręcz nienawidzili nimi być.

*Ściemnienie.*

## Figurant

*Niewielu jest pisarzy tak płodnych jak Stirling Silliphant. To pod wpływem jego ambitnych a zarazem cechujących się wartką akcją scenariuszy klasycznego serialu Route 66 (1960-1964) postanowiłem chwycić za pióro. Z biegiem lat zaprzyjaźniliśmy się. Jego naciski sprawiły, że stacja NBC zrealizowała serial na podstawie mojej powieści Bractwo Róży. Ten miły, krepy mężczyzna o rudawozłotych włosach, chłopięcym uśmiechu i cudownym tenorowym głosie miał siedemdziesiąt lat, kiedy widziałem go po raz ostatni. W czasie naszej ostatniej wspólnej kolacji wyznał mi, że dostaje coraz mniej propozycji pracy. „ W biznesie zorientowanym na młodzież uchodzę za zbyt starego ” -powiedział. Nie Uczyło się to, że był laureatem Oscara za W upalną noc (1967) ani że jego scenariusz do nakręconego w 1968 roku filmu Charly pozwolił Cliffowi Robertsonowi stworzyć oscarową kreację, ani też, że to Stirlingowi zawdzięczamy wielkie przeboje lat 70. (Tragedia Posejdona i Płonący wieżowiec/ Przemysł filmowy interesowała tylko młodość i sezonowe mody. Na domiar złego kierownicy wytwórni, z którymi spotykał się Stirling, byli w większości tak młodzi (mieli po dwadzieścia kilka lat), że w ogóle nie oglądali W upalną noc, Charly'ego czy Płonącego wieżowca. Co się tyczy Route 66, serial ten nadawany był w telewizji tak dawno, że obecnie można go zobaczyć co najwyżej na kanale ze starymi filmami. Trudno więc powiedzieć, by był „ na czasie ”, a dla ludzi z branży jest to najistotniejsze z kryteriów. Ich poziom inteligencji obniżył się tak drastycznie, że agent Stirlinga poradził mi, by na rozmowę kwalifikacyjną w jednym ze studiów nie zabierał pełnej listy swoich scenariuszy, bo (a) kierownik studia nie uwierzy, że jeden człowiek mógł napisać tak wiele i (b) będzie onieśmielony.*

*Stirling postanowił w końcu rzucić to wszystko w diabły i przenieść się do Tajlandii, wierzył bowiem, że w poprzednim wcieleniu był Azjatą. Urządził publiczną wyprzedaż swojego dobytku, przeprowadził się do Bangkoku i przeszedł na buddyzm. Pisywaliśmy do siebie i próbowaliśmy się umówić na spotkanie, ale ciągle coś stawało nam na przeszkodzie. W 1996 roku, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, Stirling Silliphant umarł na raka prostaty.*

Powtórz to jeszcze raz - powiedziałem. - Musiał żartować. - Mort, wiesz, jak to teraz jest w telewizji - westchnął mój agent. - Oszczędności. Zwolnienia. Kierownicy tak młodzi, że *Seinfeld* to dla nich starocie. On nie żartował. Jest gotów spotkać się z tobą, ale słabo zna twoje filmy i chce, żebyś przyniósł ich listę.

- Wszystkich dwustu dziewięćdziesięciu? Steve, nie żebym był próżny, ale jak ten człowiek może zajmować się produkcją seriali i nie znać moich scenariuszy?

Rozmawialiśmy przez telefon. Był środek tygodnia, wczesne popołudnie. Właśnie przeglądałem to, co napisałem rano, i zirytowany słowami Steve'a tak mocno nacisnąłem ołówek, że go złamałem. Wstałem od biurka, kurczowo trzymając słuchawkę.

Steve odpowiedział po chwili wahania.

- To nie podlega dyskusji. Obaj wiemy, ile telewizja ci zawdzięcza. Złoty Wiek. *Playhouse 90*. *Kraft Theater*. *Alcoa Presents*. Z Rodem Serlingiem i Paddym Chayefskym praktycznie wymyśliliście dramat telewizyjny. Ale to było dawno. Ten człowiek pracuje dopiero od trzech miesięcy. Ma raptem dwadzieścia osiem lat, na litość boską. Wdrapywał się po trupach na szczyt, odkąd skończył szkołę biznesu. Tak naprawdę nie ogląda telewizji. Jest na to zbyt zajęty, interesują go co najwyżej aktualne projekty. Zajmuje się przygotowaniem programu, sprawdzaniem oglądalności i lekturą pism branżowych. Gdybyś w tym roku dostał nagrodę Emmy, może zrobiłoby to na nim wrażenie. Ale *Chodniki Nowego Jorku*? Wznawiają to po raz enty na Nickelodeonie, a on tam nie pracuje, więc czemu miałby się tym interesować?

Wyrząłem przez okno gabinetu. Z mojego domu na szczycie Hollywood Hills miałem widok na samochody pędzące okrytym smogiem Bulwarem Zachodzącego Słońca, na restaurację Spago, Tower Records i hotel Chateau Marmont. Ale w tej chwili, zaślepiony oburzeniem, nie widziałem nic. , - Steve, czyja oszalałem, czy scenariusze, które ci podesłałem, są dobre?

- Nie dołuj się. Są więcej niż dobre. Nie dość, że wciągają, to jeszcze są cholernie mądre. Trafiają do mnie, nie to co... - wymienił tytuł popularnego serialu o kobiecie detektywie, na którym dzięki prowizjom zbijał fortunę, ale który sprowadzał się do pokazywania cycków, tyłków i pościgów samochodowych.

- No to w czym problem? - spytałem, nie mogąc powściągnąć ostrego tonu. - Czemu nie mogę dostać żadnej roboty?

- Chcesz znać prawdę?

- A czy kiedykolwiek tolerowałem kłamstwa?

- I nie wkurzysz się?

- Wkurzę się, jeśli...

- No dobra. Widzisz, prawda jest taka, że to, jak dobrze pisziesz, nie ma znaczenia. Rzecz w tym, że jesteś za stary. Sieci telewizyjne uważają, że nie znasz ich widowni.

- Że nie znam ich...

- Obiecałeś, że się nie wkurzysz.

- Przecież po odejściu z telewizji dostałem Oscara za *Środek dnia*.

- Dwadzieścia lat temu. Dla sieci telewizyjnych to średniowiecze. Znasz to pytanie: „Co zrobiłeś dla nas ostatnio?” Prawda jest taka, Mort, że przez ostatnie dwa lata byłeś za granicą, trzymałeś się z dala od tego cholernego biznesu.

Piekły mnie oczy. Oddychałem tak szybko, że kręciło mi się w głowie.

- Miałem powód. Najważniejszy, jaki może być. ,

- Oczywiście - przyznał Steve. - Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. I twoi przyjaciele potrafią to uszanować. Ale ludzie, którzy wszystkim trzęsą, nowa ekipa, która w dupie ma tradycję... oni myślą, że umarłeś albo przeszedłeś na emeryturę, o ile w ogóle cię pamiętają. „Wtedy” to nie to samo co „teraz”. Dla nich zeszlotygodniowa oglądalność to stare dzieje. Co teraz? - chcą wiedzieć. Co jest nowe? - pytają bez przerwy. Innymi słowy, co jest młode?

- To bez sensu.

- Pewnie. Ale młodzi widzowie lubią szastać pieniędzmi, mój przyjacielu, a za wszystko płacą reklamodawcy. Krótko mówiąc, jeśli masz więcej niż trzydzieści pięć czy nawet trzydzieści lat, to nie potrafisz znaleźć wspólnego języka z docelową widownią. Scenarzyści tacy jak ty, w określonym wieku, mają ciężko, choćby byli nie wiadomo jak dobrzy.

- To co mam zrobić? - Od ściskania telefonu bolały mnie kostki. - Wyrzucić komputer przez okno i żyć z emerytury od Związku Pisarzy?

- Aż tak źle nie jest. Chociaż dostawałbyś najwyższą emeryturę w historii Związku.

- Ale jeśli przestanę pisać, zdechnę jak...
- Spokojnie, mówię tylko, żebyś był wyrozumiały dla tego dzieciaka z telewizji. Trzeba go trochę doksztalcić. Grzecznie, rozumiesz. Przedstaw swój pomysł, przekonaj go, że może ci zaufać, pokaż mu listę twoich scenariuszy. Zaraz zmieni zdanie. W końcu już nieraz robiłeś coś takiego.
- Tak, kiedy miałem dwadzieścia parę lat.
- No widzisz, już się identyfikujesz z tym małym. Myślisz tak jak on. Spuściłem z tonu.
- Kiedy jest to spotkanie?
- W piątek, w jego gabinecie. Wykorzystałem swoje znajomości, żeby załatwić ci tak bliski termin. O czwartej po południu. Będę w domu, w Malibu. Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.
- Steve...
- Tak, Mort?
- Dzięki, że nadal jesteś przy mnie.
- To zaszczyt. Dla mnie jesteś legendą.
- Wolałbym być pracującą legendą.
- Zrobiłem, co mogłem. Teraz wszystko w twoich rękach.
- Jasne. - Odłożyłem słuchawkę, zauważyłem, że nadal ściskam w dłoni złamany ołówek, upuściłem go i pomasaowałem obolałe kłykcie drugiej ręki.

Przed dwoma laty, w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, wyjechałem z Los Angeles, dlatego że moja droga żona...

...Doris...

..moja najbliższa przyjaciółka...

..mój najlepszy redaktor...

..moja jedyna kochanka...

..zachorowała na rzadką odmianę białaczki.

Kiedy opuszczały ją siły, kiedy jej boskie ciało stopniowo przestawało wykonywać polecenia wspaniałego umysłu, zerwałem z godnym pracocholika nawykiem pisania co dzień i poświęciłem się opiece nad nią. Byliśmy we wszystkich większych ośrodkach badań nad rakiem w Stanach Zjednoczonych. Odwiedziliśmy specjalistów w Europie i tam zostaliśmy, bo europejskie hospicja mają ludzkie podejście do kwestii podawania środków przeciwbólowych. Dotarliśmy aż do Szwecji.

Tam Doris umarła.

A teraz, walcząc z żalobą, wróciłem do pracy. Co innego mi pozostało? Miałem wybór: zabić się albo pisać. Dlatego pisałem. I pisałem. Nawet szybciej niż w starych dobrych czasach, kiedy spod mojego pióra

wyszły wszystkie odcinki *Chodników Nowego Jorku*, serialu nadawanego przez cztery lata.

A tu jakiś japiszon, który o kulturze wiedział tyle co przedszkolak, zaczął sobie listy moich dotychczasowych dokonań. Zanim przełknąłem duży łyk szkockiej, obiecałem sobie, że pokażę wszystkim w tym mieście, że mam jeszcze więcej wigoru niż wtedy, kiedy zaczynałem.

Century City. Co tydzień widzicie te potężne monolity w tle czołówki popularnego ostatnio serialu o prawnikach, ale ja z gorzką nostalgią wspominałem czasy, kiedy tu, gdzie teraz stoją drapacze chmur, był parking.

Zostawiłem wynajęte audi na drugim poziomie podziemnego garażu i wjechałem windą na szesnaste piętro jednego z budynków. Recepcja była przestronna i wysoka, z licznymi skórzanymi kanapami, na których siedzieli aktorzy, scenarzyści i producenci, nerwowo wydzwaniający do agentów i asystentów w oczekiwaniu na audiencję u Najświętszego ze Świętych.

Stanąłem przed atrakcyjną młodą kobietą za biurkiem. Chuda. Bez stannika. Pewnie chciała być aktorką i cierpliwie czekała na zawarcie odpowiednich znajomości. Skończyła rozmawiać przez jeden z trzech telefonów i przyjrzała mi się uważnie, ze znużeniem temperowanym przez obawę, że nie okazując mi szacunku, może stracić szansę na poznanie ważnej osoby.

Nie wyglądam źle. Mimo siedemdziesięciu lat jestem w dobrej formie. Owszem, włosy mi rzedną. Mam zmarszczki wokół oczu. Ale moja rodzina ma niesamowite geny. Wyglądam na dziesięć lat młodszego, niż jestem, zwłaszcza z opalenizną, którą zawdzięczam temu, że codziennie pół godziny pływam w swoim basenie.

Mój głos brzmi dostojnie.

- Mort Davidson do Arthura Lewisa. Jestem umówiony na czwartą.

Niedoszła aktorka przebiegła wzrokiem listę.

- Tak, oczywiście. Pan Lewis oczekuje pana. Niestety, coś go zatrzymało. Proszę usiąść i zaczekać. - Wskazała mi kanapę i wzięła do ręki powieść Judith Krantz. Najwyraźniej uznała, że nie pomoże jej zrobić kariery.

Dlatego czekałem. I

czekałem.

Po godzinie recepcjonistka przywołała mnie gestem. Cud nad cudami. Arthur Lewis był gotów mnie przyjąć.

Miał na sobie lniany garnitur od Armaniego, modnie wymięty. Bez krawata. Pantofle od Gucciego. Bez skarpet. Miał ciemną karnację i gęste,

kręcone czarne włosy, z pietyzmem ułożone tak, by wyglądały na rozwiane wiatrem. Na szklanym blacie biurka stały zdjęcia jego blondwłosej żony i małej córeczki. Żona wyglądała na jeszcze młodszą i chudsza od niego. Na ścianie wisiały plakaty popularnych seriali. W kącie stała rakietka tenisowa.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę pana poznać. Jestem pańskim fanem - skłamał.

Odpowiedziałem coś ze stosowną skromnością.

Jego następna uwaga przeczyła temu, co powiedział wcześniej.

- Przyniósł pan swoje CV?

Podał mu teczkę i usiadłem w skórzanym fotelu naprzeciw niego. Lewis zaczął przerzucać kartki. Na jego twarzy malowało się zdumienie połączone ze stoicką cierpliwością.

Wreszcie zmarszczył brwi.

- Imponujące. Wręcz zadziwiające. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógł tak dużo napisać.

- Cóż, od lat jestem w tej branży.

- Tak, to widać.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli mój wiek, czy moje liczne scenariusze.

- Kiedyś był nawet taki dowcip - powiedziałem.

- Tak? - Jego oczy były pozbawione wyrazu.

- „Jak to możliwe, że Mort Davidson tak dużo pisze?” To było na początku lat sześćdziesiątych. Odpowiedź brzmiała: „Używa elektrycznej maszyny do pisania”.

- Zabawne - powiedział takim tonem, jakbym puścił baka.

- Rzecz jasna, teraz przerzuciłem się na komputer.

- Oczywiście. - Złożył dłonie na biurku i wyprostował się. - No dobrze. Pański agent mówił, że ma pan pomysł, który może nas zainteresować.

- Zgadza się.

Zadzwoił telefon.

- Przepraszam na chwilę. - Podniósł słuchawkę. Gdyby był autentycznie zainteresowany moim pomysłem, powiedziałby sekretarce, że nie przyjmuje telefonów.

Jakiś aktor imieniem Sid był dla Arthura Lewisa na tyle ważny, by zasłużyć na deszcz komplementów. Och, oczywiście, niech Sid się nie martwi o poprawki w scenariuszu, dzięki którym grana przez niego postać będzie bardziej „na czasie”. Scenarzysta miał je dostarczyć do poniedziałku rano. Jeśli tego nie zrobi, już nigdy nie będzie pracował przy czymś, co nazywało się *Rozrywkowi goście*. Sid to wielki talent, zapewniał



Arthur Lewis. Następny odcinek będzie miał co najmniej trzydziestoprotcentową oglądalność. Zaśmiał się z jakiegoś żartu, odłożył słuchawkę i znów ściągnął brwi.

- Więc co to za pomysł, który miałby nas zainteresować? - Zerknął na roleksa.

- Akcja rozgrywa się w ośrodku dla trudnej młodzieży, gdzie dzieciaki mogą się schronić przed swoimi porąbanymi rodzinami, gangami i handlarzami narkotyków. Wzorem byłby ośrodek rzeczywiście istniejący w Valley - stary wiktoriański dom z kilkoma dobudówkami. Każdy odcinek dotyczyłby określonego problemu - nastolatek w ciąży, narkomanii, ucieczek z domu - ale głównie byłby to serial o uczuciach, o ludziach, o młodzieży, a także o pracownikach, interesujących, pełnych poświęcenia profesjonalistach, wśród których byłby stary dyrektor, pracownica społeczna, Latynos - były członek gangu, ksiądz, tak żeby było ciekawie. Serial nosiłby tytuł...

Znów zadzwonił telefon.

- Chwileczkę - powiedział Arthur Lewis.

Kolejny szeroki uśmiech. Tym razem dzwonił producent. Serial *Szaleją za tobą*, o korporacji studentek mającej siedzibę po sąsiedzku z korporacją studentów, właśnie stał się największym przebojem sezonu. Następnego wieczoru Arthur Lewis wydawał przyjęcie w Le Dome na cześć aktorów i kierownictwa studia. Tak, zapewnił. Dziesięć skrzynek dom perignon zostanie dostarczonych przed imprezą do domu producenta. A kawior? Wystarczy na poimprezowe przyjęcie dla wybranego grona? No pewnie. Poza tym tak, Arthur Lewis miał ten sam problem co producent. Cholernie ciężko znaleźć przedszkole dla wybitnie uzdolnionych dzieci.

Odłożył słuchawkę. Jego rysy stężały.

- I to ten pański pomysł?

- Jest w tym dramaturgia, ważne przesłanie, emocje, akcja i realizm.

- Ale jaki jest punkt zaczepienia?

Pokręciłem głową ze zdumieniem.

- Czemu ktokolwiek miałby chcieć to oglądać? - spytał Arthur Lewis.

- Żeby poczuć, jak to jest pomagać trudnej młodzieży, żeby ją zrozumieć.

- Nie miał pan wylewu jakiś czas temu?

- Słucham?

- Wierzę w szczerą, więc będę mówił wprost. Pracował pan przez wiele lat, zrobił pan, co do niego należało. Dlaczego więc nie wycofa się pan z godnością?

- Nie miałem wylewu.  
- To czemu mówiono mi, że...  
- Moja żona miała raka. Umarła... - wstrzymałem oddech -.. pół roku temu.

- Rozumiem. Współczuję. Szczerze. Ale telewizja zmieniła się od czasów, kiedy napisał pan... - zajrzał do listy moich scenariuszy - *Chodniki Nowego Jorku*. To klasyk, bez dwóch zdań. Jeden z moich ulubionych seriali. Ale czasy się zmieniły. W branży panuje o wiele większa konkurencja. Stres jest niewiarygodny. Twórca serialu musi pełnić funkcję producenta, nadzorować produkt, gwarantować jego spójność. To minimum trzynaście godzin pracy dziennie, nie wspominając o tym, że powinien też wносить coś od siebie do każdego odcinka.

- Tak robiłem przy *Chodnikach Nowego Jorku*.

- Tak? - Twarz Arthura Lewisa była pozbawiona wyrazu. - Nie uważałem tego w pańskim CV. - Wyprostował się. - Tak czy owak, praca w telewizji to nie lada stres. Tylko ludzie pełni energii mogą sobie z tym poradzić.

- Wjechałem tu na wózku inwalidzkim?

- Nie rozumiem.

- Z energią nie mam kłopotów. Potrzeba pracy mnie rozpiera. Liczy się to, co pan sądzi o moim pomysłe.

- To...

Zadzwoił telefon.

Arthur Lewis wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

- Skontaktuję się z panem.

- Oczywiście. Wiem, że jest pan zajęty. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

- Żaden kłopot. Jakby co, jestem tu i czekam na nowe pomysły. - Znów zerknął na roleksa.

Telefon wciąż dzwonił.

- To do widzenia - powiedział.

- Do widzenia.

Wziął listę moich scenariuszy z jego biurka.

Wychodząc, usłyszałem:

- Nie, ta stara pierdoła nie nadaje się do tej roli. Włosy mu wypadają. Peruka? Daj spokój. Widownia potrafi ją odróżnić od prawdziwych włosów. Na litość boską, peruka to gwarantowany spadek oglądalności.

Steve prosił, żebym zadzwonił, ale byłem tak zdenerwowany, że od razu pojechałem do niego do Malibu. Na Pacific Coast Highway był straszny

ruch - piątek wieczorem, godziny szczytu. Tym razem jednak miało to swoje zalety. Po godzinie opanowałem gniew na tyle, by zrozumieć, że niewiele osiągnę, zjawiając się bez zapowiedzi u Steve'a i wyładowując na nim złość. Był wobec mnie lojalny. Jak powiedział: „Zrobiłem, co mogłem. Teraz wszystko w twoich rękach”. Niewiele mogłem zrobić, skoro byłem oceniany na podstawie wieku, a nie umiejętności. Ale Steve nie był temu winny.

Dlatego zatrzymałem się przy knajpie Pacific Coast Diner i postąpiłem zgodnie z radą widniejącą na nalepce przyklejonej do zderzaka samochodu, za którym utknąłem: WYLUZUJ. Może się uspokoję, kiedy przemyślę wszystko przy kilku drinkach i kolacji. Usiadłem przy jednym ze stolików z parasolami na tarasie z widokiem na ocean. Na jedzenie czekałem pół godziny, ale szkocka z wodą sodową sprawiła, że czas szybko mijał, a widok zachodzącego słońca odbijającego się w falach oceanu był przepiękny.

Czy raczej byłby, gdybym zwracał na niego uwagę. Prawda była taka, że nie mogłem opanować nerwów. Wypiłem drugą szkocką, zamówiłem łososia z wody i próbowałem zjeść go ze smakiem. Niestety nie mogłem przelknąć ani kęsa i poczułem się tak samotny, jak czułem się po śmierci Doris. Może ci ludzie z telewizji mają rację, pomyślałem. Może rzeczywiście jestem za stary. Może nie wiem, jak trafić do młodej widowni. Może pora rzucić to wszystko.

- Mort Davidson - usłyszałem.

- Słucham? - zamrugałem, wytrącony z zamyślenia. Kelner trzymał w ręku kartę kredytową, którą mu dałem.

- Mort Davidson. - Spojrzał na nazwisko na karcie, a potem na mnie. - Ten scenarzysta?

Oduściłem sobie pełne gorzycy „na emeryturze” i skinąłem głową; miałem nadzieję, że uprzejmie.

- O rany. - Był wysoki, chudy, jasnowłosy i bardzo opalony. Miał ładną twarz o regularnych rysach i intensywnie niebieskich oczach, przez co w pierwszej chwili uznałem go za kolejnego niedoszłego aktora. Wyglądał na jakieś dwadzieścia trzy lata. - Kiedy zobaczyłem pańskie nazwisko, pomyślałem, że to niemożliwe. Kto wie, ilu Mortów Davidsonów jest na świecie? Prawdopodobieństwo, że to jest właśnie... ale to rzeczywiście pan. Ten scenarzysta.

- Przyznaję się do winy - zdobyłem się na żart.

- Założę się, że widziałem wszystkie pańskie filmy. *Środek dnia* ze dwadzieścia kilka razy. Wiele się nauczyłem.

- Ach tak? - Byłem zaskoczony. Czego mógł się nauczyć o aktorstwie z mojego scenariusza?

- O strukturze. O tempie. O tym, że trzeba pozwolić bohaterom mówić. To właśnie jest złe we współczesnych filmach. Bohaterowie nie mają nic ważnego do powiedzenia.

Wreszcie zrozumiałem. Nie był niedoszłym aktorem.

- Jestem scenarzystą - powiedział. - A raczej próbuję nim być. Jeszcze dużo muszę się nauczyć. To, że tu pracuję, jest tego najlepszym dowodem. - Błysk w jego oczach zgasł. - Jeszcze nic nie sprzedałem. Ale cóż, nic na świecie nie przychodzi łatwo. Będę pisał dotąd, aż wreszcie wejdę na rynek. Szef jest... Lepiej już skończę gadać. Szef tego nie lubi. Zresztą, na pewno ma pan ciekawsze zajęcia od słuchania mnie. Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo cenię pańskie scenariusze, panie Davidson. Zaraz oddam panu kartę. Cieszę się, że mogłem pana poznać.

Kiedy odszedł, zrozumiałem, że szybkość, z jaką mówił, mogła dowodzić nie tylko entuzjazmu, ale i braku pewności siebie. Mimo urody chłopak czuł się nieudacznikiem.

A może po prostu przeniósłem swoje uczucia na niego. Jedno było pewne - przyjemniej usłyszeć komplement, niż dostać ostrym badylem w oko czy męczyć się na takich spotkaniach jak to, które odbyłem tego popołudnia.

Kiedy wrócił z moją kartą kredytową, podpisałem rachunek i dałem mu duży napiwek.

- Dziękuję, panie Davidson.
- Trzymaj się. Masz jedną dużą zaletę.
- To znaczy?
- Jesteś młody. Masz mnóstwo czasu, by osiągnąć sukces.
- Chyba że...

Byłem ciekaw, co ma na myśli.

- Chyba że się do tego nie nadaję.
- Cóż, najlepszą radą, jakiej mogę ci udzielić, jest ta, żebyś nigdy nie zwątpił w siebie.

Kiedy wyszedłem z restauracji i w świetle syczących lamp łukowych ruszyłem do samochodu, uderzyła mnie cała ironia tej sytuacji. Kelner był młody, ale wątpił w swoje umiejętności. Ja wiedziałem, że talentu mi nie brakuje, ale byłem skazany na bezczynność z powodu mojego wieku. Przez ryk silników na Pacific Coast Highway słyszałem fale rozbijające się na plaży.

I właśnie wtedy wpadł mi do głowy ten pomysł. Pewien figiel, coś podobnego do historii, jakie nieraz się słyszy: jak sfrustrowany scenarzysta przynosi do studia jakiś oscarowy scenariusz, na przykład *Casablanki*, ze zmienionym tytułem i imionami postaci, a producenci stwierdzają

kategorycznie, że to największa szmira, jaką kiedykolwiek czytali. Całe zdarzenie relacjonujapodem pisma branżowe, by udowodnić, że nieważne, jak dobrze piszesz, liczy się tylko, kogo znasz. Czemu nie? - pomyślałem. Chętnie zobaczę miny tych drani.

- Jak się nazywasz?
- Ric Potter.
- To zdrobnienie od Richarda?
- Nie, od Erica.

Skinąłem głową. Najpierw trzeba przełamać lody.

- Wróciłem tu, bo chcę z tobą o czymś porozmawiać. Może będę mógł ci pomóc w zrobieniu kariery.

Jego oczy rozbliły.

I natychmiast pociemniały, jakby nabrał podejrzeń, że chcę go poderwać.

- To sprawa czysto zawodowa - powiedziałem. - To moja wizytówka. Jeśli chcesz porozmawiać o tym, jak pisać i jak zarobić trochę pieniędzy, zadzwoń.

Wciąż był podejrzliwy, ale ciekawość wzięła górę.

- Kiedy?
- Jutro o jedenastej?
- Dobrze. Przyjdę przed pracą.
- Przynies parę swoich scenariuszy.

To było ważne. Musiałem się przekonać, czy umie pisać, czy też tylko się ludzi. Z mojego planu nic by nie wyszło, gdyby chłopak choć trochę nie orientował się w tym biznesie. Dlatego następnego ranka, kiedy punkt jedenasta zjawił się w moim domu, wymieniliśmy się: ja dałem mu scenariusz, który właśnie skończyłem, a sam usiadłem przy basenie i przeczytałem jeden z tych, które przyniósł ze sobą.

- Zjesz coś?

- Umieram z głodu. Pański scenariusz jest wspaniały - powiedział Ric. - Niesamowite tempo. Realizm. Zupełnie jakby to była prawdziwa historia.

- Dzięki. - Wyjąłem z lodówki sałatkę z tuńczyka i wodę mineralną. - Może być chleb razowy i ogórki? A może wolisz pójść do restauracji?

- Wystarczy, że w restauracji pracuję - zaśmiał się.

Ale widać było, że się niecierpliwi, nie może się doczekać, aż powiem, co sędzę o jego scenariuszu. Przypomniałem sobie, jak byłem w jego wieku i bardzo się peszyłem, kiedy ktoś ważny czytał mój scenariusz. Przeszedłem do rzeczy.

- Fabuła jest niezła - powiedziałem.

Odetchnął z ulgą.

- Ale moim zdaniem źle przedstawiona.

Jego twarz stężała.

- Biorąc pod uwagę sumy, jakie w dzisiejszych czasach płaci się gwiazdom, główny bohater musi pojawić się na ekranie jak najwcześniej. U ciebie pojawia się dopiero na piętnastej stronie.

Był wyraźnie zawstydzony.

- Nie wiedziałem, jak...
- A wątek romansowy jest ograny do znudzenia. Scena pod prysznicem to typowy przykład braku wyobraźni.

Wiedziałem, że jestem surowy, ale chciałem zobaczyć, jak Ric to zniesie. Jeśli okaże się typem wrażliwca, nici z mojego planu.

- Może rzeczywiście wzorowałem się na filmach, które oglądałem.

Jego odpowiedź była zachęcająca.

- Elementy humorystyczne do niczego. Komedia raczej ci nie leży.

Zmrużył oczy.

- Zakończenie jest niejasne - ciągnąłem. -Nie wiadomo, czy główny bohater miał rację, czy nie. Jeśli tego nie rozstrzygniesz, wkurzysz wiadomego.

Wbił we mnie wzrok.

- Mówił pan, że fabuła jest niezła.
- Bo jest.
- To dlaczego czuję się, jakbym był na „Titanicu”?
- Bo musisz się jeszcze wiele nauczyć i trochę to potrwa. O ile w ogóle cokolwiek z tego będzie. Niczego nie gwarantuję. Przeciętny członek Związku zarabia poniżej sześciu tysięcy dolarów rocznie. Prawie w żadnej innej branży nie ma takiej konkurencji jak wśród scenarzystów. Ale myślę, że mogę ci pomóc.

- Dlaczego?
- Słucham?
- Poznaliśmy się wczoraj wieczorem. Byłem pańskim kelnerem, na litość boską. A teraz nagle siedzę w pańskim domu, jem z panem lunch, a pan mówi, że może mi pomóc. Nie wierzę, że to dzięki mojej sile przebicia. Pan czegoś chce.
- Tak, ale nie tego, o czym myślisz. Jak ci wczoraj mówiłem, to sprawa czysto zawodowa. Siadaj i jedz, a ja ci wyjaśnię, jak możemy zarobić trochę pieniędzy.

  

- To Ric Potter - powiedziałem. Byliśmy na przyjęciu w jednej z posiadłości na wzgórzach w pobliżu Hollywood Bowl. Zachód słońca. Kwartet

smyczkowy. Szampan. Dużo wpływowych ludzi. - Fox napalił się na jeden z jego scenariuszy. Sądzę, że pójdzie za milion.

Człowiek, któremu przedstawiłem Rica, był kierownikiem w Warner's. Miał nie więcej niż trzydzieści lat.

- O?

- Tak, to coś o młodzieży.

- Ach tak? - Facet zmierzył Rica wzrokiem od stóp do głów, wyraźnie zakłopotany, bo nigdy o nim nie słyszał, i zarazem zaniepokojony, bo bał się, że może powinien być o nim słyszeć, a nie chciał być uznany za źle poinformowanego.

- Jeśli mówię o nim z pewną dumą - dodałem - to dlatego, że ja go odkryłem. To było w maju, kiedy miałem wykład na warsztatach dla młodych scenarzystów w Amerykańskim Instytucie Filmowym. Ric mnie namówił, żebym rzucił okiem na parę jego rzeczy, i... cieszę się, że to zrobiłem. Mój agent zresztą też. - Zachichotałem.

Kierownik próbował udawać rozbawionego, choć nie cierpiał płacić scenarzystom dużych pieniędzy. Ric natomiast usiłował sprawiać wrażenie skromnego, ale niewiarygodnie utalentowanego i bardzo, bardzo obiecującego młodzieńca.

- Nie daj się uwiązać na smyczy Foksa - poradził mu kierownik z Warner's. - Niech twój agent coś mi podeśle.

- Dobrze, panie Ballard. Dziękuję - odparł Ric.

- Chyba nie wyglądam aż tak staro, żebyś mi mówił „pan”? Jestem Ed.

Zrobiliśmy obchód. Choć ludzie liczący się w branży uważali, że jestem za stary, by mieć cokolwiek do powiedzenia ich widzom z przedziału wiekowego 16-25 lat, darzyli mnie szacunkiem jako człowieka instytucję. Rzecz jasna, niczego ode mnie nie kupią, ale chętnie ze mną porozmawiają. W końcu nic ich to nie kosztuje, a dzięki temu czują się częścią społeczności.

Przedstawiłem wszystkim Rica, a plotki, które rozpuszczałem na jego temat, zostały uznane za fakty. Rozmaici kierownicy z rozmaitych studiów rywalizowali między sobą o względy utalentowanego młodego człowieka, który miał dostać milion dolarów za scenariusz.

Kiedy odwoziłem Rica do domu, cały czas z niedowierzaniem kręcił głową.

- I na tym polega cała tajemnica? - dziwił się. - Wystarczy, że odpowiedni człowiek przedstawił mnie komu trzeba, i zostanę namaszczonej na jego następcę?

- Nie daj się zwieść ich poufałości - odparłem. - Zainteresują się tobą tylko wtedy, jeśli zrobisz, czego od ciebie oczekują.

- No to jutro wyślę im jeden z moich scenariuszy.
- Nie - zaprotestowałem. - Pamiętaj o naszej umowie. To będzie mój scenariusz autorstwa Erica Pottera.

Nasza umowa była prosta - Ric dostanie dziesięć procent honorarium za scenariusz, jeśli będzie moim figurantem. Musi odbierać telefony, chodzić na spotkania i w ogóle udawać, że to on jest autorem. Przy okazji nauczę go tego i owego o technice pisania scenariuszy. Uważałem, że to dla niego całkiem korzystny układ. On też.

Tyle że uparł się, by dostać piętnaście procent.

- Przecież nie mogę chodzić na spotkania, jeśli będę pracował od trze-  
ciej do jedenastej w restauracji - tłumaczył. - Piętnaście procent honora-  
rium i zaliczka. Musisz mi zapłacić tyle, ile zarabiam w restauracji, że  
bym miał czas na spotkania.

Wypisałem mu czek na tysiąc dolarów.

Dzwonek telefonu przerwał mi pisanie najważniejszej kwestii w sce-  
nariuszu, nad którym właśnie pracowałem. Zaczekałem, aż włączy się  
automatyczna sekretarka, ale podniosłem słuchawkę, kiedy usłyszałem,  
że mój agent mówi coś o Ricu.

- O co chodzi, Steve?
- Ballardowi z Warner's podoba się scenariusz, który mu wysłałem na  
twoje polecenie. Chce wprowadzić kilka zmian, ale jest zadowolony na  
tyle, że proponuje siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

- Zażądaj miliona.

- Nie zażądam ani centa.

- Nie rozumiem. To jakaś nowa taktyka negocjacyjna?

- Mówiłeś mi, żebym nie zawracał sobie głowy czytaniem scenariu-  
sza i od razu wysłał tekst do Warner's, bo Ballard o to prosił. Jak słusznie  
zauważyłeś, i bez tego mam za dużo spraw na głowie. Ale zrobiłem ko-  
pię, i ot tak, z ciekawości, wczoraj ją przejrzałem. Co ty kombinujesz,  
Mort? Tego scenariusza nie napisał Ric Potter. To twój tekst. Pokazywa-  
łeś mi go rok temu, pod innym tytułem.

Nie odpowiedziałem.

- Mort?

- Chcę coś udowodnić. Jediną wadą moich scenariuszy jest to, że lu-  
dzie z branży mają uprzedzenia do starszych autorów. Wystarczy stwo-  
rzyć wrażenie, że napisał je ktoś młody, i nagle okazują się doskonałe.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Dlaczego?



- To świadome wprowadzanie w błąd. Nie będę narażał swojej wiarygodności jako agenta. Wiesz, jak brzmi klauzula w kontrakcie - autor gwarantuje, że scenariusz jest wyłącznie jego dziełem. Jeśli w pisaniu uczestniczył ktoś inny, studio chce o tym wiedzieć, żeby się uchronić przed oskarżeniami o plagiat.

- Jeśli powiesz Ballardowi, że to ja napisałem ten scenariusz, on go nie kupi.

- Popadasz w obłąd, Mort.

- Nieprawda, stawiam czoła faktom i jestem praktyczny. Nie zawał tego.

- Powiedziałem ci, nie idę na to.

- W takim razie muszę znaleźć kogoś, kto będzie innego zdania.

Długa przerwa.

- Wiesz, co mówisz?

- Potrzebujemy z Rikiem Potterem nowego agenta.

Muszę to Steve'owi przyznać - choć był wściekły, że go opuszczam, w końcu obiecał, przez wzgląd na starą znajomość i mój upór, że nikomu nie zdradzi moich planów. Do samego końca pozostał lojalny. Odchodziłem od niego ze złamanym sercem. Agentka, którą wybrałem, nie miała pojęcia o moim układzie z Rikiem.

Uwierzyła w to, co jej powiedziałem - Ric i ja jesteśmy przyjaciółmi i dziwnym trafem w tym samym momencie postanowiliśmy poszukać nowego agenta. Mogłem się zwrócić do którejś z wielkich agencji, takich jak CAA, ale zawsze źle się czułem w tłumie, a w dodatku uznałem, że lepiej, by reprezentowała nas mała, dyskretna firma. Im mniej ludzi wie o moich sprawach, tym lepiej.

Agencja Lindy Carpenter mieściła się w parterowym murowanym domu, tuż obok starego osiedla Hollywoodland. Cztery ostatnie litery wielkiego napisu z jego nazwą przewróciły się dawno temu. Zostało tylko Hollywood, pokazywane we wszystkich materiałach filmowych o Los Angeles. Patrząc spod domu Lindy Carpenter, człowiek ma wrażenie, że gigantyczne litery wznoszą się tuż nad nim.

Zaparkowałem audi i wysiedliśmy z Rikiem. Miał na sobie tenisówki, dzinsy i biały bawełniany pulower. To ja kazałem mu się tak ubrać. Chciałem, żeby jego swobodny, młodzieżowy strój kontrastował z moimi konserwatywnymi spodniami i sportową marynarką. Kiedy weszliśmy do gabinetu, Linda - trzydziestolatka o krótkich rudych włosach, która uwielbia patrzeć na przystojnych młodych mężczyzn - aż wyprostowała się na krześle na widok Rica. Znowu pomyślałem, jak bardzo - dzięki złotym

włosom, niebieskim oczom i brązowej opaleniznie - przypominał początkującego aktora.

Linda dopiero po dłuższej chwili odwróciła wzrok od Rica i spojrzała na mnie.

- Cieszę się, że cię widzę, Mort. Ale niepotrzebnie jechałeś taki szmat drogi. Mogliśmy umówić się na lunch w Le Dome.

- To wizyta grzecznościowa. Chciałem oszczędzić ci długiej jazdy, nie wspominając o rachunku.

Powiedziałem to żartobliwym tonem. Zasada jest taka, że to agent płaci, kiedy jest w restauracji ze swoim klientem. Linda miała ujmujący uśmiech. Jej rude włosy jakby się rozjaśniły.

- Zawsze chętnie się z tobą spotykam. Jestem zaskoczona, że odszedłeś od Steve'a. - Taktownie nie spytała, jaki był tego powód. - Obiecuję, że będę ciężko dla was pracować.

- W to nie wątpię - powiedziałem. - Ale myślę, że dla mojego przyjaciela nie będziesz musiała zanadto się wysilać. Warner's już zainteresowało się scenariuszem Rica.

- Tak? - Linda uniosła wypielęgnowane brwi. - Kto tam jest kierownikiem?

- Ballard.

- No proszę. - Lekko zmarszczyła czoło. - I Steve w tym nie uczestniczy? Nic was już nie łączy?

- Nic a nic. Możesz do niego zadzwonić, jeśli chcesz się upewnić.

- To nie będzie konieczne.

Ale później dowiedziałem się, że zadzwoniła do Steve'a, a on potwierdził moje słowa. I nie chciał rozmawiać o powodach naszego rozstania.

- Mam przeczucie, że ten scenariusz może pójść za duże pieniądze - ciągnąłem.

- Jak duże?

- Milion.

Linda otworzyła szerzej oczy.

- Mało to to nie jest.

- Ballard dużo słyszał o Ricu. Jego zdaniem może okazać się nowym Joem Eszterhasem. - Chodziło o scenarzystę *Nagiego instynktu*, którego scenariusze wywoływały takie poruszenie wśród producentów, że licytowali między sobą prawa do nich, a on sam zbijał na tym wielkie pieniądze. - Podejrzewam, że Ballard zaproponuje odpowiednie dużą sumę, by uprzedzić konkurencję.

- Mort, mówisz bardziej jak agent niż scenarzysta.

- To tylko przeczucie.

- I Steve nie chce w to wejść?

Pokręciłem głową.

Linda nachmurzyła się.

Ale ledwie spojrzała na Rica i znów zobaczyła jego idealny podbródek, rozpogodziła się.

- Masz kopię tego scenariusza?

- Jasne. - Ric uśmiechnął się skromnie, tak jak go nauczyłem. - O, tu jest.

Linda wzięła scenariusz i sprawdziła, czy nie ma więcej niż sto piętnaście stron - tyle, ile trzeba, by film nie był za długi.

- O czym jest?

Ric powiedział o scenariuszu tak, jak go uczyłem - najpierw ogólna idea, potem docelowa widownia, sugerowany typ aktora i sposoby utrzymania budżetu w ryzach. Tak jak podczas próby generalnej u mnie w domu, zajęło mu to cztery minuty.

Linda słuchała z rosnącym zainteresowaniem. Potem zwróciła się do mnie.

- Szkoliłeś go?

- Niewiele. Ric ma wrodzony talent.

- Widać po jego zachowaniu.

- I jest młody -dodałem.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

- Ballardowi też nie.

- Ric - powiedziała Linda - od tej pory, cokolwiek się będzie działo, ani mi się waź zapadać na niemoc twórczą. Dzięki mnie będziesz najlepiej opłacanym nowicjuszem w tym mieście.

Ric uśmiechnął się promiennie.

- Mort - powiedziała Linda - to szlachetne z twojej strony, że pomagasz przyjacielowi.

- Cóż - wzruszyłem ramionami - od czego ma się przyjaciel?

Mówiąc Lindzie, że przyjechaliśmy z wizytą grzecznościową - by oszczędzić jej długiej jazdy i kosztów lunchu w drogiej restauracji - żartowałem, tak naprawdę bowiem chciałem zobaczyć, jak Ric będzie opowiadał o scenariuszu. Gdyby coś się nie udało, wołałem, żeby nie stało się to w Le Dome, gdzie świadkami wpadki byłiby producenci siedzący przy sąsiednich stolikach. Najpierw próby w terenie, potem przedstawienie na scenie głównej. I musiałem zgodzić się z Lindą- Ric poradził sobie doskonale.

Powiedziałem mu to, kiedy jechaliśmy Bulwarem Zachodzącego Słońca.

- Nie będziesz mógł zawsze liczyć na moje wsparcie. Powiem więcej, rzadko będę przy tobie. Trzeba cię dalej szkolić, bo musisz sprawiać wrażenie, że o pisaniu scenariuszy i w ogóle o całej branży wiesz prawie wszystko. W kontaktach z kierownikami studiów najważniejsze jest zdobycie ich zaufania.

- Naprawdę myślisz, że zrobiłem na niej wrażenie?

- To było widać.

Ric pomyślał o tym, wyjrzał przez okno i skinął głową.

- No.

Wróciliśmy więc do mojego domu na wzgórzach nad zachodnim Hollywood i przeciwiczyliśmy z Rikiem odpowiedzi na pytania, jakie będą mu zadawać - skąd wzięł pomysł, jacy aktorzy nadawaliby się do poszczególnych ról, kto jego zdaniem mógłby reżyserować materiał i tak dalej. W początkowej fazie pracy nad filmem producenci na każdym kroku konsultują się ze scenarzystą i obiecują, że tak będzie zawsze. Oczywiście, to stek bzdur. Kiedy tylko pojawia się reżyser i znany aktor, nagle zapominają o swoich obietnicach. Ale na początku to scenarzysta jest najważniejszy, więc Ric musiał umieć odpowiedzieć na wszelkie pytania, tak by nikt nie miał wątpliwości, że scenariusz jest jego dziełem.

Szybko się uczył. O ósmej, kiedy nie przychodziły mi do głowy żadne nowe pytania, pojechaliśmy na kolację do smażalni ryb w pobliżu moła w Santa Monica. Potem poszliśmy na moło i patrzyliśmy na zachód słońca.

- Więc o to w tym wszystkim chodzi - powiedział Ric.

- To znaczy?

- O akcję. Czuję to.

- Nie daj się zwieść optymizmowi Lindy. Może nic z tego nie będzie.

Ric potrząsnął głową.

- Jestem blisko.

- Chcę jutro napisać kilka stron, ale jeśli przyjdiesz o czwartej, chętnie przejrzę to, nad czym ostatnio pracujesz. Jestem ciekaw, jak ci idzie poprawianie tego scenariusza.

Ric patrzył na zachodzące słońce i przez długą chwilę milczał.

- Mojego scenariusza - powiedział wreszcie.

Następnego dnia niewiele udało mi się napisać. Właśnie rozwiązałem problem za długiej sceny, kiedy zadzwonił telefon. Było koło dziesiątej, a że nie chciałem, by mi przeszkadzano, poczekałem, aż włączy się automatyczna sekretarka. Dopiero gdy usłyszałem podniecony głos Rica, podniosłem słuchawkę.

- Spokojnie - powiedziałem. - Coś się tak napalił?
- Chcą ten scenariusz!

Nie byłem na to przygotowany.

- Warner's?
- Aż trudno uwierzyć, że to dzieje się tak szybko!
- Ballard naprawdę chce go wziąć? Skąd wiesz?
- Właśnie dzwoniła Linda!
- Linda? - Zmarszczyłem brwi. - Dlaczego nie... - Chciałem powiedzieć: „Dlaczego nie zadzwoniła do mnie?“, ale ugryzłem się w język. Linda nie miała powodu do mnie dzwonić, chyba że po to, by przekazać dobre wiadomości dotyczące mojego przyjaciela. Do Rica zadzwonić musiała. W końcu to on był autorem scenariusza.
- Linda mówi, że Ballard chce zjeść ze mną lunch - ciągnął Ric z ożywieniem.
- To wspaniale. - Tak naprawdę, byłem lekko zazdrosny. - Kiedy?
- Dziś.

Oniemiałem. Każdy wpływowy kierownik studia miał zajęte terminy na kilka tygodni naprzód. Żeby zjeść lunch z Rikiem już teraz, Ballard musiał odwołać spotkanie z kimś innym. Na pewno nie odwrotnie. Nikt nie ośmieliłby się odwołać lunchu z Ballardem.

- Niesamowite - powiedziałem.
- Podobno wiąże ze mną wielkie nadzieje. A propos, scenariusz podoba mu się taki, jaki jest. Bez poprawek. Przynajmniej na razie. Linda mówi, że reżyser zawsze żąda jakichś zmian.
- To prawda - przyznałem. - A potem stwierdza, że zmiany są niewystarczające, i ściąga znajomego, żeby poprawił scenariusz.
- Pieprzysz - mruknął Ric.
- Scenarzysta nie ma żadnej władzy nad reżyserem. Jeszcze dużo musisz się nauczyć o stosunkach panujących w tej branży.
- Jasne. - Ricowi się spieszyło. - Linda podbiła cenę do miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy!
- Przez chwilę nie mogłem złapać tchu.
- Super. - Tym razem mówiłem serio.

Ric zadzwonił znowu po półgodzinie. Miał tremę przed spotkaniem i chciał, by ktoś dodał mu otuchy.

Po następnej półgodzinie zadzwonił trzeci raz. Powiedział, że nie wie, czy dzinsy, pulower i tenisówki to odpowiedni strój na lunch z ważną osobistością. Kazałem mu się tak ubrać, bo tego wymagała rola, jaką odgrywał.

- Nie masz wyjścia - powiedziałem. - Musisz wyglądać, jakbyś nie należał do establishmentu, czy jak to się teraz nazywa. Jeśli będziesz wyglądał jak wszyscy scenarzyści próbujący robić dobre wrażenie, Ballard potraktuje cię jak wszystkich scenarzystów. My sprzedajemy non-konformizm. Młodość.

- Mimo wszystko, lepiej czułbym się w marynarce od... - wymienił nazwisko modnego ostatnio projektanta.

- Nawet zakładając, że to dobry pomysł - a tak nie jest -jak, do licha, miałbyś za to zapłacić? Marynarka od tego projektanta kosztuje półtora tysiąca dolarów.

- Kartą kredytową - odparł Ric.

- Tak czy inaczej, za miesiąc musiałbyś wyłożyć pieniądze. Przecież wiesz, jakie odsetki naliczają firmy wydające karty kredytowe.

- Stać mnie. Właśnie zarobiłem milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Nie, Ric. Coś ci się poplątało.

- No dobrze, wiem, że Linda bierze dziesięć procent prowizji.

- To jeszcze nie wszystko. Nie ty dostaniesz większą część tej kwoty, tylko ja. Ty weźmiesz piętnaście procent.

- To i tak dużo. Prawie dwieście tysięcy dolarów.

- Tyle że pewnie dostaniesz je nie wcześniej niż za pół roku.

- Co?

- To nie jest tak, że zgodzą się kupić scenariusz i od razu dadzą ci czek. Trzeba obgadać wszystkie szczegóły, przygotować umowy, przejrzeć je i poprawić. A potem dział finansowy będzie w nieskończoność odwlekał wypłatę. Kiedyś musiałem rok czekać na pieniądze.

- Ale ja nie mogę tak długo czekać. Mam...

- Co?

- Zobowiązania. Słuchaj, Mort, muszę lecieć, przygotować się do tego spotkania.

- A ja wracam do pisania.

- Tyle się dziś dzieje, a ty piszesz?

- Jak co dzień.

- Nie do wiary.

Ale byłem zbyt rozkojarzony, żeby pracować. Ric zadzwonił koło piątej.

- Było świetnie.

Nie spodziewałem się, że poczuję taką ulgę.

- Ballard nie zadał żadnych podchwytliwych pytań? Nadal wierzy, że to ty napisałeś scenariusz?

- I nie tylko. Mówi, że jestem młodym talentem, którego szukał. Świeża wyobraźnia. Ktoś, kto zna sposób myślenia młodego pokolenia. Poprosił mnie, żebym poprawił scenariusz filmu akcji, który zaczynają kręcić w przyszłym tygodniu.

- Chodzi o *Wodzów*?

- Tak.

- Słyszałem o nim wiele złego - powiedziałem.

- No to już więcej nie usłyszysz.

- Czekaj no... chcesz powiedzieć, że się zgodziłeś?

- Pewnie.

- Bez konsultacji ze mną? - Byłem oburzony. - Na miłość boską, gdzieś ty miał głowę?

- A po co miałem się z tobą konsultować? Nie jesteś moim agentem. Ballard zadzwonił do Lindy z restauracji. Dogadali się między sobą ja tylko siedziałem. Stary, jak już coś zaczyna się dziać, to na całego. Tyle lat próbowałem i nagle raz-dwa osiągnąłem to, o czym marzyłem. A najlepsze jest to, że jako wynajętemu scenarzyście część pieniędzy muszą mi wypłacić, kiedy tylko siądę do roboty, nawet jeśli kontrakty nie będą jeszcze gotowe.

- Zgadza się- powiedziałem. - Kiedy zostajesz wynajęty, muszą ci zapłacić zgodnie z określonym harmonogramem. Pilnuje tego Związek Pisarzy. Szybko się uczysz. Ale czy nie sądzisz, że zanim weźmiesz zlecenie, dobrze byłoby najpierw przeczytać scenariusz, żeby sprawdzić, czy w ogóle da się go poprawić?

- Myślisz, że może być aż tak zły?

- Albo jeszcze gorszy.

- To nieważne. Honorarium wyniesie sto tysięcy dolarów. Potrzebuję tych pieniędzy.

- Na co? Nie prowadzisz wystawnego życia. Możesz sobie pozwolić, żeby być cierpliwym i brać tylko te zlecenia, które pomogą ci w dalszej karierze.

- Zaraz ci powiem, na co mogę sobie pozwolić. Rozmawiasz przez ten przenośny telefon z twojego gabinetu?

- Tak, ale nie wiem, jakie to ma znaczenie.

- Wyrzyj przez okno od frontu.

Przeszedłem przez pokój telewizyjny i salon i wyjrzałem za kwitnące rododendrony za oknem. Przebiegłem oczami po krętym podjeździe i utkwilem wzrok w bramie wjazdowej.

Ric miał na sobie modny lniany garnitur i siedział w czerwonym ferrari z telefonem samochodowym przy uchu. Pomachał do mnie, kiedy zobaczył, że stoję w oknie.

- Podoba ci się? - spytał.
  - Na litość boską. - Rozłączyłem się, odłożyłem telefon i wyszedłem frontowymi drzwiami.
  - Podoba ci się? - powtórzył Ric, kiedy podszedłem do bramy. Wskazał na swoją marynarkę i samochód.
  - Przecież nie miałeś czasu, żeby... Kiedy kupiłeś...
  - Dziś rano, po tym jak Linda powiedziała mi o ofercie Ballarda, zamówiłem samochód przez telefon. Odebrałem go po spotkaniu z Ballardem. Niezły, co?
  - Przecież nie masz żadnego majątku. Chcesz powiedzieć, że pozwolili ci ot tak wyjechać samochodem z salonu?
  - Kupiłem go na kredyt. Kazałem Lindzie, żeby go podżyrowała.
  - Kazałeś Lindzie... - Nie wierzyłem własnym uszom. - Cholerny świat, Ric, czemu nie zaczekasz, aż skończę cię szkolić, zanim... Planowałem, że jak już nauczę cię techniki pisania scenariuszy i przedstawię stosunki panujące w tej branży, wyjaśnię ci, co masz robić z pieniędzmi.
  - A co jest tu do wyjaśniania? Pieniądze są od tego, żeby je wydawać.
  - Nie w tej branży. Musisz odłożyć coś na czarną godzinę.
  - Na razie nie mam żadnych kłopotów z zarabianiem.
  - To, co się dziś zdarzyło, to fuks! To pierwszy scenariusz, jaki sprzedałem od niepamiętnych czasów. Nie ma gwarancji, że tak będzie zawsze.
  - Całe szczęście, że się zjawiłem, co? - uśmiechnął się Ric.
  - Zanim zgodziłeś się poprawić ten scenariusz, powinieneś był spytać, czy chcę to zrobić.
  - Ale to ciebie nie dotyczy. Poprawię go.
  - W takim razie powinieneś był zadać sobie jeszcze jedno pytanie.
  - Jakie?
  - Czy jesteś wystarczająco dobry.
- Ric poczerwieniał ze złości.
- Pewnie, że jestem. Czytałeś moje scenariusze. Trzeba było tylko, żeby ktoś dał mi szansę.

Ric nie odzywał się do mnie przez trzy dni. Nie miałem nic przeciwko temu. Osiągnąłem cel. Udowodniłem, że scenariusz podpisany przeze mnie miał mniejsze szanse na to, by zostać kupiony, od tego samego scenariusza, na którym widniało nazwisko młodego autora. Ale prawdę mówiąc, niedyscyplinowanie Rica irytowało mnie. I muszę przyznać, że po trzech dniach ciekawość zaczęła brać górę. Co on knuł?

Zadzwonił o dziewiątej wieczorem.



- Co słyhać?
- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Sporo dziś pracowałem.
- Właśnie dlatego dzwonię. Chodzi o pracę.
- Tak?
- Nie odzywałem się ostatnio, bo zająłem się poprawianiem tych *Wodzów*.

Milczałem.

- Spotkałem się z reżyserem - podjął. - A potem z odtwórcą głównej roli. - Wymienił nazwisko najslawniejszego gwiazdora kina akcji. Zawałał się. - Mógłbyś rzucić okiem na mój materiał?

- Chyba żartujesz. Po tym, co mi powiedziałeś? Prawie że kazałeś mi się odwalić.

- Nie chciałem być nieuprzejmy. Naprawdę. Jestem nowy w tej branży, Mort. No, nie daj się prosić. Jak sam ciągle mi przypominasz, nie mam tyle doświadczenia co ty. Jestem młody.

Musiałem mu przyznać - nie dość, że przeprosił, to jeszcze użył odpowiednich argumentów.

- Mort?

Początkowo nie chciałem zawracać sobie tym głowy. Miałem dość własnej roboty, a *Wodzowie* pewnie okażą się tak beznadziejni, że zrobią mi sieczkę z mózgu.

Uległem jednak ciekawości. Intrygowało mnie, jak Ric mógł poprawić taką szmirę.

- Mort?

- Kiedy miałbym przejrzeć twoje poprawki?

- Może być teraz?

- Teraz? Jest po dziewiątej. Minie godzina, zanim tu dojedziesz...

- Już tu jestem.

- Co?

- Mówię z telefonu samochodowego. Stoję pod twoją bramą.

Ric usiadł naprzeciwko mnie w salonie. Zauważyłem, że jego opalenizna jest ciemniejsza i że ma na sobie inną modną marynarkę, jeszcze droższą. Spojrzałem na tytułową stronę scenariusza, który mi dał.

WODZOWIE *poprawki*  
autorstwa Erica Pottera

Przerzuciłem kartki. Wszystkie były napisane na maszynie, na białym papierze. Brak doświadczenia Rica znów dał o sobie znać. Poprawione

fragmenty dobrze jest przepisywać na kartkach innego koloru - wtedy producent z reżyserem mogą oszczędzić trochę cennego czasu, bo nie muszą czytać całego scenariusza, żeby je znaleźć.

- To notatki, które dał mi reżyser - Ric podał mi kilka kartek maszynopisu. - A te... - wręczył mi kartki zapisane ręcznie - ...dostałem od aktora grającego główną rolę. Trochę trudno je odczytać.

- Trochę to za mało powiedziane. Lepiej włożę okulary. - Przeczytałem, czego chciał reżyser. Przeszedłem do sugestii aktora.

- A to notatki producenta - powiedział Ric.

Dzięki Bogu, były schludnie napisane na maszynie. Przeczytałem je. Wreszcie usiadłem wygodnie i zdjąłem okulary.

- No i?

Westchnąłem.

- Typowe. Z tego, co widzę, każdy mówi o innym filmie. Reżyser chce więcej akcji, mniej psychologii. Gwiazdor postanowił spoważnieć - więcej psychologii, mniej akcji. Producent życzy sobie, by film był śmieszny

i tańszy. Muszą uważać, bo inaczej będą mieli kilka filmów w jednym.

Ric spojrział na mnie z niepokojem.

- No dobra - powiedziałem. - Weź sobie piwo z lodówki i pooglądaj telewizję, a ja to przejrzę. Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, gdzie wprowadzałeś zmiany. Następnym razem używaj papieru w różnych kolorach.

Ric zasepił się.

- O co chodzi? - spytałem.

- O te zmiany.

- To znaczy?

- No bo... właściwie to jeszcze nie zacząłem ich robić.

- Ale zaczął! Ale na stronie tytułowej napisane jest ja Wyk „poprawki autorstwa Erica Pottera”.

Ric miał skruszoną minę.

- Na stronie tytułowej skończyłem.

- Słodki Jezu. Kiedy masz oddać poprawioną wersję?

- Ballard dał mi tydzień.

- I przez pierwsze trzy dni tego tygodnia nie zrobiłeś nic? Czym ty się zajmowałeś?

Ric spuścił wzrok.

Znów zauważyłem, że jego opalenizna jest ciemniejsza.

- Nie mów, że tylko wylegiwałeś się na słońcu?

- Właściwie nie.

- No to co robiłeś?

- Myślałem, jak poprawić scenariusz.  
 Byłem tak poruszony, że aż musiałem wstać.

- O poprawkach się nie myśli. Poprawki się robi. Mówiłeś, że ile ci za to płacą? Sto tysięcy?  
 Skinął głową, wyraźnie zawstydzony.

- A Związek Pisarzy żąda, żeby wynajęci scenarzyści dostawali część zapłaty zaraz po rozpoczęciu pracy.

- Pięćdziesiąt tysięcy. - Ric zaczął się wiercić. - Posłaniec przyniósł czek Lindzie następnego dnia po tym, jak zawarłem umowę z Ballardem.

- Ale się wkopałeś.  
 Spuścił głowę, jeszcze bardziej zawstydzony.

- Jeśli nie oddasz poprawionej wersji za cztery dni, Ballard zażąda zwrotu pieniędzy.

- Wiem - powiedział Ric i dodał po chwili: - Ale nie mogę ich oddać.

- Co takiego?

- Już je wydałem. Wpłaciłem zaliczkę na apartament w Malibu.  
 Zatkano mnie.

- A pieniądze to jeszcze nie wszystko - powiedziałem. - Najgorsze, że stracisz dobre imię. Ballard dał ci niewiarygodną szansę. Postanowił zaryzykować i zatrudnić obiecującego młodego chłopaka. Pozwolił ci od razu wskoczyć na szczyt. Ale jeśli nie zrobisz, czego od ciebie oczekuje, wścieknę się. Powie wszystkim, że nie można na tobie polegać. Nie będziesz już gwiazdą. Nie sprzedamy następnego scenariusza tak łatwo jak tego.

- Słuchaj, Mort, przepraszam. Przechwalałem się, że dam radę zrobić to sam. Myliłem się. Mam za małe doświadczenie. Przyznaję. To mnie przerosło.

- Mimo że chodzi o takie gówna.  
 Ric spojrział na mnie ze skruchą.

- Tak sobie myślałem... może byś mi pomógł?  
 Szczeka mi opadła.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć „mowy nie ma”, Ric dodał pośpiesznie:

- To pomogłoby nam obu.

- Nibyjak?

- Sam powiedziałaś, że jeśli nie wykonam zlecenia, Ballard powie o tym wszystkim. Nie zaufa mi więcej żaden producent. Nie sprzedasz za moim pośrednictwem żadnego scenariusza.

Miał rację. Jeśli chciałem nadal sprzedawać swoje teksty, jeśli chciałem, by zostały skierowane do realizacji, potrzebowalem go. Wiedziałem, że jestem za stary, by ktokolwiek kupił ode mnie scenariusz. Musiałem też przyznać, że przez cały ten czas w głębi ducha liczyłem na to, że współpraca z Rikiem nie skończy się na jednym przekręcie.

Przełknąłem ślinę i powiedziałem:

- No dobrze.
- Dziękuję.
- Ale nie będę po tobie sprzątał.
- Jasne, że nie. Obowiązuje taki sam układ, jak poprzednio. Piętnaście procent dla mnie.
- Właściwie nie powinieneś dostać nic.
- Beze mnie Ballard nie dałby nam tego zlecenia.
- Skoro wydałeś już połowę forsy, skąd weźmiesz pieniądze dla mnie? Zastanawiał się, jak z tego wybrnąć.
- Będziemy musieli zaczekać - powiedział w końcu - aż przyjdzie czek za ten scenariusz, który sprzedaliśmy. Zapłacę ci z dwustu tysięcy, które mi się należą.
- Przecież sporo wiesz sprzedawcy ferrari. Jeśli mu nie zapłacisz, twój dług przejdzie na Lindę.
- Załatwię to. - Ric niecierpliwie machnął ręką. - Wszystko załatwię. Teraz najważniejsze, żebyś poprawił *Wodzów*. Ballard wypłaci pozostałe pięćdziesiąt tysięcy, kiedy oddam mu tekst. To twoje pieniądze.
- W porządku.

Dopiero później dotarło do mnie, że Ric ustanowił precedens zmieniający naszą umowę. Choć obiecał zwrócić mi wszystko co do grosza, prawda była taka, że zgarnął połowę honorarium. Zamiast piętnastu, dostał pięćdziesiąt procent.

Scenariusz *Wodzów* był jeszcze gorszy, niż się obawiałem. Jak zmienić złą szmirę w dobrą szmirę? A przy tym zadowolić reżysera, gwiazdę i producenta, z których każdy prosi o coś zupełnie innego? Jedną z zasad, które poznałem w ciągu wielu lat pracy, jest ta, że ludzie nie zawsze chcą tego, o czym mówią, że tak naprawdę chodzi im o coś zupełnie innego. Czasem jest to kwestia interpretacji. A po przebrnięciu przez scenariusz *Wodzów* wydawało mi się, że właściwą interpretację już znam.

Reżyser twierdził, że chce więcej akcji i mniej psychologii. Moim zdaniem w scenariuszu akcji było już aż nadto. Kłopot polegał na tym, że niektóre sekwencje były zbędne, a inne rozgrywały się w nieodpowiednim tempie. Najbardziej widowiskowe sceny następowały mniej więcej po upływie dwóch trzecich filmu. W porównaniu z nimi końcówka wypadła blado. Należało więc co nieco przyciąć i zmienić strukturę filmu - dobre sceny z końcówki przenieść do środkowej części i rozbudować, a najbardziej spektakularne dać na koniec, przez cały czas pamiętając o zachowaniu w miarę logicznego ciągu wydarzeń, z czym i tak był już duży kłopot.

Gwiazdor mówił, że chce mniej akcji i więcej psychologii. Z tego, co zauważyłem, tak naprawdę chciał po prostu sprawić, by widzowie go polubili. Dlatego uczyniłem bohatera filmu nieco łagodniejszym, dorzuciłem parę żartów, kazałem mu zaczekać z rozwaleniem oprychów, aż starszka przejdzie przez ulicę, i tak dalej. Jako że bardziej przypominał robota niż człowieka, wszelkie ludzkie odruchy sprawiały, że zaczynał budzić sympatię.

Producent twierdził, że chce więcej humoru i mniej wydatków. No cóż, czyniąc bohatera bardziej sympatycznym, dorzuciłem żarty, o które mu chodziło. Zmieniając sekwencję scen kaskaderskich, wyeliminowałem kilka słabszych, spełniając przy tym życzenie gwiazdora, by było mniej akcji, i producenta - bo to właśnie nadmiar spektakularnych scen spowodował rozdęcie budżetu.

Wyjaśniłem to wszystko Ricowi, robiąc notatki.

- I wszyscy będą zadowoleni.
- Niesamowite - powiedział.
- Dzięki.
- Chodzi mi o te twoje pomysły. Przecież nawet ja mogłem na nie wpaść.
- Czyżby? - Mój głos nabrał szorstkiego tonu. - To dlaczego na nie nie wpadłeś?
- Bo... cóż, wydają się oczywiste.
- Po tym, jak je wymyśliłem. Dobre pomysły zawsze wydają się oczywiste z perspektywy czasu. Najważniejsze to przelać je na papier. Będę musiał harować jak wół, żeby skończyć tę robotę w cztery dni. No i jest jeszcze jeden kłopot. Muszę cię nauczyć, jak powiedzieć o tych zmianach Ballardowi, żeby był przekonany, że to ty je wprowadziłeś.
- Możesz na mnie liczyć - zapewnił.
- Chcę, żebyś... - ziewnąłem i spojrzałem na zegarek. - Trzecia w nocy? Nie jestem przyzwyczajony tak długo siedzieć. Muszę się przespać, jeśli mam się uwinąć z tymi poprawkami w cztery dni.
- Ja jestem nocnym markiem - powiedział Ric.
- Przyjdź jutro o czwartej po południu. Zastanowimy się, co masz powiedzieć Ballardowi.

Oczywiście, Ric się nie zjawił. Kiedy zadzwoniłem pod jego numer domowy, włączyła się automatyczna sekretarka. Nie mogłem go złapać ani następnego dnia, ani dwa dni później.

Ale pokazał się dzień przed upływem terminu oddania poprawionej wersji scenariusza. Znowu zadzwonił z samochodu, zaparkowanego pod

bramą, a kiedy wpuściłem go do środka, tak bardzo palił się do przejrzania scenariusza, że o mało nie zapomniał się przywitać.

- Gdzieś ty był, u licha?
- W Meksyku.
- Co?
- Żyję w takim stresie, że musiałem się wyrwać.
- A co takiego robisz, że żyjesz w stresie? Przecież to ja odwalam całą robotę.

W odpowiedzi Ric usiadł na sofie w salonie i szybko przerzucił kartki. Zauważyłem, że ma na sobie nową modną marynarkę. Jego opalenizna była jeszcze ciemniejsza.

- Tak - powiedział. - Dobrze. - Wstał. - Lepiej pojedę już do studia.
- Jeszcze ci nie wytłumaczyłem, co masz powiedzieć Ballardowi.

Ric zatrzymał się pod drzwiami.

- Wiesz, Mort, myślę, że jeśli nasza współpraca ma się dobrze układać, musimy zostawić sobie więcej swobody. Ty zajmij się pisaniem. Ja będę się martwił tym, co mówić na spotkaniach. Ballard mnie lubi. Wiem, jak sobie z nim poradzić. Zaufaj mi.

I wyszedł.

Czekałem, aż mi powie, jak było na spotkaniu. Nie zadzwonił. Kiedy wreszcie nie wytrzymałem i zadzwoniłem do niego, elektroniczny głos poinformował mnie, że jego numer został odłączony. Po chwili namysłu doszedłem do wniosku, że musiał się przenieść do apartamentu w Malibu. Zadzwoniłem więc do Lindy, by mi podała jego nowy numer, ale ona powiedziała, że Ric chce go zachować w tajemnicy.

- Nawet przede mną?
- Zwłaszcza przed tobą. Pokłóciliście się czy co?
- Nie.

- Z tego, co mówił, tak wynikało. Skarżył się, że ciągle mówisz mu, co ma robić.

- Co za... - chciałem powiedzieć Lindzie prawdę: że to ja napisałem sprzedany przez nią scenariusz, nie Ric. Wtedy dotarło do mnie, że musiałyby o tym poinformować ludzi ze studia, a oni od razu zmieniliby podejście. Przecież taki zgred nie mógł napisać czegoś, co przemawia do młodego pokolenia. Przeczytaliby scenariusz jeszcze raz, z uprzedzeniami wywołanymi znajomością nazwiska prawdziwego autora. Kontrakt diabli by wzięli. Straciłbym największe honorarium, jakie kiedykolwiek mi obiecano.

Wymamrotałem więc, że porozmawiam z Rikiem i wszystko sobie wyjaśnimy. Potem odłożyłem słuchawkę i zakląłem.

Kiedy Ric nie odezwał się przez następny tydzień, stało się dla mnie oczywiste, że Linda już przekazała mu czek za poprawki *Wodzów*. Miał wystarczająco dużo czasu, by przysłać mi pieniądze. Innymi słowy, nie zamierzał zapłacić.

Byłem wściekły. Po pierwsze dlatego, że Ric mnie zdradził, po drugie dlatego, że nie lubię, jak ktoś robi ze mnie frajera, a po trzecie - bo jestem profesjonalistą. Zapłata za wykonaną pracę to dla mnie sprawa honoru. Ric złamał jedną z moich podstawowych reguł.

Nasza umowa została zerwana. Kiedy przeczytałem w „Daily Variety” i „Hollywood Reporter”, że Ballard jest zachwycony poprawkami do *Wodzów* i prognozuje, że scenariusz, który kupił od Rica, za rok będzie hitem, a Ric dostanie za niego Oscara - o mało nie dostałem apopleksji. Rica porównywano z Robertem Towne'em i Williamem Goldmanem, z tym że na jego korzyść przemawiał fakt, że był młody i świetnie rozumiał swoje pokolenie. Zapłacono mu pół miliona dolarów za poprawki do następnego scenariusza. Obiecał też, że wkrótce dostarczy nowy scenariusz, i sugerował, że jego agent zażąda niebotycznej sumy. „Jakość warta jest każdej ceny” - skomentował Ballard.

Rzygać mi się chciało.

Tak jak się spodziewałem, Ric w końcu przyszedł do mnie. Znów zadzwonił z samochodu zaparkowanego pod bramą. Trzy tygodnie później. Po zmroku. W końcu był nocnym markiem.

Początkowo okazywałem mu niechęć, ale potem udałem udobruchanego jego skomleniem i wpuściłem go do środka. Nawet przy stonowanym świetle w moim salonie widać było, że miał najbardziej idealną opaleniznę, jaką w życiu widziałem. Jego ubrania były jeszcze droższe i modniejsze. Nienawidziłem go.

- Nie przysłałeś mi pieniędzy za poprawki do *Wodzów*.

- Przepraszam - powiedział. - Między innymi dlatego tu jestem.

- Żeby mi zapłacić?

- Żeby wyjaśnić. Mój apartament w Malibu. Właściciele zażądali większej zaliczki. Nie mogłem z niego zrezygnować. Jest cudowny. Dlatego musiałem... cóż, wiedziałem, że zrozumiesz.

- Aleja nie rozumiem.

- Mort, posłuchaj. Obiecuję... jak tylko dostanę pieniądze za scenariusz, który sprzedaliśmy, zapłacę ci wszystko, co jestem winien.

- Zaczęło się od piętnastu procent honorarium, potem było pięćdziesiąt, a na końcu sto. Myślisz, że pracuję za darmo?

- Mort, wiem, co czujesz. Ale byłem w ciężkiej sytuacji.

- I nadal jesteś. Czytam, co o tobie piszą w prasie branżowej. Masz dostać pół miliona za poprawki do scenariusza, obiecujesz też, że napiszesz coś nowego. Jak sobie z tym wszystkim poradzisz?

- Próbowałem załatwić to na własną rękę. Dałem Ballardowi scenariusz, który pokazywałem ci na naszym pierwszym spotkaniu.

- Jezu, tylko nie to.

- Nie spodobał mu się.

- Co za niespodzianka.

- Żeby ratować skórę, musiałem mu powiedzieć, że tak tylko w tym dłubałem, ale wiem, że to wymaga jeszcze wiele pracy. Powiedziałem, że podzielam jego opinię. Od tej pory zamierzam pozostać przy tym, co się sprawdziło - przy takich scenariuszach jak ten, który mu sprzedałem.

Pokręciłem głową.

- Wychodzi na to, że miałeś rację - powiedział Ric. - Dobre pomysły wydają się oczywiste, jak już ktoś na nie wpadnie. Ale może ja nie nadaję się do ich wymyślania. Zachowywałem się jak ostatni palant.

- Trudno się nie zgodzić.

- No to jak? - Ric wyciągnął rękę. - Co było, to było, zapomnijmy o urazach. Zawaliłem sprawę, ale uczę się na błędach. Jestem gotów znów z tobą współpracować, jeśli tylko się zgodzisz.

Wbiłem wzrok w jego dłoń.

Nagle na czoło wystąpiły mu krople potu. Podniósł rękę i otarł je.

- Co się stało? - spytałem.

- Gorąco tu.

- A gdzie tam. Właśnie pomyślałem, że robi się chłodno.

- Jakoś duszno.

- To piwo, które ci dałem. Może za szybko je wypiełeś.

- Może.

- Wiesz, tak sobie myślałem... - powiedziałem.

W piwie, oczywiście, był środek odurzający. Kiedy minęły mdłości, zgodnie z przewidywaniami zaczęły się zawroty głowy. Narkotyk, o którego istnieniu dowiedziałem się przed wieloma laty, podczas pracy przy serialu kryminalnym, powodował, że ofiara stawała się podatna na sugestie. Wystarczyło dziesięć minut i Ric był gotów zrobić wszystko, co mu każe. Zgodnie z moimi instrukcjami zadzwonił do Lindy i bełkotliwie wyjaśnił jej, że jest zestresowany i zamierza wrócić do Meksyku. Powiedział, że ma dość otaczającego go zewsząd materializmu. Jego dusza potrzebuje wytchnienia. Może nie będzie go nawet pół roku.



Linda była w szoku. Z włączonego głośnika dobiegło jej pytanie, jak Ric zamierza się wywiązać z podpisanych umów. Powiedziała mu, że strasznie mamrocze, i oskarżyła go, że jest pijany, naćpany albo coś w tym stylu.

Podniosłem słuchawkę, wyłączyłem głośnik i wtrąciłem się do rozmowy. Powiedziałem Lindzie, że Ric dzwoni ode mnie i że pogodziliśmy się, a on otworzył przede mną swoje serce. Jest pijany, owszem, ale to, co powiedział jej, niczym się nie różniło od tego, co mówił mi na trzeźwo. Jeszcze dziś wyjeżdża do Meksyku i prawdopodobnie zostanie tam jakiś czas. Jak zamierza wywiązać się z umów? Żaden kłopot. To, że wyjeżdża do Meksyku odpocząć, nie znaczy, że nie będzie pisał. Uczciwa praca mu służy. To pokarm dla jego duszy.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Ric już prawie spał. Obudziłem go, kazałem podpisać przygotowany uprzednio dokument, a potem wyciągnąłem od niego adres apartamentu w Malibu. Wsadziłem go do wozu, pojechałem do jego mieszkania, spakowałem kilka jego walizek, włożyłem je do bagażnika i wyruszyłem do Meksyku.

Na miejsce dotarliśmy tuż po wschodzie słońca. Kiedy przekraczaliśmy granicę w Tijuanie, Ric był na tyle przytomny, że mógł odpowiedzieć na kilka pytań, nie budząc podejrzeń meksykańskiego strażnika. Potem znów go uspiłem.

Wiele godzin później zjechałem na pustynię, podałem mu śmiertelną dawkę narkotyku i wrzuciłem ciało do rozpadliny. Wróciłem do Tijuany. Zostawiłem walizki Rica - bez dokumentów - w jakimś zaułku, jego ferrari - też bez dokumentów - w innym zaułku, z kluczykiem w stacyjce, i pojechałem autobusem do Los Angeles. Byłem pewien, że nikt nie zgłosi odnalezienia bagaży ani samochodu. Nie wątpiłem też, że kiedy - o ile kiedykolwiek - ciało Rica zostanie znalezione, będzie w tak złym stanie, że meksykańska policja, dysponująca ograniczonymi środkami, nie zdoła go zidentyfikować. Ric powiedział mi kiedyś, że nie rozmawiał z rodzicami od pięciu lat, wiedziałem więc, że nie będą zdziwieni, iż się do nich nie odzywa. Co się tyczy jego przyjaciół, cóż, nie miał żadnych. Odtrącił ich, kiedy zaczął zbijać dużą forszę. Nie będzie im go brakowało.

Jak na starszego człowieka, jestem twardy. Jechałem całą noc i prawie cały dzień, a mimo to zachowałem sporo sił. Zdrzemnąłem się dopiero w autobusie. Nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek mógł się zdobyć na taki wysiłek. Ale teraz musiałem to zrobić. Ric nachodziłby mnie, kusił, wykorzystywał, a ja byłbym zbyt zdesperowany, żeby wyrzucić go za drzwi. Wiedziałem bowiem, że choćbym pisał doskonale, już nigdy nie sprzedałbym scenariusza pod własnym nazwiskiem.

Kiedy zaczynałem pracować w tej branży, pieniądze i ego nie miały dla mnie znaczenia. Najważniejsza była potrzeba pisania, opowiadania historii,

uczenia bawiąc, jak powiedział wielki poeta Horacy. Ale w miarę jak przybywało mi pieniędzy, stałem się od nich uzależniony. Pokochałem też towarzystwo wpływowych ludzi i swoją reputację twórcy piszącego świetnie i szybko. Ego. Właśnie z jego powodu znienawidziłem Rica. Bo producenci wychwalali go za scenariusze, które napisałem ja.

Ale teraz Ric odszedł. Jego agentka na własne uszy słyszała, jak mówił, że jedzie do Meksyku, a ja miałem dokument z jego podpisem, w którym stwierdzał, że będzie dostarczał scenariusze za moim pośrednictwem i że jako jego mentor mam go reprezentować na wszystkich spotkaniach. Uzyskałem też pełnomocnictwa do rozporządzania jego majątkiem podczas jego nieobecności.

Linda była zbита z tropu, ale poszła na ten układ. W końcu osobiście rozmawiała z Rikiem przez telefon. Ballard był jeszcze bardziej zaskoczony, ale zarazem zachwycił go scenariusz, który wyjąłem z szuflady i mu podesłałem - podpisany nazwiskiem Rica. Cóż, jeśli Ric chciał zgrywać ekscentryka, to proszę bardzo, pod warunkiem że będzie robił, co do niego należy, czyli pisał szybko i świetnie, jak do tej pory.

Osiągnąłem swój cel - mogę czerpać przyjemność ze sprzedaży moich tekstów. Jest jednak pewien problem. Ilekroć biorę się do poprawiania scenariuszy i piszę „poprawki autorstwa Erica Pottera”, łapię się na tym, że wyglądam przez okno i mam ochotę powygrzewać się na słońcu. Nie mogę też spać. Jak Ric, stałem się nocnym markiem.

Sprzedałem scenariusze, które przez lata zalegały w mojej szufladzie. Wystarczyło zmienić tytuły. Nikt nie pamiętał ich pierwotnych wersji. Ale z poprawkami jakoś mi nie szło, a teraz, gdy zabrakło starych tekstów, a ja muszę napisać coś nowego...

Pierwszy raz w życiu zapadłem na niemoc twórczą. Wystarczy, że pomyślę o stronie tytułowej z napisem „autorstwa Erica Pottera” - mam pustkę w głowie. To straszne. Przez całe życie, dzień w dzień, byłem scenarzystą. Przez trzydzieści pięć lat małżeństwa, oprócz ostatnich dwóch, kiedy Doris zachorowała, pisałem codziennie. Poświęciłem wszystko dla tego fachu. Nie miałem dzieci, bo uznałem, że przeszkadzałyby mi w pracy. Nic nie było ważniejsze od przelewania pomysłów na papier. A teraz siedzę przy biurku, wpatruję się w komputer i...

Włazł kotek na płotek...

Dłużej tego nie zniosę.

Muszę odpocząć.

Już był w ogródku, już witał się z...

Muszę zapomnieć o Ricu.

Ludzie dobrej woli, pomożecie?...

## Zmartwychwstanie

*Stosunki między ojcem i synem (metaforyczne lub rzeczywiste) to temat, który często podejmuję. Ponieważ mój ojciec zginął podczas II wojny światowej, dorastając, poszukiwałem pozytywnego męskiego wzorca. W końcu znalazłem trzy: Stirlinga Silliphanta (o którym już wspominałem), Philipa Younga (wielkiego ucznia Hemingwaya) i Philipa Klasa (który używał pseudonimu literackiego William Tenn i tworzył w okresie „złotego wieku” science fiction, w latach 50.). Zwłaszcza ten ostatni wywarł na mnie ogromny wpływ - pisałem o tym obszernie w Czarnym wieczorze i Lessons from a Lifetime of Writing. Tym dziwniejsze może się wydać, że choć uprawiałem wiele gatunków literackich, nigdy nie próbowałem science fiction - specjalności Philipa Klasa. Dopiero gdy pisarz i wydawca Al Sarrantonio poprosił mnie o napisanie opowiadania do przygotowywanej przez niego antologii utworów fantastycznonaukowych, Redshift (2001), zmierzyłem się z tą konwencją. Postanowiłem przenieść stosunki rodzic-dziecko z poziomu zwykłej algebry na poziom fizyki kwantowej, badając je w najbardziej kompleksowy sposób, jaki potrafiłem sobie wyobrazić. Częściowo dlatego, że po śmierci mojego syna przestałem się identyfikować z synami poszukującymi ojców; stałem się raczej ojcem poszukującym syna. Moje opowiadanie, które znalazło się w Year's Best SF 7 (Siedem najlepszych opowiadań science fiction roku), łączy oba podejścia do tematu i nawet uwzględnia trzecie. Trzytomowy zbiór utworów Philipa Klasa/William Tenna - beletrystycznych i publicystycznych - wydała niedawno NESFA Press ([www.nesfapress.com](http://www.nesfapress.com)).*

**A**nthony miał dziewięć lat, kiedy matka powiedziała mu, że jego ojciec jest ciężko chory. Anthony miał beztroskie dzieciństwo i kochających

rodziców, którzy robili wszystko, by oszczędzić synkowi choćby najdrobniejszych zmartwień. Ale teraz nawet on zauważył, że dzieje się coś złego. Ojciec był coraz bledszy, chudł w oczach i oddychał z wysiłkiem.

- Co mu jest? - Anthony podniósł wzrok na matkę. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej przygnębionej.

Wyjaśniła mu, że chodzi o krwinki.

- To nie białaczka. Niestety, bo w dzisiejszych czasach prawie zawsze jest uleczalna. Ale lekarze jeszcze nie zetknęli się z takim przypadkiem jak u taty. Choroba postępuje tak szybko, że nie pomoże mu nawet przeszczep szpiku kostnego. Lekarze podejrzewają, że to ma coś wspólnego z promieniowaniem, na które był narażony w laboratorium po wypadku.

Anthony skinął głową. Rodzice wyjaśnili mu kiedyś, że ojciec jest „inżynierem konserwatorem”. Jakiś czas temu dostał w środku nocy pilne wezwanie telefoniczne do laboratorium.

- Ale lekarze...

- Próbuja wszystkiego, co tylko przychodzi im do głowy. Dlatego tata musi na jakiś czas iść do szpitala.

- A mogę go zobaczyć?

- Jutro. - Matka miała zmęczony głos. - Oboje zobaczymy go jutro.

Kiedy przyszedli do szpitala, ojciec był taki słaby, że nie poznał Anthony'ego. Miał rurki w rękach, ustach i nosie, ziemistą cerę i twarz wychudzoną jeszcze bardziej niż trzy dni wcześniej, kiedy Anthony ostatnio go widział. Gdyby nie kochał ojca tak bardzo, przestraszyłby się. Teraz chciał tylko siedzieć przy nim i trzymać go za rękę. Ale po zaledwie pięciu minutach lekarze powiedzieli, że czas już wyjść.

Gdy następnego dnia Anthony przyszedł z matką do szpitala, ojca nie było w sali. Lekarze wyjaśnili, że ma zabieg. Wzięli matkę na bok, żeby z nią porozmawiać. Kiedy wróciła do Anthony'ego, miała minę poważniejszą niż lekarze. Powiedziała, że zrobiono już wszystko, co można.

- Bez skutku- dodała napiętym głosem. - W tym stanie... - ledwo mogła mówić. - Za parę dni...

- Lekarze nie mogą już nic zrobić? - zapytał Anthony ze strachem.

- Teraz nie. Może już nigdy. Ale nie traćmy nadziei. Może uda się zyskać trochę czasu.

Anthony nie miał zielonego pojęcia, co to znaczy. Nie był nawet pewien, czy zrozumiał późniejsze wyjaśnienia matki, że chodzi o jakąś „kriogenikę” i zamrażanie chorych do czasu znalezienia lekarstwa. Potem odmraża się ich i poddaje nowej terapii. Matka tłumaczyła mu, że prymitywnego sposobu zamrażania próbowano już pięćdziesiąt lat temu, pod koniec XX

wieku. Nie udawało się, bo metoda była zbyt powolna i aparatura często zawodziła. Ale z czasem udoskonalono tę technikę i choć środowisko lekarskie nie próbuje jej, to również nie odrzuca. Anthony miał zamęt w głowie.

- Więc dlaczego wszyscy tego nie robią?

- Bo... - matka wzięła głęboki oddech - bo niektórzy rozmrożeni ludzie już nigdy się nie budzą.

Anthony miał wrażenie, że matka mówi mu więcej, niż powiedziałyby kiedy indziej, że traktuje go jak dorosłego. Chciał okazać się godnym jej zaufania.

- A innym, którzy się budzą, nowa terapia nie pomaga - dodała niechętnie.

- Nie można ich znów zamrozić? - spytał.

- Nikomu nie udaje się przeżyć drugiego zamrożenia. Ma się tylko jedną szansę, więc jeśli terapia nie pomaga... - matka wbiła wzrok w podłogę. - To metoda eksperymentalna i tak ryzykowna, że firmy ubezpieczeniowe nie chcą za nią płacić. Bierzemy ją pod uwagę tylko dlatego, że laboratorium zgodziło się pokryć koszty, a lekarze szukają sposobu wyleczenia taty. I jeśli mamy spróbować, to teraz. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Powinniśmy to zrobić?

- Żeby uratować tatę? Musimy.

- To będzie tak, jakby odszedł.

- Jakby umarł?

Matka wolno skinęła głową.

- Ale naprawdę nie umrze?

- Nie. Choć możemy go już nigdy nie zobaczyć żywego. Mogą nie znaleźć lekarstwa. Mogą go nie dobudzić.

Dopiero dużo później Anthony zrozumiał inne sprawy, które musiała rozważyć matka. W najgorszym wypadku, gdyby ojciec zmarł, przynajmniej jego polisa na życie zapewniłaby im obojgu utrzymanie. Gdyby matka kiedykolwiek zakochała się w kimś innym - co Anthony uważał za nieprawdopodobne - mogłaby powtórnie wyjść za mąż. Ale gdyby ojca zamrożono i w efekcie byłby dla nich jak martwy, potrzebowaliby pieniędzy. I jeśli matka zechce ponownie wyjść za mąż, będzie musiała wziąć rozwód z mężczyzną, który w rok po jej ślubie mógłby zostać obudzony i wyleczony.

- Nie mamy innego wyjścia - orzekł Anthony.

- To prawda. - Matka wyprostowała się i otarła oczy. - Tylko to możemy zrobić.

Anthony spodziewał się, że to nastąpi jutro lub pojutrze. Ale matka nie przesadzała, mówiąc, że jeśli mają spróbować, to teraz. Pojechali z nieprzytomnym ojcem karetką. W budynku bez okien szli obok wózka, gdy ojca wieziono łagodnie oświetlonym korytarzem do pomieszczenia, w którym czekali lekarze. Lśniły narzędzia chirurgiczne i szumiała aparatura medyczna. Mężczyzna w garniturze wyjaśnił, że dla bezpieczeństwa całego procesu Anthony i jego matka muszą wyjść z sali na czas przygotowań ojca do zamrożenia. Potem będą mogli mu towarzyszyć w drodze do komory kriogenicznej.

Tego też Anthony się nie spodziewał. W przeciwieństwie do sali przygotowawczej pełnej szumiącej aparatury, komora była tylko jedną z wielu nisz umieszczonych w ścianach po obu stronach długiego korytarza. Miała metalowe drzwi ze wskaźnikiem ciśnienia. Anthony patrzył, jak obsługa wkłada wychudzone, nagie ciało jego ojca do szuflady i wsuwa do komory. Plecy ojca w rzeczywistości nie dotykały dna szuflady. Jak wyjaśnił mężczyzna w garniturze, pole siłowe utrzymywało ciało w powietrzu. Inaczej plecy przymarzłyby do dna szuflady i przy rozmrażaniu wdałaby się infekcja. Z tej samej przyczyny ojciec nie mógł być niczym przykryty. Ale Anthony martwił się, że ojcu będzie zimno, i bardzo chciał, żeby dali mu coś ciepłego.

Mężczyzna w garniturze i jego towarzysze o wyglądzie lekarzy odsunęli się, gdy przybył człowiek w czarnym ubraniu, ale z białym kołnierzykiem. Na szyi miał purpurową szarfę. Otworzył książkę i przeczytał:

- „Jam jest drogą, prawdą i życiem”. - Trochę później dodał: - „Jam jest zmartwychwstaniem”.

Ojca Anthony'ego wsunięto w głąb niszy i zamknięto drzwi. Coś zasyczało.

- Załatwione - oznajmił mężczyzna w garniturze.
- Tak szybko? - zdziwiła się matka Anthony'ego.
- Jeśli ma się udać, trzeba to robić błyskawicznie.
- Oby Bóg pozwolił mu ozdrowieć - powiedział człowiek w białym kołnierzyku.

Lata temu ojciec Anthony'ego stracił rodziców w pożarze. Rodzice matki Anthony'ego jeszcze żyli, ale nie byli zamożni. Mogli zaoferować córce i wnukowi tylko część swojego mieszkania. Przez pewien czas matka Anthony'ego odrzucała ich propozycję. W końcu nie była bezrobotna, pracowała jako asystentka administracyjna w tym samym laboratorium co mąż. Ale nie zarabiała tyle, żeby bez jego pensji nadal móc spłacać dług hipoteczny. Dom był zresztą za duży dla niej i Anthony'ego. Po pół

roku musieli go sprzedać i przeprowadzili się do mniejszego i tańszego. Praca w laboratorium wywoływała u matki zbyt wiele bolesnych wspomnień o mężu. Winiła firmę za to, co go spotkało. Rozgoryczenie narastało, aż w końcu odeszła z laboratorium. Znalazła gorzej płatną pracę sekretarki w firmie handlu nieruchomościami. Przekonała życzliwego brokera, żeby sprzedał ich dom bez pobierania od niej prowizji, i przeniosła się z synem do swoich rodziców.

Ona i Anthony spędzali razem cały wolny czas. Przebywali ze sobą więcej niż przed chorobą ojca. Anthony miał mnóstwo okazji, żeby się dowiedzieć, co matka czuje i dlaczego podjęła tamtą decyzję. Ale najczęściej mówiła mu o sobie podczas ich wspólnych wizyt u ojca. Kiedyś poskarżyła się, że korytarz z niszami przypomina jej mauzoleum. Anthony nie rozumiał tej uwagi. Wyjaśniła mu ją, ale tak mgliście, że nadal nic nie pojmował. Dopiero kilka lat później dowiedział się, o czym wtedy mówiła.

Osoby w komorach kriogenicznych można było odwiedzać codziennie między ósmą rano i szóstą wieczorem, o ile w którejś niszy nie umieszczano akurat nowego pacjenta. Początkowo Anthony i jego matka chodzili tam każdego popołudnia. Potem co drugi dzień, później co trzeci. W końcu, po roku, składali ojcu wizyty tylko raz na tydzień. Czasami w korytarzu spotykali innych odwiedzających, samotne osoby lub niepełne rodziny. Ludzie patrzyli smutno na nisze, niekiedy zostawiali jakieś drobiazgi na wąskich stołach na środku korytarza: kartki, zdjęcia, zasuszone liście, świeczki w kształcie dyń lub inne przedmioty. Na hermetycznych drzwiach nisz nie było nazwisk pacjentów, więc odwiedzający przyklejali na nich nalepki z informacjami, kto leży wewnątrz, kiedy się urodził, kiedy zachorował i na co oraz kiedy został zamrożony. Często umieszczali też fragment modlitwy lub proste, wzruszające zdanie: „Kochamy Cię. Do zobaczenia wkrótce”. Większość nalepek zawierała takie same informacje podane w takiej samej kolejności, zgodnie z ustaloną przez lata tradycją.

Rzeczywiście przez lata. Z napisów na nalepkach wynikało, że niektórzy ludzie w niszach są zamrożeni od dwudziestu pięciu lat. Takie informacje napawały Anthony'ego strachem, że ojciec może się już nigdy nie obudzić. Zwłaszcza że po każdym powrocie matki od lekarzy okazywało się, że nie ma jeszcze sposobu na wyleczenie jego choroby. W końcu matka zaczęła zabierać Anthony'ego na spotkania z lekarzami. Odbywały się coraz rzadziej - najpierw raz na dwa miesiące, potem raz na pół roku, wreszcie raz na rok. I za każdym razem słyszeli tę samą przynębiającą wiadomość.

W wieku piętnastu lat, gdy był w pierwszej klasie szkoły średniej, Anthony postanowił zostać lekarzem i znaleźć sposób na wyleczenie ojca. Niestety, rok później jego dziadek zmarł na atak serca. Skromna polisa ubezpieczeniowa wystarczała babci i matce na utrzymanie domu, ale nie na spełnienie marzeń Anthony'ego o studiach w akademii medycznej.

Matka zaczęła się spotykać z tamtym życzliwym brokerem z firmy handlu nieruchomościami. Anthony rozumiał, że nie może być wiecznie sama, że musi żyć dalej, że ojciec jest już tak długo w zamrożeniu, jakby umarł. Nie potrafił jednak ukryć przygnębienia, kiedy matka oświadczyła mu, że zamierza wyjść za brokera.

- A co z tatą? - zapytał. - Przecież nadal jesteś jego żoną.  
- Rozwiodę się z nim.  
- Nie!  
- Anthony, zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Nie udało się. Nie oszukamy czasu. Ojca nie można wyleczyć.

- Nie!  
- Nigdy nie przestanę go kochać, Anthony. Ale nie zdradzam go. Jest tak, jakby umarł, a ja muszę żyć dalej.

Po policzkach Anthony'ego spłynęły łzy.

- Ojciec chciałby, żebym to zrobiła - przekonywała matka. - Zrozumiałby to. Na moim miejscu postąpiłby tak samo.

- Zapytam go, kiedy się obudzi.

Kiedy Anthony skończył osiemnaście lat, uświadomił sobie, że ojciec jest zamrożony już od dzieciństwa, czyli połowę jego życia. Obawiał się, że gdyby nie zdjęcia, nie pamiętałby, jak ojciec wyglądał. Nie, nie jak wyglądał, poprawiał się w myślach. On nie umarł. Kiedy znajdą nową metodę kuracji, obudzą go i wyleczą. Będzie wyglądał tak samo jak przedtem.

Anthony koncentrował się na przypominaniu sobie głosu ojca. Jego łagodnego tonu, którym czytał mu bajki na dobranoc i uczył go jeździć na rowerze. Wspominał, jak ojciec pomagał mu odrabiać matematykę. Jak co roku przychodził do szkoły w Dniu Rodziców i opowiadał z dumą o swojej pracy w laboratorium. Pamiętał, jak spadł z drzewa i złamał sobie rękę, a ojciec zawiózł go do szpitala.

Poczuł się jeszcze bardziej przywiązany do ojca, gdy matka wyszła za brokera i przeprowadzili się do jego domu. Broker nie był już taki życzliwy jak wtedy, gdy zalecał się do matki Anthony'ego. Rządził. Tracił panowanie nad sobą, jeśli coś nie było zrobione dokładnie tak, jak chciał. Matka nie wyglądała na szczęśliwą. Anthony prawie nie rozmawiał



z mężczyzną, którego nie chciał uznać za swojego ojczyma. Znikał z domu na całe dni. Często kłamał, że grał w piłkę albo siedział w bibliotece. W rzeczywistości odwiedzał ojca. Broker zabraniał mu tego. Uważał to za nielojalność wobec nowej rodziny.

Zapowiedział również, że nie zamierza płacić fortuny za studia medyczne Anthony'ego. Chciał, żeby Anthony ukończył wyższą szkołę biznesu. Tylko to był gotów sfinansować. Więc Anthony uczył się pilnie, dostawał same szóstki i ubiegał się o wszelkie możliwe stypendia. W końcu przyjęto go na uniwersytet w sąsiednim stanie, gdzie był doskonały wydział medycyny. Anthony miał nadzieję dostać się tam po uzyskaniu bakalaureatu. Kiedy zdecydował się na wyjazd, nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo będzie mu brakowało wizyt u ojca. Z tego powodu omal nie zmienił planów. Ale w porę przypomniał sobie, że jego ojciec może wyzdrowieć tylko wówczas, jeśli on zostanie lekarzem i sam znajdzie odpowiednią terapię. Więc pożegnał się z matką i powiedział brokerowi, że ma go gdzieś.

Po półrocznym pobyciu w college'u dostał od matki wiadomość, że laboratorium uznało przypadek jego ojca za beznadziejny. Po niedawnych zgonach rozmrożonych pacjentów zważono w skuteczność komór kriogenicznych. Laboratorium nie chciało dłużej płacić za trzymanie ojca w zamrożeniu. Mąż matki też odmówił wnoszenia comiesięcznych opłat. Nie poczuwał się do takiego obowiązku. Uważał to za bezsensowne, bo podejrzewał, że ojciec Anthony'ego z powodu zamrożenia już nie żyje.

Nie przerywając nauki, Anthony zatrudnił się w restauracji jako kelner; czasem pracował na dwie zmiany i udawało mu się zarobić na opłaty. Ale na drugim roku studiów dowiedział się, że firma kriogeniczna zbankrutowała, bo zbyt wiele osób przestało płacić za korzystanie z niepewnych komór. Umowa, którą podpisała matka Anthony'ego, zabezpieczała firmę przed roszczeniami w sytuacjach, kiedy nie będzie możliwe dalsze trzymanie klientów w zamrożeniu. Jedną z takich sytuacji było bankructwo.

Mniejsze firmy zgodziły się przyjąć pacjentów zbankrutowanego konkurenta, ale transport okazał się taki skomplikowany, a tym samym kosztowny, że Anthony musiał zrezygnować z chodzenia na wykłady i podjąć pracę w restauracji na pełnym etacie, żeby móc opłacić całą operację. Na uczelni poznał dziewczynę. Widywała się z nim nadal, chociaż miał dla niej mało czasu i tylko w niewygodnych godzinach. Nie mógł uwierzyć, że wreszcie spotkało go w życiu coś dobrego. Załatwił sprawę przeniesienia ojca, zaczął znów chodzić na wykłady, ukończył drugi, a potem trzeci rok studiów i zaproponował swojej dziewczynie małżeństwo.

- Nie mam wiele do zaoferowania, ale...
- Jesteś najbardziej szlachetnym, stanowczym i pracowitym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Byłabym dumna, gdybym została twoją żoną.
- Na starcie nie będziemy mieli zbyt dużo pieniędzy, bo muszę płacić za opiekę nad moim ojcem, ale...
- Będziemy żyli z tego, co ja zarobię. Kiedy zostaniesz lekarzem, ty zadbasz o mnie. Wystarczy aż nadto dla nas, naszych dzieci i twojego ojca.
- Ile dzieci chciałabyś mieć?
- Troje. Anthony roześmiał się.
- Jesteś bardzo zdecydowana w tej kwestii.
- Lubię, jak się śmiejesz.
- Dzięki tobie.
- Może zanim zostaniesz lekarzem, wymyślą terapię dla twojego ojca i już nie będziesz musiał martwić się o niego.
- Przyjemna myśl, prawda?

Matka Anthony'ego zginęła w wypadku samochodowym, gdy był na pierwszym roku studiów medycznych. Jej drugie małżeństwo było takie nieudane, że zaczęła ostro pić. Po pijanemu zjechała z szosy i wpadła do rowu. Na pogrzebie broker ledwo przyznawał się do Anthony'ego i jego narzeczonej. Tej nocy Anthony płakał w jej ramionach, wspominając, jak szczęśliwa była kiedyś jego rodzina i jak bardzo wszystko się zmieniło, gdy ojciec zachorował.

Zabrał narzeczoną do firmy, która teraz opiekowała się ojcem. Od czasu transferu mógł sobie pozwolić tylko na sporadyczne przyjazdy do rodzinnego miasta, żeby go odwiedzić. Nowa firma nie wzbudzała takiego zaufania jak poprzednia. Jej siedziba wyglądała na zaniedbaną. Podłogi niby nie były brudne, ale czyste też nie. Ze ścian nie odłaziła jeszcze farba, ale wymagały już odmalowania. Pomieszczenia były zbyt słabo oświetlone. Komory kriogeniczne sprawiały kiepskie wrażenie. Prymitywne wskaźniki temperatury nie mogły się równać z nowoczesną aparaturą w poprzedniej firmie. Ale dopóki ojciec był bezpieczny...

Anthony przestał tak uważać, gdy ponownie spojrzął na wskaźnik i zobaczył, że temperatura w komorze jego ojca wzrosła o jeden stopień od chwili, kiedy ostatnio ją sprawdzał.

- Coś nie tak? - zapytała jego narzeczone.

Słowa uwięzły mu w gardle. Zdołał tylko wykonać wskazujący gest.

Temperatura znów skoczyła o stopień.

Popędził korytarzami, żeby znaleźć kogoś z obsługi. Wpadł do biura, ale zastał tylko sekretarkę.

- Mój ojciec...

Wyjaśnił, o co chodzi. Zaskoczona sekretarka zareagowała dopiero po chwili. Zadzwoiła do pomieszczenia kontrolnego. Nikt się nie zgłosił.

- Już prawie południe. Widocznie technicy poszli na lunch.

- Na litość boską... Gdzie jest to pomieszczenie kontrolne?

Było na końcu korytarza, w którym leżał jego ojciec. Kiedy Anthony przebiegał obok niszy, dostrzegł, że temperatura wzrosła już o piętnaście stopni. Wtargnął do pomieszczenia kontrolnego, zobaczył czerwone pulsujące lampki na panelu i rzucił się do nich, żeby sprawdzić, co jest nie tak. Na ośmiu wskaźnikach rosła temperatura. Anthony był pewien, że jeden z nich jest połączony z komorą jego ojca.

Przestawił przełączniki nad wskaźnikami w nadziei, że to coś da.

Pulsujące lampki nie zgasły.

Przestawił ostatni przełącznik w rzędzie.

Nic się nie zmieniło.

Pociągnął dźwignię. Wszystkie lampki na panelu zgasły.

- Jezu.

Pchnął dźwignię z powrotem do poprzedniej pozycji i wstrzymał oddech. Wypuścił powietrze z płuc, dopiero gdy wszystkie lampki znów rozbłysły. Te, które przedtem pulsowały, teraz świeciły się stale.

Opadł spocony na krzesło. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Odwrócił się. W otwartych drzwiach stały jego narzeczona i sekretarka. Patrzyły na niego z przerażeniem. Spojrzał z powrotem na panel. Temperatura na wskaźnikach stopniowo opadała do poprzedniego poziomu. Przestraszył się, że lampki znów zaczną pulsować. Obserwował je przez godzinę, dopóki nie wrócił z lunchu znudzony technik.

Okazało się, że niesprawny zawór zamknął dopływ środka chłodzącego do ośmiu nisz. Kiedy Anthony wyłączył i włączył zasilanie, zawór sam się odblokował, choć w każdej chwili znów mógł się zaciąć. Technik wyjaśnił, że trzeba go wymienić.

- Więc niech pan to zrobi!

Anthony już nigdy nie czuł się spokojny w oddaleniu od ojca. Wrócił do akademii medycznej zdenerwowany. Codziennie kontaktował się z firmą kriogeniczną i pytał, czy nie ma jakichś problemów. Ożenił się, został ojcem ślicznej córeczki, uzyskał dyplom i miał szczęście odbywać staż szpitalny w swoim rodzinnym mieście, gdzie mógł czuwać nad bezpieczeństwem

ojca. Szkoda, że ojciec nie mógł zobaczyć, jak odbierałem dyplom, myślał. Szkoda, że nie widział przyjazdu swojej wnuczki ze szpitala do domu...

Pewnej nocy, kiedy Anthony miał dyżur na oddziale nagłych przypadków, pacjent w śpiączce okazał się brokerem, który poślubił jego matkę. Strzelił sobie w głowę. Anthony robił, co mógł, żeby go uratować. W końcu jednak ze ściśniętym gardłem stwierdził zgon.

Po zakończeniu stażu rozpoczął praktykę lekarską w rodzinnym mieście. Zarabiał wystarczająco dużo, by spełnić swoją obietnicę i zadbać o żonę, która przez tyle lat dbała o niego. Powiedziała, że chciałaby mieć troje dzieci, i jej życzenie spełniło się szybciej, niż się spodziewała, bo po córce urodziła bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. Niestety praca nie pozwalała Anthony'emu spędzać z rodziną tyle czasu, ile by chciał, specjalizował się bowiem w leczeniu chorób krwi i kiedy nie zajmował się pacjentami, prowadził badania naukowe w poszukiwaniu terapii dla ojca.

Musiał się dowiedzieć, jakie eksperymenty przeprowadzano w laboratorium i na jaki rodzaj promieniowania mógł być narażony ojciec. Ale w laboratorium wszyscy mieli obsesję na punkcie bezpieczeństwa i nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Walczył o zdobycie nakazu sądowego zmuszającego laboratorium do współpracy. Sędziowie uporczywie odmawiali. W międzyczasie uświadamiał sobie ze smutkiem, jak wiele uroczystości rodzinnych odbywa się bez jego ojca: pierwszy dzień szkoły jego starszej córki, początek nauki pływania bliźniaków, pierwszy recital fortepianowy jego młodszej córki. Zanim się obejrzał, miał trzydzieści pięć lat. Potem czterdzieści. Jego dzieci były już w szkole średniej. Żona zaczęła studiować prawo. On nadal prowadził badania.

Kiedy skończył pięćdziesiąt pięć lat, a jego starsza córka trzydzieści (była już mężatką i miała własną córkę), przypadkiem otrzymał potrzebną mu informację. Znalazła się pomyłkowo w zbiorze starych danych, które laboratorium uważało za nieszkodliwe. Nie natrafił na nią Anthony, lecz jego kolega. Przeglądał stare dane na własne potrzeby i odkrył, na jakie promieniowanie był narażony ojciec Anthony'ego. Dzięki jego obliczeniom Anthony opracował terapię. Przetestował ją na modelu komputerowym i naświetlił szczury tym samym rodzajem promieniowania. Miały identyczne objawy chorobowe jak jego ojciec. Anthony poddał zwierzęta terapii i poczuł, jak skacze mu tętno, gdy objawy zniknęły.

Anthony stał wraz z żoną przed komorą kriogeniczną ojca. Trwały przygotowania do jego rozmrożenia. Anthony obawiał się, że technicy popełnią jakiś błąd i ojciec już się nie obudzi.

Poczuł, jak napinają mu się mięśnie, kiedy coś zasyczało, drzwi się otworzyły i wysunęła się szuflada.

Ojciec wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Anthony widział go ostatni raz. Był nagi, wychudzony, poszarzały i unosił się w powietrzu nad polem siłowym.

- Tak szybko go odmroziliście? - zdziwił się Anthony.
- Jeśli ma się udać, trzeba to robić błyskawicznie.

Pierś ojca poruszała się w górę i w dół.

- Mój Boże, on żyje - powiedział Anthony. - On naprawdę...

Ale nie było czasu na podziw. Śmiertelna choroba mogła zabić ojca lada chwila. Anthony pospieszenie wstrzyknął mu lek.

- Musimy go zabrać do szpitala.

Siedział w sali ojca, monitorował jego stan i robił mu zastrzyki o dokładnie wyznaczonych porach. Ku jego zdumieniu stan ojca poprawił się niemal od razu. Zdrowszy kolor skóry świadczył o tym, co potwierdzały testy krwi - choroba ustępowała.

Nie żeby ojciec o tym wiedział. Rozmrożony pacjent budził się kilka dni. Anthony wypatrywał ruchu palca, drgnięcia powieki, jakiejś oznaki, że ojciec odzyskuje przytomność. Po trzech dniach zaniepokoił się na tyle, że zaordynował ponowną scyntyografię mózgu. Ale kiedy ojca umieszczano w aparacie, wszystkich powstrzymał pomruk.

- Gdzie ja jestem? - zapytał ojciec.
- W szpitalu - odrzekł Anthony. - Wszystko będzie dobrze.

Ojciec wyteżył wzrok i przyjrzał mu się.

- Kim...

- Twoim synem.

- Nie... Mój syn... to jeszcze dziecko. -Przerażony ojciec stracił przytomność.

Taka reakcja nie była zaskoczeniem. Ale Anthony musiał się uporać z własnymi innymi reakcjami. Ojciec nie widział, jak Anthony się starzeje, i dlatego go nie poznał. Ale sam wcale się nie zestarzał i wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętał go Anthony. Jedyne problemy polegały na tym, że wspomnienia Anthony'ego pochodziły z czasów, gdy miał dziewięć lat. Teraz, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, patrzył na swojego trzydziestodwuletniego ojca, który był niewiele starszy od jego syna.

- Marian nie żyje?! Anthony niechętnie przytaknął.
- Zginęła w wypadku samochodowym.

- Kiedy?
  - Dwadzieścia dwa lata temu.
  - Nie!
  - Niestety to prawda.
  - Byłem zamrożony przez czterdzieści sześć lat?! Nikt mnie nie uprzedził, co ma się stać.
  - Nie mogliśmy. Byłeś nieprzytomny. Bliski śmierci. Ojciec zaszlochał.
  
  - Co z naszym domem?
  - Dawno sprzedany.
  - A moi przyjaciele?
- Anthony odwrócił wzrok.  
Ojciec zaczął drżeć i ukrył twarz w dłoniach.
- To dla mnie gorsze niż śmierć.
  - Nie - odrzekł Anthony. - Słyszałeś, co powiedział psychiatra. Depresja to normalny stan przy takich powrotach. Będziesz musiał nauczyć się żyć jeszcze raz.
  - I chodzić - zauważył cierpko ojciec.
  - Nie masz zaniku mięśni. Dla twojego ciała czas się zatrzymał, kiedy zostałeś zamrożony.
  - A dla mojego umysłu? Mam się uczyć żyć jeszcze raz? Nikogo nie powinno się do tego zmuszać.
  - Chcesz powiedzieć, że mama i ja powinniśmy byli pozwolić ci umrzeć? Nasze życie wyglądałoby tak samo. Mama zginęłaby bez względu na to, czy byłbyś zamrożony, czy martwy. Nic by się nie zmieniło, tylko ciebie nie byłoby teraz tutaj.
  - Bez twojej matki...
- Anthony czekał.
- Bez mojego syna...
  - Ja jestem twoim synem.
  - Mój syn dwa tygodnie temu skończył dziewięć lat. Dałem mu na urodziny nową grę komputerową. Mieliśmy w nią zagrać razem. Już nigdy nie zobaczę, jak dorasta.
  - Jak ja dorastałem. Ale teraz jestem tutaj. Możemy nadrobić stracony czas.
  - Stracony czas - powtórzył gorzko ojciec.
  
  - Tato - Anthony po raz ostatni użył tego słowa - to twój wnuk Paul. A to twoje wnuczki Sally i Jane. A to syn Jane, Peter. Twój prawnuk.

Z bólem serca obserwował reakcję ojca, kiedy przedstawiał mu wnuki, które były prawie w tym samym wieku co dziadek.

- Czterdzieści sześć lat? Wszystko zmieniło się w ciągu sekundy - rzekł ojciec. - Kręci mi się od tego w głowie...

- Będę cię uczył - zapewnił Anthony. - Zacznę od podstaw i wyjaśnię, co zaszło od czasu, gdy zostałeś zamrożony. Doprowadzę cię do chwili obecnej. Zobacz, tu są wirtualne nagrania wideo...

- Jakie wirtualne nagrania wideo?

- Pokazują, co się zdarzyło od tamtej pory do dziś. Będziemy je po kolei oglądali z moimi komentarzami, aż dojdziemy do teraźniejszości.

Ojciec wskazał obrazy wideo sprzed czterdziestu sześciu lat. Były zaskakujące, wyglądały jak żywe.

- To jest teraźniejszość.

- Masz jakieś życzenie?

- Chciałbym odwiedzić Marian.

Anthony zawiózł ojca do mauzoleum. Ojciec długo stał przed niszą, w której była urna z prochami jego żony.

- W jednym momencie żyła, w następnym... - łzy napłynęły mu do oczu. - Zabierz mnie do domu.

Ale kiedy Anthony skręcił w stronę północnej części miasta, ojciec położył mu na ramieniu drżącą dłoń.

- Nie. Jedziesz w złym kierunku.

- Mieszkamy w...

- Chcę do domu.

Anthony zrozumiał i zawiózł go do starej dzielnicy. Ojciec popatrzył na zrujnowany dom, który kiedyś utrzymywał w idealnym stanie. Podwórze zarosły chwasty. Szyby w oknach były powybijane. W schodach gan-ku brakowało stopni.

- Kiedyś był tu trawnik - powiedział ojciec. - Tak ciężko pracowałem przy jego pielęgnacji...

- Pamiętam - przytaknął Anthony.

- Uczyłem na nim syna robić salta.

- Uczyłeś mnie.

- Wszystko przepadło w jednej chwili - powiedział ojciec z żalem.

Anthony podniósł wzrok znad porannej kawy. W progu kuchni stał ojciec. Nie rozmawiali ze sobą przez dwa dni.

- Chcę ci powiedzieć - zaczął ojciec - że doskonale zdaję sobie sprawę, co dla mnie zrobiłeś. Mogę sobie tylko wyobrazić twój wysiłek, ból

i poświęcenie. Przepraszam, jeśli jestem... Mam zamęt w głowie. Chcę ci podziękować.

Anthony zdobył się na uśmiech, porównując młody wygląd ojca ze swoją pomarszczoną i zmęczoną twarzą, którą tego ranka widział w lustrze.

- Ja też przepraszam. Za to, że masz taki trudny powrót do życia. Mama i ja myśleliśmy tylko o tym, jaki jesteś chory. Byliśmy gotowi zrobić wszystko, żeby ci pomóc.

- Twoja matka... - Ojciec musiał zrobić krótką przerwę, zanim mógł mówić dalej. - Smutek nie trwa tylko kilka dni.

Anthony skinął głową. Teraz on potrzebował chwili, żeby wydobyć z siebie głos.

- Miałem dużo czasu na to, żeby Się przyzwycząić do śmierci mamy, ale nadal za nią tęsknię. Będziesz mnie długo doganiał i nie będzie to łatwe.

- Ja...

- Tak?

- Nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

- Najpierw może ja zrobię ci śniadanie. - Żona Anthony'ego broniła w sądzie klienta. - Jesteśmy sami. Co powiesz na naleśniki? W tamtej szafce jest syrop. Napijesz się soku pomarańczowego?

Na początek ojciec nauczył się prowadzić nowe typy pojazdów. Anthony uznał to za oznakę poprawy jego zdrowia psychicznego. Ale potem odkrył, że ojciec nie wykorzystuje środka transportu do poznawania nowego świata wokół siebie, lecz do wizyt w mauzoleum z prochami Marian i wycieczek do swojego dawnego, niegdyś wspaniałego domu. Nie mieszkał tam od czterdziestu sześciu lat, ale miał uczucie, że wyprowadził się stamtąd zaledwie wczoraj. Anthony robił podobnie, kiedy okłamywał drugiego męża matki, że przesiaduje w bibliotece, gdy w rzeczywistości odwiedzał zamrożonego ojca. Niepokoilo go to.

- Przed domem jest tablica Do SPRZEDANIA - oznajmił ojciec pewnego wieczoru przy kolacji. - Chcę go kupić.

- Ale... - Anthony odłożył widelec. - To przecież ruina.

- Wyremontuję go.

Anthony czuł się, jakby dyskutował nie z ojcem, lecz z którymś ze swoich dzieci, kiedy zamierzały zrobić coś, czemu był przeciwny.

- Nie mogę tu zostać - ciągnął ojciec. - Nie mogę mieszkać u ciebie do końca życia.

- Dlaczego? Jesteś tu mile widziany.



- Ojciec i dorosły syn pod jednym dachem? Będziemy wchodzić sobie w drogę.

- Do tej pory nie było takiego problemu.
- Chcę kupić ten dom.

Anthony nadal miał wrażenie, że rozmawia z synem, i jak zwykle ustąpił.

- W porządku, niech będzie. Pomogę ci wziąć kredyt. Wpłacę zadatek. Ale jeśli weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność, będziesz musiał pracować.

- Chcę z tobą porozmawiać o jeszcze jednej sprawie.

Ojciec wykorzystał swoje umiejętności konserwatorskie i został cenionym przedsiębiorcą budowlanym. Specjalizował się w przywracaniu starym, stylowym domom dawnej świetności. Konkurenci próbowali mu dorównać, ale miał nad nimi przewagę: znał te domy na wylot. Pomagał je stawiać, kiedy jako nastolatek pracował podczas wakacji letnich na budowach. I wiedział, jak dbać o swój, gdy prawie pół wieku temu takie domy były jeszcze nowe. Co ważniejsze, uwielbiał je.

Zwłaszcza jeden - ten, w którym założył rodzinę. Kiedy tylko skończył renowację, znalazł meble z tamtego okresu. Gdy Anthony wybrał się do ojca z wizytą, był zdumiony tym, jak bardzo dom przypomina mu to, co pamiętał z dzieciństwa. Ojciec postarał się, by wydano mu urnę z prochami Marian. Stała teraz na półce w gabinecie sąsiadującym z salonem. Obok było zdjęcie Anthony'ego z matką zrobione tamtego roku, kiedy ojciec zachorował.

Ojciec zdobył też sprzęt audio z tamtych czasów. Słuchał tylko ówczesnych przebojów. Znalazł nawet jakiś stary komputer i taką samą grę, jaką dał Anthony'emu w prezencie na dziewiąte urodziny. Uczył teraz swojego prawnuka, jak w nią grać. Wcześniej nauczył go robić salta na trawniku.

Anthony skończył sześćdziesiąt lat. Miał już za sobą gorączkowy okres starań o uratowanie ojca. Ograniczył godziny pracy. Zajmował się ogrodem i z pomocą ojca stawiał cieplarnię.

- Muszę cię o coś poprosić - powiedział ojciec pewnego popołudnia, kiedy budowa była na ukończeniu.

- To brzmi strasznie poważnie.

Ojciec spuścił wzrok na swoje spracowane ręce.

- Chcę cię poprosić o pozwolenie na pewną sprawę.

Anthony zmarszczył brwi.

- O pozwolenie?

- Tak. Ja... Minęło już pięć lat. Ja... Powiedziałeś mi wtedy, że muszę się nauczyć żyć jeszcze raz.

- Dobrze ci to idzie - odrzekł Anthony.

Ojciec wydawał się zakłopotany.

- Walczę z tym od dawna.

- Coś jest nie tak?

- Nie wiem, jak to...

- Wykrztuś wreszcie, o co ci chodzi.

- Kochałem twoją matkę całym sercem.

Anthony ze smutkiem skinął głową.

- Myślałem, że umrę bez niej - ciągnął ojciec. - Pięć lat. Nie spodziewałem się... Poznałem kogoś. Siostrę faceta, któremu remontuję dom. Przedstawił nas sobie i... No, więc... Chciałem cię zapytać, czy miałbyś coś przeciwko temu, czy uważałbyś to za zdradę wobec twojej matki, gdybym...

Anthony poczuł lzy pod powiekami.

- Czy miałbym coś przeciwko? - Oczy zaszyły mu mgłą. - Niczego bardziej nie pragnę niż tego, żebyś był szczęśliwy.

Anthony był drużbą na ślubie swojego ojca. Jego macocha była w wieku jego córek. Rok później miał już przyrodniego brata, sześćdziesiąt jeden lat młodszego od siebie. Doznawał dziwnego uczucia, gdy patrzył, jak jego ojciec odnosi się do swojego syna z taką samą czułością, z jaką zapewne kiedyś odnosił się do niego.

W czasie uroczystości rodzinnej po przywiezieniu chłopca ze szpitala do domu kilka osób zapytało Anthony'ego, czyjego żona jest chora. Źle wyglądała.

- Ciężko pracuje - odrzekł. - Przygotowuje się do trudnego procesu sądowego.

Następnego dnia dostała takiego bólu głowy, że musiał ją zawieźć do swojej kliniki. Kazał personelowi medycznemu zrobić badania.

Po dwóch dniach zmarła. Wirusowe zapalenie opon mózgowych było takie silne, że nie udało się jej uratować. Cud, że nie zaraził się od niej nikt z rodziny, zwłaszcza noworodek.

Anthony czuł się wykończony. Snuł się po domu i próbował zebrać w sobie energię do przeżycia każdego kolejnego dnia. Nocami było trudniej. Ojciec często go odwiedzał, siedział z nim - młody mężczyzna obok starszego - i pocieszał, jak umiał.

Anthony codziennie jeździł na grób żony. W pierwszą rocznicę jej śmierci, kiedy zrywał dla niej kwiaty, dostał wylewu. Miał sparaliżowaną

lewą część ciała i wymagał stałej opieki. Dzieci chciały umieścić go w zakładzie.

- Nie - sprzeciwił się ojciec. - Teraz moja kolej, żeby nad nim czuwał.

Anthony wrócił więc do domu swojego szczęśliwego dzieciństwa sprzed choroby ojca. Podczas wielu godzin spędzanych razem ojciec wypytywał go o szczegóły z jego młodości: o kłótnie z brokerem, o pracę na dwie zmiany w restauracji, o pierwszą randkę z dziewczyną, która potem została jego żoną.

- Tak, rozumiem - mówił.

Po następnym wylewie Anthony comął się umyślowo do poziomu dzieciolatka. Nie orientował się, z jakiego okresu pochodzi stary komputer z grą której nauczył go ojciec. Nie wiedział, że dostał ją na dziewiąte urodziny dwa tygodnie przed chorobą ojca i dotąd nie mieli okazji w nią grać.

Pewnego ranka stracił zdolność rozumienia gry komputerowej.

- Jego funkcje neurologiczne szybko zanikają - wyjaśnił specjalista.

- Nic nie można zrobić? - zapytał ojciec.

- Niestety. Przykro mi. W tym stadium... Za parę dni...

Ojciec poczuł ciężar na sercu.

- Postaramy się, żeby tu nie cierpiał - obiecał lekarz.

- Nie - odparł ojciec. - Mój syn umrze w domu.

Ojciec siedział przy łóżku Anthony'ego i trzymał jego wiotką rękę. Przypominał sobie, jak opiekował się nim w czasie jego chorób w dzieciństwie. Anthony wyglądał przerażająco staro jak na sześćdziesięcioletniolatek. Oddychał płytko i miał szkliste, niewidzące oczy.

Dzieci i wnuki przyszły pożegnać go na zawsze.

- Przynajmniej odejdziesz w spokoju - powiedziała jego młodsza córka.

Ojciec Anthony'ego nie wytrzymał.

- On nie zrezygnował z ratowania mnie. Teraz ja nie zrezygnuję z ratowania jego.

- Tę metodę uznano za nieskuteczną - powiedział specjalista.

- To działa.

- W odosobnionych przypadkach, ale...

- Ja jestem takim przypadkiem.

- Jednym z bardzo nielicznych. Pański syn jest w takim wieku, że może tego nie przeżyć.

- Odmawia pan?

- Próbuję panu wytłumaczyć, że przy takich kosztach i ryzyku...
- Mojemu synowi został dzień życia. Zamrożenie nie będzie dla niego gorsze od śmierci. A jeśli chodzi o koszty, to ciężko pracował i ma oszczędności. Stać go na to.
- Ale nie ma gwarancji, że kiedyś zostanie wynaleziony lek na tak poważne uszkodzenie komórek mózgowych jak u pańskiego syna.
- Nie ma też gwarancji, że nie zostanie wynaleziony.
- On nie jest w stanie podpisać zgody.
- Nie musi. Udzielił mi pełnomocnictwa na reprezentowanie jego interesów.
- Mimo wszystko trzeba to skonsultować z jego dziećmi. W grę wchodzi sprawa majątkowa, istnieje ryzyko procesu sądowego.
- Ja się zajmę jego dziećmi. Pan niech się zajmie przygotowaniem.

Patrzyli na niego chłodno.

Ojciec Anthony'ego podejrzewał, że się sprzeciwią, bo szkoda im będzie pieniędzy ze spadku.

- Błagam was. On by to dla was zrobił. Zrobił to dla mnie. Na litość boską, nie możecie go spisać na straty!

Ich spojrzenia stwardniały.

- Posłuchajcie, nic was to nie będzie kosztowało. Będę więcej pracował i sam za to zapłacę. Przepiszę na was zarządzanie majątkiem. Chcę tylko, żebyście nie próbowali mi przeszkodzić.

Ojciec Anthony'ego stał przed komorą kriogeniczną i przyglądał się nalepce, którą przykleił na drzwiach. Było na niej nazwisko Anthony'ego, jego data urodzenia i informacje, kiedy miał pierwszy wylew i kiedy został zamrożony. Na dole widniały słowa: SŁODKICH SNÓW. OBUDŹ SIĘ SZYBKO.

„Szybko” było oczywiście pojęciem względnym. Anthony leżał w zamrożeniu od sześciu lat i na razie nie wynaleziono leku na jego chorobę. Co nie znaczyło, że nie wynajdą go jutro czy za miesiąc. Zawsze jest nadzieja, pomyślał ojciec Anthony'ego. Trzeba ją mieć.

Na długim, wąskim stole na środku korytarza leżały dowody pamięci pozostawione przez bliskich innych pacjentów: zdjęcia rodzinne, rękawica baseballowa i kostka do gry na gitarze. Ojciec Anthony'ego położył tam dyskietkę z ich grą komputerową.

- Jeszcze w nią zagramy - obiecał.

To były urodziny ojca Anthony'ego. Skończył czterdzieści dziewięć lat. Miał posiwiałe skronie i zmarszczki na czole. Niedługo będzie wyglądał tak jak Anthony wtedy, gdy obudziłem się po odmrożeniu, pomyślał.

Nie mógł się uwolnić od przykrej świadomości, że kiedyś będzie miał tyle lat, ile Anthony w momencie zamrożenia. Ale teraz ta perspektywa nie wydawała się taka straszna. Jeśli w tym samym roku znajdą lek, obudzą Anthony'ego i terapia się powiedzie... Będziemy mieli po sześćdziesiąt sześć lat. Razem się zestarzejemy.

Nie przestanę o ciebie walczyć, Anthony. Przysięgam, że możesz na mnie liczyć. Nie pozwolę ci umrzeć przede mną. To straszna rzecz dla ojca przeżyć własnego syna.

## A jeśli umrę, nim się obudzę

*Douglas E. Winter jest powieściopisarzem (R\xn), krytykiem (napisał książki o Stephenie Kingu i Clivie Barkerze), twórcą antologii i prawnikiem. Jego pierwsza antologia Zło pierwotne z 1998 roku to jeden z najlepszych zbiorów opowiadań makabrycznych. W połowie lat 90. zadzwonił do mnie i powiedział, że planuje kolejną: Millennium. Kiedy książka wyszła w 1997 roku, tytuł trzeba było zmienić na Revelations (Objawienia), z powodu konfliktu z producentami serialu telewizyjnego o tym samym tytule, ale pierwotny tytuł lepiej oddaje zamysł Douga. Zaprosił rozmaitych pisarzy, by wybrali dowolną dekadę XX wieku i napisali o niej apokaliptyczne opowiadanie. Takie, które będzie zakorzenione w ówczesnej historii i da wyobrażenie o najbardziej palących sprawach, jakimi wówczas się żyło. Z miejsca zafrapował mnie ten pomysł. Jak widać w wielu moich powieściach, moja profesorska natura sprawia, że od zawsze lubię historię. Lata 40., 50. i 60. były już zajęte. Doug zapytał, którą dekadę sobie wybieram. Drugą, odparłem. Z powodu I wojny światowej? Nie, choć wojna miała się pojawić w opowiadaniu. Temat, jaki chciałem poruszyć, był potencjalnie bardziej apokaliptyczny niż wojna i zwiastował późniejsze podobne światowe zagrożenia. I sprawiał, że śniły mi się koszmary.*

To nie był pierwszy przypadek, ale pierwszy wykryty przez doktora Jonasa Bingamana, choć on sam uświadomił to sobie dopiero dwa dni później. Pacjent, piegowaty rudowłosy chłopiec, leżał bez ruchu na łóżku przykryty kołdrą. Bingaman właśnie kończył wieczorny dyżur w swoim gabinecie, kiedy zadzwoniła zdenerwowana matka rudzielca.

Lekarz stanął w drzwiach wąskiego pokoju i z miejsca ocenił, że chłopiec ma gorączkę. Nie chodziło wcale o zaczerwienioną twarz Joeya Cartera, którego poród Bingaman odbierał dziesięć lat temu. W końcu lato 1918 roku było niezwykle upalne i nawet teraz, pod koniec sierpnia, do lekarza zgłaszali się pacjenci z poparzeniami słonecznymi. Bingaman postawił tak szybką diagnozę, bo dostrzegł, że mimo utrzymującego się gorąca chłopiec ma dreszcze, choć leży pod kołdrą i dwoma kocami.

- Tak jest cały czas, od kiedy wrócił do domu na kolację - wyjaśniła matka Joeya Rebecca, szczupła prosta trzydziestopięciolatka. Weszła do pokoju syna i gwałtownie ponaglała lekarza, by podążył za nią. - Znalazłam jego mokre kąpielówki. Pływał.

- W strumieniu. Mówiłem mu, żeby tam nie włąził - odezwał się ojciec chłopca Edward Carter, najlepszy cieśla w Elmdale, nie zdążył jeszcze zdjąć roboczego ubrania i butów, a w gęstych ciemnych włosach wciąż miał resztki trocin.

- Do strumienia? - Bingaman odwrócił się do Edwarda, który stał w korytarzu.

- W wodzie są różne świństwa. I zarazki. Wiem, bo zeszłego lata chłopak Billa Kendricka pływał tam i zachorował. Napił się trochę tej wody i rzygał całą noc. Mówiłem Joeyowi, żeby tam nie łąził, ale mnie nie słuchał.

- Chodzi o strumień płynący przez farmę państwa Larrabee?

- Nie inaczej. Krowy załatwiają się do wody i to wszystko potem płynie dalej, prosto do stawu.

- Tak, pamiętam, jak syn Billa Kendricka zachorował rok temu - powiedział Bingaman. - Czy Joey też wymiotował?

- Nie - odparła Rebecca.

- Zbadam go.

Kiedy Bingaman wszedł do pokoju, zauważył w kącie kij do baseballa. Nad łóżkiem na żyłce przymocowanej do sufitu wisiał wykonany z balsy model dwupłatowca Curtiss. Na takich maszynach Amerykański Korpus Ekspedycyjny walczył z Niemcami.

- Kiepsko się czujesz, Joey?

Chłopiec musiał się zdobyć na wielki wysiłek, by skinąć potakująco głową. Zakaszłał.

- Pływałeś w strumieniu?

Znów z trudem kiwnął głową.

- Powinienem być słuchać taty - wyszeptał chrapliwie.

- Będiesz miał nauczki. Ale na razie skup się na tym, żeby wydobrzeć. Zbadam cię, Joey. Będę się starał jak najmniej cię męczyć.

Bingaman otworzył czarną torbę i pochylił się nad Joeyem. Czuł, jak od chłopca bije ciepło. Matka i ojciec podeszli bliżej, przyglądając się z napięciem. Joey zakaszłał mocniej.

Dziesięć minut później Bingaman schował stetoskop do torby i wyprostował się.

- Czy to ta woda? - zapytał Edward. - Brudna woda z farmy Larra-beech?

Bingaman zawahał się.

- Może wyjdziemy i pozwolimy Joeyowi odpocząć?

Zeszli do kuchni. Na kuchence stała niezjedzona kolacja: w garnkach i na patelni stygły ziemniaki, marchewka i kotlety wieprzowe.

- Doktorze, co mu jest? - spytała Rebecca, kiedy tylko usiedli przy kuchennym stole.

- Czy to coś poważnego? - dopytywał się Edward.

- Ma wysoką gorączkę - trzydzieści osiem i dziewięć. Opuchnięte gruczoły. Przekrwienie płuc.

- O Boże, czyżby zaraził się dyfterytem? - zdenerwowanie Rebecki graniczyło już z paniką.

Edward wpatrywał się tylko w podłogę i kręcił głową.

- Tego się obawiałem.

- Nie, moim zdaniem to nie dyfteryt - odparł Bingaman.

Ojciec Joeya podniósł głowę i spojrzał na niego z nadzieją w oczach.

- Część objawów przypomina te związane z dyfterytem. Ale przy dyfterycie, czyli błonicy, występują też niebieskawobiałe naloty przypominające fakturą skórę. Naloty powstają w okolicach migdałków i w nozdrzach, a wokół nich tworzą się stany zapalne.

- Ale Joey...

- Nie ma nalotów - dokończył Bingaman. - Sądzę, że to bronchit.

- Bronchit?

- Będę wiedział więcej, kiedy zbadam go jutro. Tymczasem musimy leczyć widoczne objawy. Proszę co sześć godzin podawać mu aspirynę, połowę dawki dla dorosłego. Proszę umyć go gąbką i natrzeć alkoholem. Jedno i drugie pomoże zbić gorączkę. Kiedy piżama i pościel przesiąkną potem, trzeba je zmienić. I niech ma otwarte okno. Świeże powietrze pomoże wygonić zarazki z jego płuc.

- I co dalej? - zapytał ojciec chłopca.

Bingaman nie zrozumiał pytania.

- To wszystko? Tylko tyle pan może?

- Mogę jeszcze zalecić, żeby pił dużo wody.

- O ile będzie w stanie ją utrzymać. Właśnie przez wodę to wszystko.



- Być może. Pytali państwo Joeya, czy pływał z jakimiś kolegami?
- Tak. Był jeszcze Pete Williams i Ben Slocum.

Bingaman skinął głową. Nie tylko znał tych chłopców, pomógł im też przyjść na świat, tak jak Joeyowi.

- Proszę mierzyć mu temperaturę co dwie godziny. Jeśli się podwyższy albo zaobserwujecie jakieś inne objawy, dzwońcie do mnie.

- Dobry wieczór, pani Williams, mówi doktor Bingaman. Może zabrzmi to trochę dziwnie, ale chciałbym się dowiedzieć, czy pani syn Pete dobrze się czuje? Nie ma gorączki? Nie ma powiększonych gruczołów? Nie ma przekrwień?

Wykonał kolejny telefon.

- Nie zaobserwowała pani takich objawów, pani Slocum? Syn jest zdrowy jak ryba? To świetnie. Dziękuję pani. Proszę pozdrowić męża. Dlaczego o to pytam? To taka rutynowa ankieta. Chcę, żeby wszyscy uczniowie z Elmdale cieszyli się jak najlepszym zdrowiem, zanim wrócą do szkoły. Dobranoc pani. Jeszcze raz dziękuję.

Odłożył słuchawkę na wiszący na ścianie drewniany aparat w korytarzu swego domu. Zgasił górne światło, oparł się o ścianę i wyjrzał przez szybę w drzwiach wyjściowych. Zapadał zmierzch. Na dworze zaczęły latać ćmy. Droga przejechał ford T. Po drugiej stronie ulicy, na werandzie oświetlonej poświatą z okna salonu, Harry Webster usiadł w bujanym fotelu i zapalił fajkę.

- Jonas, czy coś się stało?

Bingaman odwrócił się do żony, której sylwetka o szerokich ramionach wychynęła z cienia w korytarzu. Marion była córką niemieckiego imigranta, ale z powodu wojny w Europie zwykle nie wspominała o swoim pochodzeniu. Wychowała się na farmie w stanie Nowy Jork i ukończyła kurs pielęgniarstwa. Bingamana urzekła przede wszystkim bijąca z niej energia. To było dwadzieścia pięć lat temu. Dziś, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat Marion była nie mniej energiczna, a Bingaman kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. To prawda, że w miodowych włosach, które tak uwielbiał gładzić, zaczęły się pojawiać siwe pasemka. Ale przecież i jego włosy nie dość, że posiwiały, to i przerzedziły się tak, że był niemal łysy. Marion uważała, że mąż wygląda teraz „dystyngowanie”.

- Czy coś się stało? - powtórzył jak echo. - Nie, nic się nie stało.
- Od kiedy wróciłeś od Joeya Cartera, jesteś jakiś zamyślony.
- Myślę o tym chłopcu. Joey najwyraźniej ma bronchit. Ojciec uważa, że nabawił się go od pływania w zatrutej wodzie dziś po południu. Ale bronchit rozwija się przez kilka dni. No i żaden z chłopców, z którymi Joey pływał, na nic nie choruje.

- I co o tym sądzisz?
- Nie jestem pewien, czy to bronchit. Zwykle nie ma pojedynczych przypadków bronchitu. To zaraźliwa choroba. A skoro nikt w mieście nie choruje na bronchit, to gdzie go złapał?

Rebecca Carter niecierpliwie czekała przy otwartych drzwiach werandy, aż doktor Bingaman pokona frontowe schody i wejdzie do domu.

- Martwiłam się, że nie będę mogła się z panem skontaktować.
- Kiedy pani zadzwoniła, właśnie się do was wybierałem. Joey jest dziś moim pierwszym pacjentem.

Ruszyli po schodach na piętro. Bingaman, który ostatnio sporo przytył, czuł, że ciąży mu brzuszek. Zatrzymał się i zmarszczył brwi, słysząc kaszel dobiegający z sypialni na górze.

- Czy Joey kaszłał przez całą noc?
- Nie aż tak. - Rebecca miała twarz zmęczoną brakiem snu. - Kaszel nasilił się tuż przed świtem. Podawałam mu aspirynę i myłam gąbką, tak jak pan kazał, ale chyba nic to nie dało.

Lekarz pospieszył na górę, a to, co zobaczył w sypialni chłopca, zaniepokoiło go nie na żarty. Joey wydawał się mniejszy pod górą pościeli. Na twarzy miał wypieki, a wokół ust siłą obwódka. Oddychał z trudem, nawet wtedy, gdy nie kaszłał.

Bingaman natychmiast rozpoczął badanie. Stwierdził, że temperatura wzrosła do czterdziestu stopni, płuca są bardziej przekrwione, gardło silniej zaczerwienione, a gruczoły jeszcze się powiększyły. Chłopiec nie miał nawet siły odpowiadać na pytania. Poprzedniego wieczoru tętno chłopca wynosiło 85, a tempo oddychania - 20 na minutę. Dziś było to odpowiednio 100 i 25.

- Przykro mi, pani Carter.
- Co się z nim dzieje, doktorze?
- To może być zapalenie płuc.

Rebecca Carter westchnęła.

- Wiem, że wolałaby pani zatrzymać go w domu - rzekł Bingaman - ale będzie dla niego lepiej, jeśli trafi do szpitala.

Rebecca wyglądała tak, jakby nie wierzyła własnym uszom, jakby zastanawiała się, czy nie postradała zmysłów.

- Potrafię się nim zaopiekować - odparła.
- Tego jestem pewien, ale Joey potrzebuje specjalnych zabiegów, których nie da się przeprowadzić w domu.

Rebecca była przerażona.

- Jakich?

- Wszystko pani wyjaśnię, ale najpierw zadzwonią do szpitala. - Nie czekając na odpowiedź, zbiegł na dół do telefonu wiszącego przy drzwiach wejściowych. Nie chciał jej mówić, że ciemna obwódka wokół ust Joeeya to objaw sinicy. Zatkane płuca nie doprowadzały do organizmu wystarczającej ilości tlenu. Jeśli Joey nie zostanie podłączony w szpitalu do tlenu, może się udusić od nadmiaru płynu w płucach.

- To z całą pewnością objawy zapalenia płuc - powiedział ordynator szpitala w Elmdale. Nazywał się Brian Powell. Jego chuda sylwetka kontrastowała z brzuszkiem Bingamana. Obaj lekarze przyjaźnili się od lat. Kiedy Joey Carter trafił na oddział intensywnej terapii, Powell miał akurat dyżur. Po zbadaniu i przyjęciu chłopca zaprosił Bingamana do swojego gabinetu na kawę. Bingaman wciąż miał w uszach szloch pani Carter.

- Ale jeśli to zapalenie płuc, to jak je złapał? - Bingaman nawet nie spojrzął na stojącą przed nim filiżankę z parującą kawą. - Czy masz jakichś pacjentów z takimi objawami?

Powell pokręcił głową.

- W zimie takie objawy nie byłyby niczym nadzwyczajnym. Przeziębienia i wtórne infekcje prowadzą do zapalenia płuc. Ale latem? Na pewno bym zapamiętał.

- To po prostu nie trzyma się kupy - Bingaman pocił się pod marynarką. - Dlaczego choruje tylko Joey?

- Nie. - Rebecca Carter czekała przed drzwiami sali, w której leżał Joey. Miała nadzieję, że wpuszczają do środka. Oczy miała zaczerwienione od łez. - Nie wydarzyło się nic dziwnego. To było zwyczajne lato. Robiliśmy to co zawsze.

- Czyli co? - dopytywał się Bingaman.

Rebecca przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Pikniki. Joey uwielbia baseball. Chodziliśmy do parku i tam Edward uczył go odbijać piłeczkę. No i do kina. Czasami chodziliśmy do kina. Joey bardzo lubi Charliego Chaplina.

- I to wszystko? Nic więcej?

- To było zwyczajne lato. Ja należę do klubu krawcowych. Nie zawsze mamy okazję spędzać czas rodzinnie, bo Edward wykorzystuje dobrą pogodę i pracuje do późna. Ale czemu pan pyta, doktorze? Czy Joey nie zachorował od wody w strumieniu?

- Czy przypomina sobie pani jeszcze coś, co Joey robił w te wakacje? Cokolwiek choćby trochę niezwykłego?

- Przykro mi, ale nie...

Przerwał jej mąż pędzący szpitalnym korytarzem.

- Rebecca. - Twarz Edwarda Cartera błyszczała od potu. - Wróciłem do domu na obiad, żeby sprawdzić, co z Joeyem. Pani Wadę powiedziała, że jest w... Na Boga, doktorze, co mu jest?

- Cały czas próbujemy to ustalić. To może być zapalenie płuc.
- Zapalenie płuc?

Otworzyły się drzwi sali Joeya. Przez chwilę stojący przy wejściu mogli popatrzeć na chłopca. Leżał na metalowym łóżku pod kołdrą, na twarzy miał maskę tlenową. Z sali wyszła pielęgniarka i zamknęła drzwi.

- Jak on się czuje? - zapytała Rebecca.
- Majaczy - odparła siostra. - Wciąż powtarza, że czuje się jak na diabelskim młynie.
- Na diabelskim młynie? - zdziwił się Bingaman.
- Pewnie przypomniało mu się wesołe miasteczko - odparł Edward.
- Wesołe miasteczko?
- W Riverton. W zeszłym tygodniu musiałem tam pojechać po specjalne drewno dla jednego z klientów. Wziąłem ze sobą Joeya. Spędziliśmy ponad godzinę w przejeżdżnym wesołym miasteczku. Bardzo mu się podobało na diabelskim młynie.

- Tak, pacjenci z gorączką, powiększonymi gruczołami i przekrwieniem płuc - wyjaśniał Bingaman przez telefon w gabinecie doktora Powella.

- Coś, co może wyglądać na zapalenie płuc. - Rozmawiał z ordynatorem szpitala w Riverton odległego o osiemdziesiąt kilometrów. - Nic? Ani jednego przypadku? Dlaczego pytam... Próbuję dociec, jak jeden z moich pacjentów nabawił się właśnie takich objawów. W zeszłym tygodniu był w Riverton. Myślałem, że może to wesołe miasteczko, które u was było. Gdyby coś pan sobie przypomniał, proszę do mnie zadzwonić, dobrze? Dziękuję.

Bingaman odłożył słuchawkę i potarł kark.

Przez całą rozmowę Powell siedział za biurkiem i obserwował go.

- Nie przejmuj się tak. Zapalenie płuc potrafi się roznosić jak pyłki na wietrze. Pewnie nigdy się nie dowiesz, gdzie chłopak je złapał.

Bingaman patrzył przez okno na rudzika siedzącego na gałęzi wiązu.

- Pyłki na wietrze? - Głośno wypuścił powietrze. - Wiesz, jaki je stem. Mam obsesję. Za dużo myślę. Nie potrafię odpuścić żadnego przypadku. A tym razem mój pacjent ma się kiepsko.

Bingaman w zamyśleniu wpatrywał się w talerz.

- Nie smakuje ci pieczeń? - spytała Marion.

- Co? - podniósł wzrok. - Och... Przepraszam. Jestem dziś marnym rozmówcą.

- Nadal się martwisz?

Nabrał na widelec trochę ziemniaków.

- Nie znoszę czuć się bezradny.

- Nie jesteś bezradny. Dziś po południu zrobiłeś wiele dobrego dla swoich pacjentów.

Bingaman odłożył widelec, nawet nie próbując ziemniaków.

- Ich problemom łatwo było zaradzić. Mogę zszyć rozciętą skórę na ramieniu, przepisać sodę oczyszczoną na problemy z żołądkiem, polecić roztwór, który złagodzi oparzenia od trującego bluszczu i zapobiegnie wysypce. Ale poza leczeniem objawów nie jestem w stanie zrobić nic, by walczyć z zapaleniem płuc. Próbujemy zbić gorączkę u Joeya, nawadniać go, podajemy mu tlen. Ale to, czy wyzdrowieje, zależy od jego organizmu. Jeśli okaże się silny, zwalczy infekcję. Ja nie mam na to wpływu. Wszystko w rękach Boga. A Bóg czasami bywa okrutny.

- Wojna jest najlepszym tego dowodem - odparła Marion. Była Amerykanką, lojalną do szpiku kości, ale niemieckie korzenie nie pozwalały jej zapomnieć, że po obu stronach linii Hindenburga ginęli porządni ludzie.

- Tyle niepotrzebnych śmierci od zakażonych ran - Bingaman zaczął stukać widelcem o talerz. - W pewnym sensie to jak z infekcją u Joeya. Boże, tak bardzo chciałbym być znowu młody. Znowu uczyć się na akademii medycznej. Czytam fachowe pisma, ale wciąż mam wrażenie, że stosuję przestarzałe metody. Chciałbym się zająć badaniami. Mikrobiologią. Dałbym wszystko, żeby móc zaatakować infekcję u samego źródła. Może pewnego dnia ktoś wynajdzie lek, który będzie zabijał zarazki.

- Wtedy na pewno byłoby ci łatwiej. Ale dopóki...

Bingaman pokiwał głową.

- Robimy, co możemy.

- Ostatnio dużo pracujesz. Powinieneś zrobić coś dla siebie. Idź do gabinetu i wypróbuj to radio, które sobie kupiłeś.

- Na śmierć o nim zapomniałem.

- A tak chciałeś się nim pobawić, kiedy w niedzielę przez całe popołudnie siedziałeś na dachu, instalując antenę.

- A ty nie omieszkałaś mi przypomnieć, żebym na siebie uważał i nie skręcił sobie karku - zaśmiał się Bingaman. - Kiedy kupiłem to radio, wydawało mi się, że to cudowny wynalazek. Cud XX wieku.

- I nic się nie zmieniło.

- Pomyśl tylko: można porozmawiać z kimś z innego stanu. Z innego kraju. Bez kabli. Można słuchać statków na morzu. Albo raportów z pola

bitwy - Bingaman spochmurniał. - Nie, akurat to wcale nie jest cudowne. Ale reszta, owszem... Tak, dziś wieczorem chyba zrobię coś dla siebie.

Kiedy jednak ruszył korytarzem w stronę schodów, rozdzwonił się telefon. Niechętnie podniósł słuchawkę.

- Halo? - Słuchał rozmówcy z drugiego końca linii. - Tak - powiedział ponuro. - Rozumiem. Już jadę.

- Nagły wypadek? - spytała Marion.

- Joey Carter nie żyje.

Marion zbladła.

- O mój Boże.

- Myślałem, że przeżyje dzięki tlenowi... To straszne. - Czuł się jak sparaliżowany, z trudem ruszył do drzwi. - Pojadę do jego rodziców.

Gdy włożył marynarkę i sięgnął po torbę, telefon znów zadzwonił. Bingaman odebrał. Słuchał dłuższą chwilę, a kiedy odłożył słuchawkę, czuł się jeszcze bardziej zmęczony.

- Co się stało? - Marion położyła rękę na jego dłoni.

- Znów dzwonił ze szpitala. Ojciec Joeya właśnie zemdlął. Ma wysoką gorączkę, kaszel i powiększone gruczoły. Dwaj chłopcy, którzy pływali z Joeyem, mają te same objawy co on. Rodzice przywieźli ich do szpitala.

- Gdyby chodziło tylko o kolegów Joeya, mógłbym powiedzieć, że owszem, zarazili się, kąpiąc się w strumieniu na farmie Larrabeech - wyjaśniał Bingaman Powellowi, który przyjechał do szpitala na wezwanie kolegi. Wybiła północ. Siedzieli naprzeciw siebie w gabinecie ordynatora. - Ale ojciec Joeya nawet nie zbliżał się do strumienia, a też złapał infekcję.

- Nadal myślisz o Riverton?

- To jedyne sensowne wytłumaczenie. Prawdopodobnie chłopiec zaraził się w wesołym miasteczku. Może kichnął na niego jakiś robotnik. Albo pasażer na diabelskim młynie. Tak czy inaczej, Joey zaraził ojca i dwóch kolegów. Objawy wystąpiły u nich później, bo zakazili się później niż Joey.

- Zarazili się od niego. To logiczne, ale jest pewien szkopuł.

- Mianowicie?

- Dlaczego matka Joeya...

Ktoś zapukał do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, do pokoju weszła pielęgniarka.

- Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze, ale mam pilną wiadomość. Pani Carter właśnie zemdlła. Ma te same objawy co syn i mąż.

Obaj lekarze zerwali się na równe nogi.

- Musimy wprowadzić kwarantannę. - Bingaman wybiegł z gabinetu.
- Masz rację. - Powell biegł obok niego. - Żadnych odwiedzin. Personel medyczny i wszyscy, którzy chodzą wokół tych sal, obowiązkowo maski na twarzach. Cały oddział intensywnej terapii trzeba odkazić.
- Dobry pomysł. - Bingaman przyspieszył kroku. - Pokój, w którym zmarł Joey, też trzeba zdezynfekować. Pielęgniarki, które się nim opiekowały, powinny się dobrze umyć. I niech się przebiorą w czyste fartuchy.
- Nadal nie wiemy, jak leczyć tę chorobę. Próbowaliśmy już różnych metod.
- I żadna nie zadziałała. - Bingaman czuł, jak powietrze ucieka mu z płuc.
- Jeśli nie mylisz się co do pochodzenia infekcji, to dlaczego nie odnotowano żadnych przypadków w Riverton? - Powell dostawał zadyszki.
- Nie mam pojęcia. W ogóle niewiele wiem. Kiedy będziemy mieli wyniki sekcji zwłok Joeya Cartera?

Peter Talbot zdjął gumowe rękawiczki i wrzucił je do kosza. Następnie zsunął maskę z gazy i oparł się o szafkę. Talbot był chirurgiem, ale w szpitalu w Elmdale pracował też jako patolog. Spojrzał na Bingamana i na Powella i powiedział:

- Płuca miał wypełnione płynem. Nie mógł oddychać.
- Bingaman podszedł bliżej.
- Czy płyn mógł zgromadzić się w płucach już po śmierci?
  - Co pan sugeruje?
  - Inną przyczynę śmierci. Czy badał pan mózg?
  - Oczywiście.
  - I nie było żadnych śladów...
  - Czego właściwie pan szuka?
  - Czy przyczyną śmierci mogło być coś równie zaraźliwego jak zapalenie opon mózgowych?
  - Nie. Nie było śladu zapalenia opon mózgowych. To, co zabiło tego chłopca, zaatakowało jego płuca.
  - Zapalenie płuc - rzekł Powell. - Nie ma powodu odrzucać wstępnej diagnozy.
  - Ale zapalenie płuc nie rozprzestrzenia się tak szybko - powiedział Bingaman.
  - Tak szybko? - Talbot wyprostował się. - Są inne przypadki?
  - Cztery, od kiedy zmarł ten chłopiec.
  - Wielki Boże.

- Tak, wiem - Powell miał ponurą miną. - To wygląda jak początek epidemii.

- Ale co ją wywołało? - zastanawiał się Bingaman.

- Spróbuję to ustalić. - Talbot wskazał na stół. - Pobrałem próbki tkanek do badań. Zrobię, co mogę, żeby wykryć, jakie mikroorganizmy odpowiadają za...

Bingaman ruszył do drzwi.

- Musimy zadzwonić do szpitala w Riverton - powiedział.

Bingaman słuchał lekarza dyżurnego z izby przyjęć szpitala w Riverton i krew odpływała mu z twarzy.

- Przecież prosiłem waszego ordynatora, żeby dał mi znać, jeśli pojawią się jakieś przypadki. - A niech go diabli, dodał w myślach. - Był zajęty? Miał dużo pracy? Rozumiem. I obawiam się, że teraz wszyscy będziemy mieli jeszcze więcej pracy.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Powella. Nie musiał mu wyjaśniać, co się stało.

- Ile mają przypadków? - spytał ordynator.

- Dwanaście - odpowiedział Bingaman.

- Dwanaście?!

- Wszystkich chorych przyjęto w ciągu ostatnich kilku godzin. Dwaj już zmarli.

Zaparkował forda na podjeździe i zgasił światła. Było już po trzeciej w nocy; nie chciał, żeby warkot silnika obudził Marion. Gdy dostrzegł w oknie sypialni mdłe żółte światelko, zrezygnowany pokręcił głową. Żałował, że nie ma bryczki i konia. W powietrzu unosił się duszący swąd spalin z rury wydechowej. Za dużo wynalazków. Za dużo komplikacji. Mimo to jeden z wynalazków bardzo by się przydał, myślał, lek na zaraźliwe mikroby.

Bingaman wysiadł z samochodu. Marion otworzyła frontowe drzwi. Czekala, aż mąż wdrapie się po schodach na werandę.

- Wyglądasz okropnie. - Wzięła od niego torbę, objęła go i wprowadziła do domu.

- Miałem ciężką noc. - Wyjaśnił, co działo się w szpitalu. Opowiedział żonie o nowych pacjentach, których badał, i o leczeniu, jakie im zalecił. - Oprócz aspiryny do zbijania gorączki stosujemy chininę. Nacieramy pacjentom piersi olejkami kamforowymi i każemy im oddychać przez szmatki nasączone olejkami. W ten sposób próbujemy utrzymać otwarte drogi oddechowe.



- I to przynosi skutek?
  - Jeszcze nie wiem. Jestem tak zmęczony, że ledwo myślę.
  - Chodź, położę cię do łóżka.
  - Marion...
  - Słucham?
  - Nie wiem, jak to powiedzieć.
  - Mów prosto z mostu.
  - Jeśli ta choroba jest tak zaraźliwa, na jaką wygląda...
  - No mówże wreszcie.
  - Mogłem się zarazić. Może powinnaś trzymać się ode mnie z daleka.
- Chyba nie powinniśmy spać razem.
- Po dwudziestu pięciu latach? Nie mam zamiaru wyrzucać cię z łóżka.
  - Kocham cię.

Robert Wilson miał czterdzieści dwa lata i niebieskie oczy. Pracował jako cieśla z Edwardem Carterem. Miał powiększone gruczoły i przekrwione płuca. Narzekał na bóle głowy i mięśni. Temperatura - trzydzieści osiem i trzy dziesiąte stopnia.

- Obawiam się, że będę musiał skierować pana do szpitala - oznajmił Bingaman.

- Do szpitala? - Wilson zakaszał.

Bingaman odsunął się o krok.

- Nie mogę zwolnić się z pracy - zaprotestował cieśla. - Nie może mi pan dać jakichś pigułek czy czegoś?

Gdybym tylko mógł, pomyślał Bingaman i odparł:

- W tym przypadku nie. ■

Wilson zasłonił usta ręką i znów zakaszał. Niebieskie oczy miał szkliste.

- A co mi jest?

- Musi poddać się pan w szpitalu jeszcze kilku badaniom - Bingaman próbował zamaskować prawdę profesjonalnym tonem. Co mu jest? - myślał. To samo, co zabiło Joeya Cartera.

Zabiło także ojca Joeya. Bingaman dowiedział się o śmierci Edwarda, kiedy skończył przyjmować porannych pacjentów i przyjechał do szpitala. Rebecca Carter i dwaj koledzy Joeya też czuli się nie najlepiej. Mieli trudności z oddychaniem mimo podawanego tlenu. Do szpitala trafiło kolejnych osiem osób z podobnymi objawami.

- Nadal zakładamy, że to zapalenie płuc - powiedział Powell, kiedy zakładali maski z gazy przed wejściem na odseparowany oddział.

- Czy chinina i olej kamforowy dały jakieś efekty?

- Ledwo zauważalne. U części pacjentów nastąpiła krótkotrwała po  
prawa. Spadła im temperatura. Na przykład u Rebecki Carter z czterdzie  
stu do trzydziestu dziewięciu stopni. Sądziłem, że mamy jakiś przełom,  
tymczasem nagle gorączka znów skoczyła. Kilku pacjentów umarłoby  
bez tlenu, a nie wiem, na jak długo starczy nam zapasów. Zamówiłem  
dodatkowe butle, ale nasz dostawca z Albany też ma ich mało.

Bingaman w masce na twarzy oglądał poddany kwarantannie oddział.  
Pielęgniarki robiły, co mogły, by pacjenci czuli się jak najlepiej, ale było  
ich za mało. W budynku słychać było syk tlenu z butli i kasłanie chorych.  
W rogu wokół jednego z łóżek zaciągnięto zasłonę.

- Kilku pacjentów kaszle krwią- rzekł Powell.  
- Co powiedziałeś?  
- Krew. Kaszłą...  
- Nie, wcześniej. Dostawcy z Albany brakuje tlenu?  
- Tak.  
- Dlaczego?  
- Nie wyjaśnił tego w telegramie.  
- Może dlatego, że inne szpitale też go potrzebują?  
- Co ty wygadujesz?  
- To wesołe miasteczko musiało skądś przyjechać do Riverton. A po-  
tem musiało pojechać gdzieś dalej.  
- Jonas, chyba nie sugerujesz...  
- Myślisz, że epidemia mogła ogarnąć całą naszą część stanu?

- Przykro mi - odpowiedziała telefonistka. - Nie mogę się połączyć z  
centralą w Albany. Wszystkie linie są zajęte.

- Wszystkie?  
- To stolica stanu. Tam cały czas coś się dzieje. Jeśli wszyscy próbują  
j ednocześnie dodzwonić się do centrali...  
- Niech pani spróbuje połączyć mnie ze szpitalem w Riverton.  
- Chwileczkę.... Przykro mi, doktorze. Tam też nie mogę się dodzwoni-  
nić do centrali. Linie są zajęte.

Bingaman wymienił trzy inne duże miasta w okolicy.

Do żadnego nie można było się dodzwonić. Wszystkie linie były zajęte.

- Żadne z tych miast nie jest stolicą stanu - powiedział Bingaman.  
-Co się dzieje, że wszyscy dzwonią jednocześnie?  
- Naprawdę nie mam pojęcia, doktorze.  
- A nie może pani włączyć się na linię i podsłuchać, o czym mówią?  
- Tylko w obrębie własnej centrali. Tak jak mówiłam, nie mogę do-  
dzwonić się do innych. Zresztą mogę podsłuchiwać, tylko gdy chodzi o  
coś poważnego.

- Mamy właśnie do czynienia z taką sytuacją.
- Coś poważnego? - Telefonistka zakasłała. - Co mianowicie?  
Bingaman już miał wyjaśnić, ale ugryzł się w język. Jeśli nie będę ostrożny, mogę wywołać panikę, pomyślał.
- Zadzwoń później.
- Odłożył słuchawkę. Zaczęła go boleć głowa.
- Nadal nic? - spytał Powell.
- To cholernie frustrujące.
- Ale nawet jeśli przekonamy się, że cała ta część stanu jest zakażona, nie pomoże nam to w walce z tym świństwem.
- Może by pomogło, gdybyśmy wiedzieli, z czym walczymy - Bingaman masował pulsujące skronie. - Gdybym tylko znalazł jakiś sposób, żeby skontaktować się... - Nagle błysnęła mu myśl. - Już wiem!

Urządzenie nadawczo-odbiorcze stało na biurku w gabinecie Bingamana. Mieściło się w czarnej skrzynce szerokości sześćdziesięciu i wysokości trzydziestu centymetrów. Skrzynka miała kilka pokręteł i wskaźników, klucz do nadawania alfabetem Morse'a i mikrofon. Od kiedy w 1901 roku Marconi po raz pierwszy przesłał radiową wiadomość przez Atlantyk, Bingaman nie mógł się oprzeć fascynacji tym zjawiskiem. Z każdym postępem w dziedzinie komunikacji radiowej jego zainteresowanie rosło, aż w końcu zaczął się zastanawiać, czy sam mógłby słuchać komunikatów z wojny w Europie. Na pięćdziesiąte drugie urodziny sprawił sobie prezent - radio, które stało teraz przed nim na biurku. Zdobył wymaganą państwową licencję krótkofalowca amatora. A kiedy już osiągnął wymarzony cel, okazało się, że praca i kryzys wieku średniego zabierają mu tyle energii, iż nie jest w stanie siedzieć wieczorami i gawędzić z innymi krótkofalowcami z całego kraju.

Teraz jednak poczuł nowy przypływ energii, jakiego nie doświadczył od ładnych kilku lat. Marion ze zdziwieniem patrzyła na męża, który wrócił do domu wczesnym popołudniem i rzuciwszy jej tylko przelotne „witaj”, popędził na górę, zdjął marynarkę i usiadł przed radiem. Kiedy zapytała męża, czemu wrócił tak wcześnie, poprosił ją, by się nie odzywała, bo jest zajęty.

- Mam siedzieć cicho? Jonas, wiem że ostatnio bardzo się stresujesz, ale to jeszcze nie znaczy...
- Proszę!

Marion obserwowała z coraz większym zdziwieniem, jak Bingaman kręci gałkami i głośno mówi do mikrofonu, podając nazwisko i numer licencji, który otrzymał od władz. Powtarzał te dane kilka razy, czekając,

aż ktoś mu odpowie. Z głośnika dobiegały tylko trzaski i buczenie. Marion podeszła bliżej. Po chwili usłyszała, że z głośnika dobiega ludzki głos. Bingaman odpowiedział z ulgą:

- Tak, Harrisburg, słyszę cię.

Liczył, że połączy się z jakimś krótkofalowcem z Albany albo z innego miasta w stanie Nowy Jork, ale stolica sąsiedniej Pensylwanii leżała niedaleko i też go zadowalała. Opisał, w jakiej sytuacji się znalazł i jakich informacji potrzebuje. Nie mógł powstrzymać się od jęku, kiedy otrzymał odpowiedź znacznie gorszą od tej, jakiej się spodziewał.

- Czterdzieści tysięcy? Chyba źle cię usłyszałem, Harrisburg. Powtórz, proszę. Odbiór.

Krótkofalowiec z Harrisburga powtórzył to samo. Bingaman wciąż nie mógł uwierzyć.

- Czterdzieści tysięcy? - Słodki Jezu, miej nas w swej opiece!

- Grypa hiszpanka - powiedział Bingaman głucho. Jego słowa brzmiały jak wyrok.

Powell wyglądał na zaskoczonego.

Talbot pochylił się w napięciu.

- Jest pan tego pewien?

- Potwierdziłem to u dwóch innych krótkofalowców.

W zebranej naprędce grupie znaleźli się jeszcze jeden lekarz ze szpitala w Elmdale Douglas Bennett i sześć pielęgniarek. Wszyscy mieli rozpaczą w oczach. Siedzieli w pokoju pielęgniarek - największym pomieszczeniu szpitala dostępnym tylko dla personelu, które i tak ledwie ich pomieściło. W pokoju zrobiło się tak gorąco, że wszystkim pot wystąpił na czoła.

- Grypa hiszpanka- mruknął Powell, jakby nie był pewny, czy naprawdę usłyszał te złowróżbne słowa.

- Hiszpanka... Muszę sprawdzić w podręcznikach - powiedział Bennett - ale o ile pamiętam, ostatnia epidemia grypy miała miejsce w...

- W 1889 roku - wpadł mu w słowo Bingaman. - Zebrałem już trochę informacji.

- To prawie trzydzieści lat temu - Talbot pokręcił głową. - Na tyle długo, by oswoić się z myślą, że zaraza może już nie wróci.

- Wcześniej ssa epidemia miała miej sce zimą na przełomie 1847 i czterdziestego ósmego - ciągnął Bingaman.

- Więc wtedy minęło aż czterdzieści lat.

- Wraca co jakiś czas.

- Grypa hiszpanka? - odezwała się jedna z pielęgniarek. - Dlaczego tak się nazywa? Czy ta epidemia przyszła z Hiszpanii?

- Nie wiadomo, skąd przyszła - wyjaśnił Bingaman. - Ale porównuje się ją do straszliwej epidemii z 1647 roku, która rzeczywiście przyszła z Hiszpanii.

- Nieważne, skąd to przyszło - powiedział Powell i wstał. - Trzeba się zastanowić, co mamy zrobić w tej sytuacji. Czterdzieści tysięcy?

-Zwrócił się do Bingamana. - Ten krótkofalowiec, z którym rozmawiałeś, naprawdę to potwierdził? Czterdzieści tysięcy chorych na gripę w Pensylwanii?

- Nie, źle mnie zrozumiałeś.

Powell odetchnął z ulgą.

- Tak myślałem. Aż trudno uwierzyć w taką liczbę.

- Jest znacznie gorzej.

- Gorzej?

- Nie czterdzieści tysięcy chorych na gripę. Czterdzieści tysięcy zmarłych.

Ktoś głośno wciągnął powietrze. W pokoju zapadła grobowa cisza.

- Zmarłych - szepnęła któraś z pielęgniarek.

- I to tylko w Pensylwanii. Nie ma pełnych danych dla nowojorskiej metropolii, ale ocenia się, że codziennie pojawia się tam dwa tysiące nowych przypadków. Z tego stu pacjentów umiera.

- Codziennie?

- To dość skromne szacunki. Do tej pory mogło już umrzeć nawet piętnaście tysięcy osób.

- W stanie Nowy Jork.

- Nie, w mieście Nowy Jork.

- Ale to po prostu niewyobrażalne! - wykrzyknął Talbot.

- Nie koniec na tym. - Bingaman czuł na sobie wzrok wszystkich zebranych. - Krótkofalowcy, z którymi rozmawiałem, kontaktowali się z operatorami z innych części kraju. Hiszpanka zaatakowała też Filadelfię, Boston, Chicago, Denver, San Francisco i...

- A więc mamy potężną epidemię - stwierdził Bennett.

- Dlaczego dowiedzieliśmy się o tym dopiero teraz? - zapytała pielęgniarka.

- Właśnie. Dlaczego nas nie ostrzeżono? - Powell poczerwieniał na twarzy. - Ci z Albany powinni nas ostrzec! Zostawili nas tu samych, bez ochrony! Gdyby nas ostrzeżono, moglibyśmy podjąć jakieś środki zapobiegawcze. Moglibyśmy zgromadzić zapasy medyczne. Moglibyśmy... - Wyglądał, jakby dusił się od nadmiaru słów.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego dowiedzieliśmy się dopiero teraz? - powiedział Bingaman. - Bo telefony i telegramy są zawodne. Ile osób w Elmdale ma telefon? Jedna trzecia. Ile z tych osób dzwoni do innych miast? Niewiele, bo rozmowy są drogie. A poza tym do kogo by zadzwonili? Większość ich krewnych mieszka tu, w okolicy. Nasza gazeta nie ma serwisu Associated Press, więc przekazuje tylko lokalne wiadomości. Dopóki nie pojawi się ogólnokrajowa sieć radiowa i wiadomości nie będą rozpowszechniane w całych Stanach, każde miasto będzie samotną wyspą. A co do tego, dlaczego władze Albany nie ostrzegły przed epidemią takich społeczności jak Elmdale... Krótkofalowcy, z którymi rozmawiałem, przypuszczają, że władze nie chciały nikogo ostrzegać przed chorobą.

- Nie chciały...

- Aby umknąć paniki. Nie było żadnych publicznych komunikatów. W gazetach nie pojawiło się praktycznie nic na temat możliwości wybuchu epidemii grypy.

- Ale to skrajna nieodpowiedzialność.

- Chodzi o to, by nie wywołać paniki i masowej ucieczki na wieś. Władze liczyły, że za kilka dni liczba przypadków choroby zacznie spadać i najgorsze minie. A kiedy wszystko wróci do normy, uda się utrzymać porządek.

- Ale przecież nic nie wróciło do normy - rzekł Talbot. - Jest coraz gorzej.

Złowieszczy komentarz Talbota wciąż brzmiał w głowie Bingamana. Spotkanie już się skończyło, lekarze i pielęgniarki rozeszli się do swoich zajęć. W Elmdale zaczynał się lokalny chaos. W ciągu pół godziny od zakończenia zebrania do szpitala zgłosiło się dwudziestu nowych pacjentów z objawami grypy: wysoką gorączką, bólami mięśni i głowy, nadwrażliwością na światło, zawrotami głowy, trudnościami w oddychaniu. Niekończący się kaszel dochodzący z sali uświadomił Bingamanowi, jakim powietrzem oddycha. Szybko sięgnął po maskę z gazy. Oczyma duszy widział tysiące tysięcy zarasków krążących w powietrzu w sali przyjęć. Ten obraz był tak wyrazisty, że Bingamanowi zdawało się, że ma halucynacje.

- Pani Brady - zwrócił się do jednej z wolontariuszek, która podczas zebrania dyżurowała w sali przyjęć. - Zapomniała pani włożyć maskę. Nowi pacjenci też muszą wkładać maski. Nie możemy pozwolić, żeby kaszleli na siebie nawzajem.

I na nas, dodał w myślach.

Zwiastunem chaosu, jaki nastął, nie był jedynie wzrost liczby nowych pacjentów. Bingaman dostrzegł potencjalny rozmiar rodzącego się koszmaru.

kiedy uświadomił sobie, że szpital w Elmdale ma już teraz więcej pacjentów, niż może pomieścić.

- Co robić? -ir pytał gorączkowo Powell. - Możemy kłaść pacjentów na pryzkach i materacach w korytarzach, ale w tym tempie i tam szybko za braknie miejsca. To samo dotyczy mojego gabinetu i pokoju pielęgniarek.

Siostra przełożona Virginia Keel, blondynka słynąca z braku poczucia humoru, przerwała obsługiwaniu pacjenta i odwróciła się do nich.

- Potrzebne jest nam jakieś pomieszczenie awaryjne, i to duże, żeby pomieścić tylu pacjentów.

- Sala gimnastyczna w liceum - rzucił Bingaman.

Pielęgniarka i ordynator spojrzeli na niego, jakby postradał zmysły.

- Za chwilę zacznie się szkoła, a ty chcesz zmienić salę gimnastyczną w siedlisko zarazy? - dziwił się Powell.

- A kto powiedział, że szkoła w ogóle się zacznie?

Powell zaczynał rozumieć.

- Jedna trzecia naszych pacjentów to dzieci - ciągnął Bingaman. - Chorych przybywa, i wszystko wskazuje na to, że nadal będzie przybywać. A wielu z tych nowych chorych to będą dzieci. Dopuszczenie do otwarcia szkoły zakrawałoby na zbrodnię. W ten sposób infekcja rozprzestrzeniałaby się jeszcze szybciej. Musimy porozmawiać z radą szkoły. Musimy ich przekonać do odłożenia początku roku szkolnego o kilka tygodni. Może epidemia wygaśnie.

- Chyba sam w to nie wierzysz - odparł Powell.

- Opóźnić początek roku szkolnego? - Burmistrz Hallway, który przewodził także radzie edukacji hrabstwa, aż zamrugął. - To niedorzeczne. Szkoła ma się zacząć za cztery dni. Możecie sobie wyobrazić, ile bym się nasłuchał od wściekłych rodziców? Ci, którzy mają telefony, wciąż by do mnie wydzwaniali, a ci, którzy telefonów nie mają, protestowaliby przed moim biurkiem. Rodzice chcą, żeby wszystko wróciło do normy. Mają już dość dzieci wałęsających się po mieście przez całe lato. Chcą, żeby znów usiadły przed tablicą i zaczęły się uczyć.

- Jeśli epidemia będzie się rozprzestrzeniać w obecnym tempie; to za tydzień rodzice będą pana błagać, żeby zamknął pan szkoły - wszedł mu w słowo Bingaman.

- A zatem wtedy będzie czas, żeby je zamknąć - odparł Hallway. - Kiedy moi wyborcy powiedzą mi, że tego chcą.

- Pan mnie nie słucha - Bingaman położył dłonie na biurku burmistrza. - Ludzie umierają. Trzeba coś przedsięwziąć.

Halloway zmarszczył brwi.

- Nie zwykłem podejmować pochopnych decyzji.
- Więc niech pan podejmie jakąkolwiek decyzję. Czy pozwoli pan przekształcić salę gimnastyczną liceum w tymczasowy szpital?
- Muszę się skonsultować z członkami rady szkolnej.
- \* - Doskonale - odparł Bingaman. - W takim razie niech pan się konsultuje, a ja zacznę rozstawiać łóżka w sali.
- Czy to naprawdę tak poważne, jak pan mówi?
- Na tyle poważne, że będzie pan musiał rozważyć zamknięcie innych miejsc publicznych: restauracji, kina, sklepów, barów...
- Zamknąć dzielnicę handlową? - Halloway szarpnął głową tak gwałtownie, że okulary niemal spadły mu z nosa. - Zamknąć... Bary to może i tak. Organizacje kościelne coraz bardziej narzekają na to, co się tam dzieje. Zwolennicy prohibicji urosli w siłę. Ale restauracje i sklepy? Wyobraźcie sobie, jaki raban podniosą właściciele, przecież na tym stracą. - Wybuchnął śmiechem. - Równie dobrze moglibyście mnie poprosić, żebym zamknął kościoły.
- Niewykluczone, że dojdzie i do tego.
- Burmistrz przestał się śmiać. -

Przejmuje się tym, jak epidemia wpłynie na interesy, myślał bezradnie Bingaman, jadąc swoim foldem T do szpitala w Elmdale. Ulica była podejrzanie senna. O niektórych przedsiębiorców burmistrz na pewno nie musi się martwić: właściciele zakładów pogrzebowych będą mieli co robić.

Kiedy Bingaman dotarł na zwirowy parking przed szpitalem, z przerażeniem zauważył na nim mnóstwo pojazdów i bryczek - znak, że do szpitala przybywali kolejni pacjenci. Jeszcze bardziej przeraził się, widząc rozkojarzony wzrok Powella. Spotkał się z nim przy wejściu do zatłoczonej sali przyjęć.

- Osiemnaście nowych przypadków - oznajmił ordynator. - Troje zmarło. W tym matka Joeya Cartera.

Na chwilę Bingamanowi zabrakło tchu. Głowa, która bolała go nieprzerwanie od wczoraj, zabolala jeszcze mocniej. W sali przyjęć było nieznośnie gorąco. Koszula pod marynarką kleiła mu się od potu. Chciał rozpiąć kołnierzyk, ale zdawał sobie sprawę, że pozycja społeczna nie pozwala mu na taką nieformalność w miejscu publicznym.

- Czy ktoś zawiadomił Ballarda i Standisha? - zdołał wykrztusić. Pytał o dwóch przedsiębiorców pogrzebowych z Elmdale.

Powell skinął głową i zaprowadził Bingamana w kąt, z dala od sali przyjęć. Najwyraźniej nie chciał, by ktoś ich podsłuchał.



- Nie trzeba im było nic mówić - szepnął. - Obaj byli tu już po kilka razy. Wciąż nie mogę przestać myśleć o tym, co usłyszałem od Ballarda.
- O czym?
- Powell jeszcze bardziej zniżył głos:
- Powiedział: „Boże, gdzie ja znajdę tylu grabarzy? Skąd ja wezmę tyle trumien?”
- Brakuje nam tlenu - powiedziała Virginia Keel, podchodząc do obu lekarzy. - Mamy już bardzo mało aspiryny, chininy i olejku kamforowego.
- Będziemy musieli ściągnąć wszystko z aptek w mieście - powiedział Powell.
- I to nim ludzie wpadną w panikę i zaczną wszystko wykupować - wtrącił Bingaman.
- Ale bez zapasów leków...
- Proszę podawać im jak najwięcej płynów - polecił Bingaman pielęgniarce. - I dobrze karmić. Zupy, kremy. Wszystko, co łagodne i lekkostrawne.
- Ale nie ma kto gotować dla pacjentów.
- Liga Kobiet - rzucił Powell. - Poprosimy panie z Ligi Kobiet, żeby zajęły się posiłkami.
- I pomocą dla moich pielęgniarek - powiedziała siostra Keel. - Wprawdzie rano przyszło trochę wolontariuszek, ale wciąż brakuje mi rąk do pracy.
- Kogo jeszcze możemy poprosić o pomoc? - gorączkowo zastanawiał się Bingaman. - Czy ktoś rozmawiał z policją? A co z ochotniczą strażą pożarną? Co z duchownymi? Przecież mogą zaapelować do swoich wiernych.

Dochodziła druga w nocy, kiedy Bingaman wreszcie wrócił do domu. Znowu wygasił światła forda T. I znowu zobaczył w oknie sypialni żółtawe światelko. Mimo zmęczenia zdołał uśmiechnąć się do Marion, która powitała go w drzwiach.

- Nie możesz się tak przemęczać - powiedziała.
  - Nie mam wyboru.
  - Jadłeś coś?
  - Kanapkę. I wypłem kilka kaw.
  - W takim razie siadaj przy stole, a ja podgrzeję kurczaka i kluski z kolacji.
  - Nie jestem głodny.
  - Nie słuchasz mnie. Powiedziałam, że masz usiąść przy stole.
- Bingaman roześmiał się.

- Skoro nalegasz.
- A jutro jadę z tobą. Już dzisiaj powinnam była to zrobić. Bingamanowi zamarło serce.
- Marion, wydaje mi się...
- Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką i jestem potrzebna.
- Ale to coś zupełnie innego, niż myślisz. To...
- Co?
- Dziś zemdląca jedna z naszych pielęgniarek. Ma wszystkie objawy.
- A inne pielęgniarki?
- Są wyczerpane, ale na razie, dzięki Bogu, żadna nie zachorowała.
- W takim razie mam spore szanse.
- Nie, Marion. Nie chcę cię stracić.
- Nie mogę się zabarykadować w domu. A co z tobą? Pomyśl, ile ty ryzykujesz. Ja też nie chcę cię stracić. Ale jeśli ty możesz podejmować ryzyko, to i ja mogę.

Bingaman musiał przyznać jej rację. Mieszkańcy miasta potrzebowali pomocy, a żadne z nich nie mogłoby wstydzić się, gdyby uchylili się od tego moralnego obowiązku. Tego dnia widział zadziwiające rzeczy. Ludzie, na których pomoc liczył, mówili mu, że chyba oszalał, jeśli uważa, że będą ryzykować życie, by pomagać chorym. Za to inni, którzy nigdy nie chodzili do kościoła ani nie udzielali się społecznie, stawiali się do pomocy bez proszenia. Przyszło mu do głowy, że zsyłając epidemię, Bóg sprawdza tych, którzy przeżyją. Czy są warci odkupienia.

Ta myśl z każdą chwilą była w nim coraz silniejsza. Zjadł kurczaka i kluski, które Marion dla niego odgrzała. Bardzo lubił tę potrawę, ale dzisiaj ledwie ją tknął. Poszedł na górę, ale zamiast do sypialni skierował się do gabinetu. Opadł na krzesło przy biurku i włączył radio.

- Jonas?
- Jeszcze chwila.

Usłyszawszy szum i buczenie, pokręcił gałkami i patrzył na wskaźniki. Co jakiś czas odzywał się do mikrofonu, podając swój identyfikator.

W końcu udało mu się wywołać innego radioamatora, tym razem z Bostonu. Kiedy rozmówca opisał mu, co się dzieje w jego mieście - codziennie trzy tysiące nowych przypadków i tyle zgonów, że dwieście dziewięćdziesiąt jeden zakładów pogrzebowych wciąż miało mnóstwo roboty - Bingaman znów pomyślał o Bogu. Według radioamatora z Bostonu w całych Stanach Zjednoczonych nie było okręgu, do którego nie dotarłaby choroba. Ludzie umierali w zastraszającym tempie od Minneapolis po Nowy Orlean, od Seattle do Miami, wszędzie - na północy i na południu, na zachodzie i na wschodzie. W Kanadzie, Meksyku, Argentynie, Brazylii.

Anglii, Francji, Niemczech, Rosji, w Chinach i Japonii... To już nie była epidemia. To pandemia. Była wszędzie. Wstrząśnięty Bingaman przypomniał sobie o śmiertelnej pladze zwanej czarną śmiercią, jaka spustoszyła Europę w średniowieczu. Ale to, co działo się teraz, miało o wiele większy zasięg niż kiedyś dżuma, a jeśli dane o śmiertelności były poprawne, to obecna epidemia mogła przynieść o wiele więcej ofiar. A przecież nie nastąpiły jeszcze chłody. Co będzie, kiedy przyjdzie mroźna zima i objawy choroby będą jeszcze cięższe? Bingaman snuł w myślach koszmarnie widzenie rozrzuconych po całym świecie milionów zamrożonych ciał, których nie ma komu pogrzebać. Tak, grypa hiszpanka to próba dla całej ludzkości, próba, jak zachowają się ci, którzy przeżyją. Nagle aż zadrżał od kolejnej przerażającej myśli. A może zbliża się koniec świata?

- Wygląda na to, że zaczęło się w Kansas - wyjaśniał Bingaman personelowi medycznemu. Postanowili spotykać się co rano o ósmej w pokoju pielęgniarek, by wymieniać się informacjami i dementować plotki. Po spotkaniu rozchodzili się i przekazywali wolontariuszom to, o czym rozmawiali na zebraniu.

- Kansas? - ordynator Powell zmarszczył brwi. - Sądziłem, że początek miał miejsce w jakimś bardziej egzotycznym miejscu.

- Dokładnie w Fort Riley - odpowiedział Bingaman. Tej nocy spał zaledwie dwie godziny i teraz ledwo mógł wykrzesać z siebie energię. Łupało go w głowie. - Ten obiekt wojskowy to jedno z głównych miejsc szkolenia Korpusu Ekspedycyjnego Wojsk Sprzymierzonych. W marcu była tam niezwykle silna burza piaskowa.

- Piasek - wpadł mu w słowo Talbot. - Chodziło mi po głowie, że ta choroba musi się roznosić głównie za pośrednictwem kurzu i piasku. -Zwrócił się do pielęgniarek. - Musimy podjąć dodatkowe środki ostrożności. Trzeba zamknąć wszystkie okna, wyeliminować wszelki kurz.

- W tym upale? - zdziwiła się Virginia Keel. Jako siostra przełożona nigdy nie miała oporów, by mówić, co myśli, nawet lekarzowi. - I przy takiej gorączce u pacjentów? Nie przeżyją tego.

W oczach Talbota błysnął gniew, że ktoś mu się sprzeciwił.

Nim doszło do sprzeczki, rozbroił ich Bingaman.

- Początkowo choroba mogła się rozprzestrzeniać za pomocą innego czynnika. Dzisiaj nad ranem rozmawiałem z radioamatorem z Kansas, który przedstawił mi jedną z teorii: ta burza piaskowa była tak silna, że przez trzy godziny w ciągu dnia było ciemno jak w nocy. Prawie wszystko w forcie pokryło się kilkunastocentymetrową warstwą kurzu oraz po piolów ze spalonego zwierzęcego nawozu.

Bennett poruszył nozdrzami.

- Spalonego nawozu?

Bingaman przytaknął.

- Zdaję sobie sprawę, że to niezbyt miły temat. Przepraszam, drogie panie, ale w obecnej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na przesadną delikatność. W Fort Riley stacjonuje spory oddział kawalerii. Tysiące mułów i koni. Ocenia się, że co miesiąc wydalają dziewięć tysięcy ton nawozu. Dla dowódcy fortu to spory problem natury higienicznej. Próbowano go rozwiązać, paląc nawóz. Ale najwyraźniej dym z ognisk, a potem burza piaskowa rozprzestrzeniły mikroby po całym obozie. Po burzy objawy grypy wystąpiły u tylu żołnierzy, że tamtejszy główny lekarz obawiał się, że zajmą wszystkie trzy tysiące łóżek w wojskowym szpitalu. Na szczęście epidemia ustąpiła po pięciu tygodniach.

- I co było dalej? - Powell zmarszczył brwi. Wyglądało to zaledwie na wstęp do kolejnej historii.

- Dwie dywizje z fortu zostały wysłane do Europy, gdzie miały dołączyć do pozostałych sił ekspedycyjnych. Epidemia grypy wybuchła znowu na okrętach transportujących żołnierzy. Kiedy dopłynęli do Francji, choroba zaatakowała najpierw amerykańskie oddziały, potem Brytyjczyków i Francuzów. A zapewne także i Niemców. Według najnowszych danych w samej tylko Brytyjskiej Marynarce Wojennej odnotowano dziesięć tysięcy przypadków grypy. Oczywiście choroba dotknęła też cywilów. Potem rozprzestrzeniła się z Europy do Azji i Afryki i w ogóle wszędzie. Wróciła też do Ameryki. Inna teoria mówi, że choroba zaczęła się w Chinach, gdzie przeskoczyła na ludzi z jakichś zwierząt hodowlanych, a potem przeniosła się do Francji poprzez chińskich kulisów, których alianci wykorzystywali do kopania okopów. Być może zresztą nigdy się nie dowiemy, jak naprawdę to się zaczęło.

- A ilu ludzi zmarło? - zapytała jedna z pielęgniarek, wyraźnie obawiając się odpowiedzi.

- W ciągu trzech miesięcy grypa zabiła w Europie więcej żołnierzy i cywilów, niż zginęło po obu stronach konfliktu w czasie działań wojskowych podczas czteroletniej wojny.

Przez kilka chwil nikt nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Ale to znaczy, że mówi pan o milionach zmarłych - odezwała się w końcu Virginia Keel.

- I o kolejnych milionach, które nadal będą cierpieć z powodu tej choroby.

- W takim razie...

- Tak? - Bingaman odwrócił się do wyraźnie zakłopotanej pielęgniarki.

- Nie ma żadnej nadziei.

Bingaman pokręcił obolałą głową.

- Jeśli w to uwierzymy, to rzeczywiście nie będzie żadnej nadziei. Musimy mieć nadzieję.

Pielęgniarka zasłoniła usta dłonią i zakasłała. Wszyscy w pokoju zesztywnieli i odchylił się od niej.

Bingaman skończył pomagać przy umieszczaniu dwudziestu pięciu pacjentów w szkolnej sali gimnastycznej, którą przekształcono na szpital. Kiedy wraz z doktorem Bennettem wyszli z przestronnego budynku - który szybko wypełniał się kolejnymi łózkami - aż zmrúżyli oczy od jaskrawego wrześnieowego słońca. Dostrzegli też ciała układane na wozach zaprzęgniętych w konie.

- Ilu zmarło w nocy?

- Piętnaście osób.

- Jest coraz gorzej.

Bingaman zachwiał się.

- Co ci jest? - zapytał Bennett. - Dobrze się czujesz?

Bingaman nie odpowiedział, tylko z trudem zrobił kilka kroków do jednego z wozów. Układano na nim zwłoki kobiety w pielęgniarskim fartuchu.

- Przecież widziałem ją jeszcze wczoraj. Jak to się mogło stać tak szybko?

- Mam doniesienia, że choroba rozwija się coraz szybciej - powiedział stojący za nim Bennett. - Wystarczy zaledwie dwadzieścia cztery godziny, żeby z najmniejszego śladu infekcji rozwinęła się pełnoobjawowa grypa. Słyszałem dziś rano historię o pewnym mężczyźnie. Na pierwszy rzut oka nic mu nie dolegało. Wszedł rano do pracy. Nawet nie kaszlał. Nie miał gorączki. Zmarł na ulicy, o przecznice od fabryki, w której pracował. Słyszałem też inną historię.

- Jaka?

- Zeszłego wieczoru cztery panie grały w brydża. Grę zakończyły o jedenastej. Rano żadna z nich nie żyła.

Bingaman poczuł ciężar w piersiach. Bolały go ramiona, szczypały oczy - wmawiał sobie, że to z braku snu. Wyjął z kieszeni maskę z gazy, którą zdjął po wyjściu ze szpitala.

- Myślę, że powinniśmy nosić maski przez cały czas, nawet gdy nie przebywamy wśród pacjentów. W domu i w pracy. Wszędzie.

- W domu? Czy to nie lekka przesada? - skrzywił się Bennett.

- Tak sądzisz? - Bingaman spojrzał po raz ostatni na ciało dwudziestokilkuletniej pielęgniarki. Taka młoda dziewczyna, miała tyle życia przed sobą, myślał. - Nikt z nas nie jest bezpieczny. Choroba czai się wszędzie.

Nie można przewidzieć, od kogo możemy się zarazić. - Spojrzał na Bennetta. - Pamiętaj, że to ta pielęgniarka zakaszła wczoraj na naszym zebraniu.

- Nie dotykaj mnie! Idź sobie!

Ktoś awanturował się tak głośno, że Bingaman oderwał wzrok od pacjenta, którego właśnie badał. Stał między rzędami łóżek w sali gimnastycznej. Wokół niego wciąż był ruch. Pielęgniarki i wolontariuszki krzątały się przy pacjentach: podawały im wodę i zupę, jeśli byli w stanie jeść, ocierały im spocone czoła lodem owiniętym w ręczniki. Kolejna grupa wolontariuszy zajmowała się niewdzięcznym i groźnym problemem usuwania wydaliny tak wielu bezradnych ludzi. W całym pomieszczeniu unosił się smród ekskrementów, potu i śmierci. Wbrew teoriom Talbota o kurzu, Bingaman polecił, by pootwierano wszystkie okna. Niestety, od smrodu w budynku i tak dostawał nudności.

- Do cholery, mówiłem, żebyś zabrała te brudne łapy!

Awanturowujący się mężczyzna zakaszłał ostro. Bingaman spojrzał na niego. Leżał trzy rzędy dalej. Pielęgniarki, wolontariusze i ci nieliczni pacjenci, którzy mieli jeszcze resztki siły, również patrzyli w jego kierunku.

- Ty suko, spróbuj jeszcze raz mnie tknąć... - chrapliwy głos mężczyzny zmienił się w kolejny paroksyzm kaszlu.

Takiego języka nie można było tolerować. Bingaman zostawił pacjenta, którego badał, i ruszył między łózkami. Doszedł do następnego rzędu, znów lawirował między łózkami i zbliżył się do źródła zamieszania. Trzej mężczyźni przynieśli do szpitala czwartego, który teraz leżał na pryczy i nie pozwalał się dotknąć pielęgniarce. Gniew Bingamana narastał, kiedy pomyślał, co musiała czuć wyzywana w ten sposób pielęgniarka, a gdy usłyszał kolejne słowa pacjenta, aż nim zatrzęsło.

- Ty cholerna Niemko!

Marion. Pielęgniarką, na którą krzyczał pacjent, była żona Bingamana. Trzej mężczyźni, którzy przynieśli kolegę, odpychali ją.

- Zostawcie ją! - wrzasnął Bingaman. - Co tu się dzieje?!

Twarcz pacjenta poczerwieniła od furii. Zaniósł się kaszlem, aż w powietrze wzbily się kropelki śliny. Bingaman odruchowo odsunął się o krok i zasłonił Marion.

- Proszę włożyć te maski. Nikt nie ma prawa przebywać tu bez maski. Co się z wami dzieje?

- To jej wina - odezwał się jeden z mężczyzn, lekko bełkocząc. Był wysoki, nosił robotniczy drelich i widać było, że pił. - Wstrętna Niemka.

- Człowieku, uważaj, co mówisz.

- Niemra! Szwabka! - wsparł kolegę drugi mężczyzna, bardziej krępy. - Nikogo nie nabierzesz. - On też najwyraźniej pił. - To przez ciebie mój kumpel zachorował! Wszystkich zaraziłaś grypą!

- Co to za bzdury....

- To żadna hiszpanka. - Mężczyzna na pryczy znów zakaszłał. Tracił siły. Miał wypieki i czarne koła wokół oczu. - To niemiecka grypa.

Pierwszy mężczyzna zrobił chwiejny krok w stronę Marion.

- Ile ci kajzer zapłacił, Szwabko?

- Zapłacił? - wtrącił się drugi robotnik. - Nie musiał płacić tej suce. Przecież to Niemka, nie? Niemcy uwielbiają zabijać Amerykanów.

- Dość tego. - Bingaman trząsał się z gniewu. - Wynosić mi się ze szpitala. Już. Przysięgam, że wezwę policjanta.

- I mamy ją tak zostawić? - Trzeci mężczyzna, również pijany, wskazał na Marion. - Mamy ją zostawić, żeby zabiła jeszcze więcej Amerykanów? To ona sprowadziła tu grypę. Niemiecką grypę. Kajzer myśli, że w ten sposób wygra wojnę. Cholerna Szwabka, morderczyni.

- Nie będę powtarzał! Albo wyjdziecie, albo...

Bingaman zrobił krok w stronę mężczyzn i wskazał im drzwi. Pierwszy z nich zaparł się i mruknął:

- Szwaby zabili mojego syna we Francji, ty cholerny szwabolubie. - I uderzył doktora w twarz.

Czas stanął w miejscu. I nagle znów zaczął pędzić. Bingaman zachwiał się. Jak przez mgłę dochodziło do niego, że pod maską cieknie mu krew z rozciętej wargi. Potem nagle dostał coś w nos i zaczął widzieć wszystko podwójnie. Z nosa buchnęła mu krew. Stracił równowagę. Wydawało mu się, że płynie w powietrzu. Kiedy uderzył o podłogę, gdzieś w oddali usłyszał krzyk.

Nagle wszystko złało mu się w jedno. Czuł, jakby go podniesiono, gdzieś przenoszono. Dochodziły go odległe głosy. Wirowało mu w głowie, jakby brał jakieś szkodliwe leki.

Prycza. W zacienionym magazynku na tyłach sali gimnastycznej.

- Jonas? Dobrze się czujesz? Jonas?

Rozpoznał głos Marion. Każde kolejne słowo brzmiało głośniejsz, jakby się nad nim pochylała.

- Jonas?

- Chyba nic mi nie jest.

- Zdejmę ci maskę, żebyś miał czym oddychać.

- Nie. Nie można ryzykować zakażenia. Niech zostanie.

Ocierała mu krew z twarzy.

- Dam ci czystą.

- Jonas? - Męski głos. Zaniepokojony. Powell.
- Tylko mnie oszołomiło - odparł Bingaman. - Zaskoczył mnie. - Słyszał echo własnych słów. - Zaraz mi przejdzie. - Próbował usiąść, ale czuł, jakby głowę miał pełną kulek od łożysk i właśnie przeważały one, zmuszając go, by się znów położył. - Czy ci mężczyźni...?
- Poszli sobie.
- Policja. Czy ktoś ich wezwał?
- A po co? Kiedy zamknięto szkoły, restauracje i sklepy, opróżniono też więzienie. Nie ma nawet gdzie zamknąć tych facetów.
- Nie rozumiem, co w nich wstąpiło. Oskarżać Marion. To idiotyczne - mówił Bingaman.
- Zdołał otworzyć obolałe oczy i skupić wzrok. Zobaczył zmartwioną twarz żony i Powella, który wyglądał, jakby coś ukrywał.
- O co chodzi? Czego mi nie powiedzieliście? - zapytał.
- To się zdarzyło nie pierwszy raz.
- Nie rozumiem.
- Ludzie się boją - ciągnął Powell. - Nie mogą się pogodzić z tym, że los wybiera przypadkowo i bez sensu. Chcą łatwych wyjaśnień. Jakichś konkretów.
- Nadal nie rozumiem.
- Szukają kozła ofiarnego. Niemców. Marion.
- Ale to niedorzeczne. Kto mógłby być na tyle głupi, żeby sądzić, że Marion...
- Zakłopotanie na twarzy żony sprawiło, że Bingaman zmarszczył brwi.
- Wiedziałaś o tym?
- Tak.
- Od jak dawna to trwa?
- Od kilku dni.
- I mimo to nadal chciałaś tu przyjeżdżać i pomagać? Jestem zdumiony. - Ale gdy zastanowił się chwilę, uznał, że to wcale niezrozumiałe. Marion zawsze robiła to, co słuszne, nawet kiedy nie było łatwo.
- Nie zrozum mnie źle - odezwał się Powell. - Nie wszyscy tak myślą. Tylko mniejszość. Naprawdę niewielu. Ale robią, co mogą, żeby wszyscy usłyszeli ich poglądy.
- Muszę zostać w domu - powiedziała Marion.
- Nie - zaprotestował Powell. - Nie możesz dać im się zastraszyć.
- Nie chodzi o nich. Mam ważniejsze zadanie. Mierzyć temperaturę Jonasowi. Sprawdzać jego migdałki. Przykładać rękę do piersi. Nie trzeba nawet stetoskopu. Czuć, że ma przekrwione płuca. Choroba go dopadła.



Podskakiwanie na wybojach i nieznośny smród spalin forda T spotęgowały koszmarny ból głowy u Bingamana. Kiedy Marion wiozła go do domu, zbierało mu się na wymioty. Rany od uderzenia sprawiły, że przysła gdzieś siła, z jaką bagatelizował objawy choroby, przypisując je wyłącznie zmęczeniu. Teraz, gdy zaczęła trawić go gorączka, ostatnią przytomną myślą było wspomnienie tego, co sam powiedział Bennettowi, kiedy zobaczył zwłoki młodej pielęgniarki: „Jak to się mogło stać tak szybko?” Kiedy dotarli do domu, śmienie w opuchniętych ustach i nozdrzach było niczym w porównaniu z przejmującym bólem w stawach i kończynach. W głowie tak mu się kręciło, że niemal nie czuł się sobą; wydawało mu się, że unosi się gdzieś wysoko i patrzy, jak Marion wyprowadza go z samochodu i pomaga wejść po schodach do domu.

Robił, co mógł, by na nią nie kasać, dziękując sobie w duchu, że namówił ją, by włożyła mu nową maskę na twarz. Ale gdy położyła go na łóżku, rozpięła mu kołnierzyk koszuli i zdjęła maskę. W czasie jazdy do domu gaza nasiąkała krwią.

- Nie - szepnął.
- Nie kłóć się ze mną, Jonas. Muszę cię umyć.
- Powinnaś była zostawić mnie w szpitalu.
- Po co, skoro możesz mieć wykwalifikowaną pielęgniarkę czuwającą non stop w domu?

Zdjęła mu buty, skarpety, spodnie, zakrwawioną marynarkę, kamizelkę i koszulę. Rozebrała go z bielizny. Bingaman leżał nagi na łóżku i trząsał się w gorączce. Ręce przyciskał do piersi i szczerkał zębami. Kiedy Marion zaczęła go myć, czuł, jak sufit zaczyna mu się rozpląwać przed oczyma. Umyła go ciepłą wodą z mydłem, dokładnie wytarła, a potem posadziła, by włożyć mu przez głowę koszulę nocną. Na stopy wsunęła mu długie wełniane skarpety. Nakryła go kołdrą i trzema kocami. Kiedy i tego było mało, a dreszcze Bingamana się wzmogły, przyniosła butelkę z gorącą wodą i położyła ją w łóżku.

Zakaślał i znów zaczął mówić o masce.

- Przeszkadza ci oddychać - powiedziała Marion.
- Ale mogę zarazić,...
- Moim zdaniem to niewiele pomoże. Zresztą i tak byłam już narażona na te mikroby.

Kilka minut, może godzinę później, wlewała w niego gorącą herbatę, łyżeczka po łyżeczce. Kiedy dreszcze gwałtownie się wzmogły, a na czole wystąpił mu obfity pot, zdjęła z niego całe nakrycie, znów go rozebrała, wymyła i natarła alkoholem. Stracił panowanie nad zwieraczem i zabrudził łóżko. Musiała położyć go na podłodze, zmienić pościel, ponownie

go umyć i zmienić koszulę. W końcu znów ułożyła go na łóżku i nakryła kocami, bo dreszcze wróciły. Położyła mu na czole ciepłą ściereczkę i poiła go dalej herbatą. Próbowala go nakarmić kawałkami chleba rozmoczonego w herbacie.

Przestało do niego cokolwiek docierać i odpłynął w ciemność. Jego umysł przypominał łódkę rozkołysaną na wzburzonym morzu. Nocnym morzu. Smagany sztormem. Pełnym wirów.

Nie miał pojęcia, na jak długo odpłynął, ale stopniowo wirowanie ustało, pogoda się uspokoiła, a kiedy wrócił - powoli i w mroku - czuł, że jeszcze nigdy nie miał tak wysuszonego gardła i nigdy nie był tak osłabiony. Oczy bolały go tak, jakby ktoś wcisnął mu je do czaszki. Skórę miał ściągniętą od odwodnienia i śliską od ciągłych potów. Zarazem miał wrażenie, że skóra na nim wisi, jakby nagle bardzo schudł.

Te wszystkie wrażenia docierały do niego stopniowo. Leżał bez ruchu, obserwując promień słonecznego światła, który wpadał przez okno sypialni po lewej. Promień zniknął, a potem pojawił się znowu, tym razem w oknie po prawej. Bingaman uświadomił sobie, że leżał pogrążony w półotępieniu, tymczasem słońce zdążyło przewędrować ze wschodu na zachód. Ale nie był na tyle otępiąły, by nie zauważyć, że w pokoju nic się nie zmieniło, że nadal ma na sobie tę samą koszulę i tę samą pościel co rano, że w pokoju nie ma nikogo. Nie ma Marion.

Próbował ją zawołać, ale nie miał dość siły w płucach, a gardło wysuszone na wiór i nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Spróbował jeszcze raz, ale wyszło mu tylko zwierzęce charczenie.

Marion! - myślał w rozpacz. Nie obawiał się o siebie, nie chodziło o to, że leży sam i bezradny. Martwił się o żonę. Jeśli nie zajmuje się nim, to znaczy, że nie jest w stanie tego robić, a to znaczy, że...

Od wysiłku zaczął kaszleć, aż poruszył mu się płyn w płucach. Wypuszczał powietrze przez opuchnięte oskrzela i wysuszone gardło. Mimo bólu i odrętwienia czuł się nieco lepiej. Nie miał już takiej gorączki, ból głowy nie rozsadał już czaszki, a ból mięśni trochę zelżał.

Zsunął nogi z łóżka i próbował stanąć, ale zachwiał się i opadł na podłogę. Marion! - nie przestawał myśleć. Zaczął się czołgać. Pełznąąc po podłodze, przypomniał sobie strach i determinację, jakie czuł, kiedy uczył się pływać. Jego uwagę przykuł dzbanek na stole. Chwycił się stojącego przy stole krzesła, podniósł i przechylił dzbanek do ust. Woda pociekła mu po brodzie i na koszulę nocną. Niezdarnie odstawił dzbanek na stół, uważając, żeby go nie rozbić. Woda była zbyt cenna, by mógł sobie pozwolić na jej utratę. Ale była też ciepława, zastała, a na powierzchni

zebrała się warstewka kurzu. Najwyraźniej stała tu dłuższy czas. Miał coraz gorsze przeczucia i ogarnięty przerażeniem, ponownie próbował zawołać Marion. Aż wzdrygnął się na słaby i chrapliwy dźwięk własnego głosu. Znow zaczął pełznąć.

Znalazł ją na dole, na podłodze w kuchni. Wpadł w panikę, sądząc, że nie żyje. Jęknął i wydało mu się, że słyszy echo; dopiero po chwili uświadomił sobie, że drugi jęk pochodził od niej. Dźwięk był słaby, ledwo słyszalny, ale na pewno jęknęła. Zmobilizował wszystkie siły, by podczołgać się jak najszybciej. Dotknął jej czoła i poczuł, że jest gorące. Tak! Żyje! Uznał, że przede wszystkim musi podać jej jakiś płyn. Chwytał za kuchenny blat i podciągnął się w górę. Pocił się, odkręcając kran w zlewie i napełniając miskę wodą. W ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby wziąć też łyżeczkę. W końcu wyczerpany usiadł obok Marion na podłodze, włożył jej rękę pod głowę i łyżeczką zaczął wlewać wodę między spierzchnięte wargi. Biła od niej potężna gorączka. Podczołgał się do lodówki i za pomocą szpikulca odłupał kilka kawałków lodu z na wpół rozpuszczonego bloku, jaki znalazł w zamrażalniku. Włożył kawałki do kuchennej ścierki, znow opadł na podłogę obok Marion i zaczął ocierać jej rozgorączkowaną twarz. Położył ścierkę najej czole, napił ją jeszcze wodą, a potem sam napił się prosto z miski. Miska wysliznęła mu się z rąk i upadła na podłogę. Woda oblała jego i Marion. Jęknął. Znow zakręciło mu się w głowie i osunął się na podłogę.

Stracił poczucie czasu. Kiedy odzyskał przytomność, stwierdził, że siedzi w fotelu w salonie. Marion leżała na sofie naprzeciwko, okryta pledem. Jej piersi unosiły się i opadały. Kaszła. Na stoliku przy sofie leżał kawałek czerstwego chleba i dzbanek z wodą. Ktoś nas musiał znaleźć, pomyślał Bingaman. Ktoś przyszedł i nam pomógł. Ale w ciągu następnych kilku godzin musiał pogodzić się z myślą, że się myli, że nikt do nich nie przyszedł. To on sam jakoś przeniósł Marion do salonu. To on przyniósł chleb i dzbanek z wodą.

Chleb był tak stary i czerstwy, że zanim delikatnie włożył go Marion do ust, musiał długo moczyć go w wodzie. Kiedy przełknęła kawałek, zmówił dziękczynną modlitwę. Kiedy zakasła, obawiał się, że wypluje to, co właśnie zjadła, ale nic takiego się nie stało. On sam też zjadł trochę chleba, popijając go niewiarygodnie smaczną wodą.

Znow stracił poczucie czasu. Tym razem na stoliku przy sofie spostrzegł nie chleb, lecz dżem truskawkowy i łyżeczkę. Przypomniał sobie, że widział dżem w lodówce. Marion kasła. Ocierał jej rozpalone czoło

ręcznikiem z resztkami lodu. Karmił ją dżemem. Przyłożył jej szklankę do ust. Sam napił się z drugiej szklanki. Czuł, że woda wsiąka w jego wyschnięte gardło. Ciemność. Światło.

Znów ciemność. Piwnica. Potknął się. Otworzył drzwi do głównej piwnicy. Mimo chłodu był zlany potem. Sięgnął na półkę po dwa słoiki z przetworami Marion. Zanosił się od kaszlu. Zachwiał się. Powlókł się z powrotem do kuchni. Aż skrzywił się z bólu od oślepiającego zachodu słońca. Zobaczył, że w słoikach, które z takim trudem przyniósł, są kiszzone ogórki.

Ciemność. Światło.

Ciemność. Światło.

Znów światło. Marion przestała kasłać. Bingaman później doszedł do wniosku, że ocaliła ją wrodzona energia, choć Marion upierała się, że to on ją uratował. Dzięki swoim czarom, jak je nazywała. Powiedziała mu, żeby nie był taki skromny.

- Ciii... - szepnął do niej czule. - Nie marnuj sił.

Nie miał żadnych wątpliwości, że to czary Marion w początkowej fazie jego choroby ocaliły mu życie. Tę bezwzględną chorobę można zwalczać tylko na początku. Potem los pacjenta zależy już tylko od siły jego organizmu. Teraz, kiedy na własnej skórze odczuł niszczącą siłę grypy, dziwił się, że ktokolwiek mógł mieć siłę, by się jej oprzeć.

Zresztą siła nie była decydującym czynnikiem. Być może to szczęście. Albo los. Albo wola Boga. Ale jeśli to Bóg decydował, to musiał odwrócić się od wielu ludzi. Może poprzez gripę Pan okazuje ludziom swoją dezaprobatę? Może to wojna światowa - te wszystkie karabiny, gazy łzawiące, chloryn, fosgen, gaz musztardowy, miliony ofiar - może właśnie to Mu się nie podoba?

Ale po co Bóg miałby się mścić na milionach niewinnych ludzi? To nie miało sensu.

- Doktor Bingaman. - Przestraszona pielęgniarka odsunęła się o krok. Krew odpłynęła jej z twarzy i dziewczyna była biała niemal jak jej fartuch. - To niemożliwe!

- Co, u licha...

- Mówili, że pan nie żyje!

- Nie żyję? - Bingaman zrobił kolejny krok w stronę pielęgniarki.

Ledwo powstrzymała się, by znów się nie cofnąć.

- Po tym, jak zmarli doktor Powell i doktor Talbot...

- Chwileczkę. Doktor Powell nie żyje?

- Tak. I doktor Talbot, i...

- Nie żyje. - Przeżył wstrząs. Zakręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że nastąpił nagły nawrót choroby. Oparł się o ścianę, żeby nie upaść.

Wziął głęboki oddech, stłumił kaszel i wpatrywał się w pielęgniarkę.

- Skąd pomyśl, że umarłem?

- Tak mi powiedzieli.

- Kto tak powiedział?

- Mnóstwo ludzi. Nie wiem. Nie pamiętam. Było tak strasznie. Tylu ludzi zachorowało. Tylu zmarło. Nie pamiętam już, kto żyje, a kto nie. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio spałam ani kiedy...

Z powodu własnego zmęczenia nie zauważył, jak wyczerpana jest pielęgniarka.

- Niech pani usiądzie - powiedział i uświadomił sobie, dlaczego nikt nie przyszedł do jego domu, by mu pomóc. Po co ktokolwiek miałby przychodzić, skoro wszyscy uważali, że nie żyje? Pewnie mnóstwo ludzi umarło w swoich domach. - Musi pani pójść do domu - nalegał Bingaman. - Niech pani coś zje, odpocznie.

- Nie mogę. Jest tylu pacjentów. Nie potrafię już oddzielić żyjących od umarłych. Jednych wywożę, innych przywożę. Jest tyle pracy. Muszę...

- W porządku, pozwalam pani pójść do domu. Proszę iść. Porozmawiam z Virginią. Jestem pewien, że się zgodzi.

- Nie może pan.

- Czego nie mogę?

- Porozmawiać z nią.

- Nie rozumiem.

- Virginia nie żyje.

Zabrakło mu słów. Patrzył na dziewczynę przerażony myślą, że każdy, o kim wspomni, okaże się martwy. Tyle się wydarzyło, i w tak krótkim czasie. Minęli go noszowi, niosąc zwłoki burmistrza Hallowaya.

Przyszła mu do głowy kolejna mrożąca krew w żyłach myśl.

- Jak długo? - zdołał wykrztusić.

Pielęgniarka pokręciła tylko głową, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Pytam... - znów poczuł pot na czole -jaki dzisiaj jest dzień.

- Środa - odpowiedziała.

Bingaman potarł czoło.

- Ale ja chciałbym wiedzieć... jaką mamy datę.

- Dziewiąty października. - Pielęgniarka zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc.

- Dziewiąty października? - Czuł się, jakby dostał w twarz. Aż się zatoczył.

- Doktorze Bingaman, dobrze się pan czuje?

- Miesiąc.

- Nie rozumiem.

- Ostatni dzień, jaki pamiętam... to był początek września.

- Nadal nie...

- Nie pamiętam zupełnie reszty września i... Miesiąc. Straciłem cały miesiąc. - Przerazony próbował wyjaśniać, dać pielęgniarce wyobrażenie, co to znaczy spędzić tyle tygodni na walce o oddech przez zatkane płuca, na podróżach przez wzburzone czarne morze delirium. Z trudem opisywał nieprawdopodobne pragnienie, tortury bolących kończyn i duszący ciężar na piersiach.

Mina pielęgniarki wskazywała, że chyba zaczął mówić od rzeczy. Ale to nie miało znaczenia. Bo kiedy próbował opowiedzieć, jak stracił miesiąc z życia, uświadomił sobie, że jeśli przydarzyło się to jemu, zapewne musiało się przydarzyć także innym. Wielki Boże, myślał, ilu ludzi siedzi uwięzionych w swoich domach, zbyt słabych, by odebrać telefon, o ile w ogóle mają telefon, zbyt bezradnych, by odpowiedzieć na pukanie do drzwi? Kiedy przed godziną wyszedł z własnego domu, zapukał do drzwi sąsiadów po lewej i po prawej. Nikt nie otworzył. Pustka na porośniętej wiązami ulicy była niepokojąca. Poruszone zimnym wietrzykiem liście zmieniły kolor z zieleni na jesienną żółć w ciągu zaledwie kilku dni. Tyle że teraz okazało się, że minął cały miesiąc. A sąsiedzi nigdzie nie wyjechali. Serce waliło mu jak młotem, bo zdał sobie sprawę z przerażającego faktu, że byli w środku - bezradni albo martwi.

- Jonas, wyglądasz okropnie. Musisz odpocząć - powiedział doktor Bennett. - Idź do domu. Zajmij się Marion.

- Nic jej nie jest. Z innymi jest gorzej. Nalegała, żebyśmy zajął się innymi.

- Ale...

- Jesteśmy jedynymi lekarzami w mieście! Ludzie umierają! Nie mogę pójść do domu! Jestem tu potrzebny!

Wszystkie kościoły w mieście zamieniono w szpitale. I wszystkie pękły w szwach. Na cmentarzach brakowało miejsca na groby. Grabarze nie nadążali z zasypywaniem świeżych mogił. Zwłoki leżały ułożone rzędami na łące na skraju miasta. Uzbrojone patrole pilnowały, żeby nie szarpały ich zwierzęta. Każdy członek patrolu nosił maskę z gazy i modlił się.

by nie zarazić się od zmarłych. Pogrzeby ograniczały się do członków rodziny w maskach i kapłanów, którzy spieszyli się, jak mogli, byleby zachować resztki dostojeństwa podczas żałobnej ceremonii.

- Musimy szukać dalej! - Bingaman dzielił ludzi na małe drużyny. -Kto wie, ile osób czeka na naszą pomoc? Nawet jeśli już nie żyją, trzeba ich odszukać. Istnieje ogromne ryzyko wystąpienia cholery. Dżumy. Rozkładające się zwłoki mogą wywołać kolejną epidemię.

Bingaman szedł na czele własnej drużyny i walił do drzwi. Czasami otwierała je jakaś drżąca ręka. Wychudła twarz o zapadniętych oczach była dla Bingamana dowodem, że w tym domu najgorsze już minęło. Ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, że Bingaman pojawił się w samą porę, by ich ocalić. Gdy nikt nie odpowiadał, drużyna Bingmana włamywała się do środka. Idąc za cichym kaszlem, odnajdowali nielicznych żyjących. Znacznie częściej jednak czuli tylko smród choroby i rozkładu. Znajdowano całe rodziny osób nieżyjących już od dłuższego czasu.

*Kiedy się budzę  
Kiedy zasypiam  
Grać mi się chce  
Lecz gry-pa.*

Wierszyk wciąż brzmiał Bingamanowi w głowie. Usłyszał, jak hipnotycznie, niemal w obłądnie powtarza go mała dziewczynka o wychudłych policzkach, patrząca, jak wywożą z domu zwłoki jej rodziców. Grać mi się chce, lecz gry-pa. Rytm wiersza był zaraźliwy -jak sama choroba. Powtarzał go tak długo, aż zakręciło mu się w głowie. Otworzył okno. Tak. Choroba była wszędzie. Na niebie. W powietrzu. W każdym oddechu. Bingaman wiedział, że po tym, co przeżył, powinien posłuchać rady Bennetta i odpocząć, ale choć kręciło mu się w głowie... gry-pa... zgodnie z wolą Marion nie dawał za wygraną. Chodził od domu do domu i służył zarówno żyjącym, jak i zmarłym. Gry-pa. Nie poddawał się, bo doszedł do wniosku, że jeśli choroba to kara boska, jest także szansą ofiarowaną przez Boga, by uczynić świat lepszym, by wykorzenić zło i pracować na rzecz zbawienia.

Drużyna Bingamana wyważyła drzwi i przeszukiwała stęchłe cienie. Parter, piętro, piwnica i strych. Tu nikomu nie musieli pomagać. Nie znaleźli nikogo: ani żywego, ani martwego.

Szczęśliwi, że mogli wyjść na zewnątrz, szurali butami po zeschniętych liściach.

- Nie sprawdzaliśmy jeszcze tego domu.
- Nie ma potrzeby - odparł Bingaman.
- Dlaczego?
- Bo to mój dom.
- Ale skąd ten smród?
- Nie rozumiem, o czym mówicie.
- Dochodzi z...
- Z kolejnego domu - przerwał Bingaman.
- Nie, z tego. Z pana domu.
- Nonsens. Niczego nie czuję.
- Chyba jednak powinniśmy zajrzeć.
- Stójcie.
- Drzwi są zamknięte.
- Nie wchodźcie tam.
- Tu na werandzie śmierdzi jeszcze bardziej. Proszę nam dać klucz.
- Wynoście się z mojego domu!
- Story są zasłonięte. Nic nie widać przez okna.
- Powtarzam, wynoście się!
- Ten smród to... Niech ktoś mi pomoże wyważyć drzwi.

Mimo krzyków Bingamana wyważyli drzwi. Smród dochodził z salonu i był tak silny, że kilku mężczyzn zwymiotowało. Żona Bingamana nie żyła od sześciu tygodni. Rozdęte od gazów zwłoki nosiły ślady rozmazanego dżemu truskawkowego i olejku kamforowego. W ustach miała tyle pigułek aspiryny i chininy, że aż wypychały jej policzki i nie pozwalały domknąć się zębom. Między wargami tkwił kiszony ogórek. Obnażone plecy kobiety przypominały poduszkę do igieł, tyle że nie były to igły do szycia, lecz grube igły, które Bingaman wkładał między żebra, za wszelką cenę próbując wydobyć z płuc płyny, które w końcu ją uduśliły. W kilku wiadrach znajdowała się cuchnąca żółta ciecz.

- Marion - Bingaman zaczął gładzić włosy żony. - Przepraszam. Próbowałem ich powstrzymać. Wiem, jak bardzo lubisz drzemać. Może po prostu znów zaśnij.

Szczyt pandemii zbiegł się w czasie z zawieszeniem broni w Europie i deklaracją pokojową podpisaną jedenastego listopada 1918 roku. Po tem armie rozwiązano, a wyczerpani żołnierze zaczęli długą podróż powrotną do domów. Nie przywieźli ze sobą grypy, która mogłaby wzmocnić atak już obecnych mikrobów. Wręcz przeciwnie, wbrew wszelkiej logice zaraza zaczęła wygasać i pod koniec 1919 roku, w samym środku zimy, pandemia dobiegła kresu. Cierpiało jeszcze tylko kilka odległych



obszarów, takich jak wyspy Pacyfiku czy osady gdzieś w dżunglach. Poza tym grypa hiszpanka, która obiegła świat, nie oszczędzając nikogo, od wiosek Eskimosów po europejskie metropolie, wygasła.

Twarz Bingamana już nigdy nie odzyskała dawnej wesołości, stracił też resztki włosów. Teraz odpoczywał, podobnie jak inni, którzy przeżyli. W dwunastotysięcznym Elmdale zachorowało osiem tysięcy osób, z tego dwa tysiące zmarło. Pozostałe cztery tysiące musiało pracować non stop, opiekując się chorymi i grzebiąc zmarłych. Część odmawiała jakiegokolwiek pomocy w obawie przed zakażeniem. Kiedyś będą musieli rozliczyć się z Bogiem.

Ludzkość przeszła próbę. Ocenia się, że podczas wielkich epidemii czarnej śmierci w średniowiecznej Europie zmarło dwadzieścia pięć milionów osób. W ciągu pięciu lat wielkiej wojny zginęło około ośmiu i pół miliona ludzi. Tę ostatnią liczbę Bingaman poznał podczas długich nocnych rozmów z radioamatorami z Ameryki i Europy. Liczbę ofiar najnowszej epidemii grypy szacowano aż na pięćdziesiąt milionów. Co jeszcze bardziej zaskakujące, oceniano, że łączna liczba zarażonych chorobą sięgnęła dwustu milionów. To jedna dwudziesta całej populacji świata. Gdyby pandemia nadal rozwijała się w tak zastraszającym tempie, do wiosny 1920 roku wyginąłby cały ludzki gatunek. Słuchając kolegów radioamatorów z kraju i całego świata, Bingaman podzielał ich poczucie bezradności i straty. Ale podobało mu się też światełko nadziei przebijające z niektórych wypowiedzi. Owszem, śmietanka amerykańskiej i europejskiej młodzieży zginęła na wojnie. To, co nie udało się wojnie, udało się grypie - dokonała podobnego przesiewu w innych grupach wiekowych. Społeczeństwo zostało przetrzebione.

A jeśli... kilka osób podniosło ten temat, wspominając dzieła Karola Darwina... a jeśli pandemia była sposobem naturalnej selekcji i przetrwali jacytko najsilniejsi, czy ludzkość nie będzie dzięki niej lepsza, nie poprawi się genetycznie? Taki materialistyczny sposób myślenia był Bingamanowi całkowicie obcy. Dość nasłuchał się o darwinizmie, by wiedzieć, że opiera się on na teorii przypadkowych wydarzeń, że jest to pogląd ateistyczny i wielbiący przypadek. Dla Bingamana nie istniało coś takiego jak przypadek czy zbieg okoliczności. Wszystko jest przecież częścią wielkiego kosmicznego planu i ma swój ostateczny cel. A każda teoria, która pomija Boga, jest nie do przyjęcia. Istniała jednak inna teoria, z którą skłonny był się zgodzić i która dawała mu nadzieję - że owa plaga, jeden z jeźdźców Apokalipsy, stanowiła Boże ostrzeżenie dla ludzkości. Bóg ostrzegł tych, którzy przeżyli, że są grzeszni, i dał im możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

- To jak wojna - powiedział do Marion, która weszła do jego gabinetu trzy tygodnie po pogrzebie. Spojrzał na nią przez łzy i uśmiechnął się. Od

tamtego czasu cały czas do niej mówił. - Przez grypę Bóg ostrzegł nas, że nie powinno być więcej takiej wojny. Przecież tak ją nawet nazwali: wojna, która ma zakończyć wszelkie wojny. Jestem przekonany, że to dla nas szansa, by wybiec myślą naprzód. Marion nie odpowiedziała.

- Czytałem też o ruchu, który domaga się, by wprowadzić do konstytucji poprawkę nakazującą prohibicję - ciągnął Bingaman. - Kiedy po zamykano bary, żeby powstrzymać epidemię grypy, stało się oczywiste, że społeczeństwo ma się bez nich lepiej. Ludzie przejrzeni na oczy. I bary pozostaną zamknięte.

Marion wciąż milczała.

- I coś jeszcze - mówił Bingaman. - Sama wiesz, że zawsze próbuję być optymistą. Jestem przekonany, że społeczeństwo na wiele innych sposobów skorzysta na tej wyniszczającej epidemii. Staaliśmy wszyscy na krawędzi śmierci, więc teraz będziemy bardziej doceniać życie, szanować je, staniemy się lepsi. Kończy się ta dekada, zaczyna się nowa. Nowy początek. Z fascynacją będę obserwował, jak będziemy się otrząsać z tego piętna śmierci.

Marion nadal nie powiedziała ani słowa.

- Martwi mnie jedno - rzekł Bingaman. - Wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że pewien uczony z Nowego Jorku odkrył, że grypy nie wywołują bakterie, tylko wirus. Teoretycznie taka informacja powinna ułatwić opracowanie leku. Normalnie tak by było. - Zmarszczył brwi. - Powinniśmy móc opracować szczepionkę. Ale nie w tym przypadku. Ten naukowiec odkrył też, że wirus grypy stale mutuje. Jakakolwiek szczepionka mogłaby być skuteczna tylko na krótko. Ciągłe zmieniający się wirus powracałby w coraz to nową, jeszcze bardziej śmiertelną postaci. Albo pojawiłby się jakiś jeszcze inny, gorszy wirus.

Po raz pierwszy Marion się odezwała:

- Niech nas Bóg ma w swojej opiece. - Zakasłała. Na jej sinoczerwonych ustach pojawiły się kropelki śliny z krwią.

Bingaman wzdrygnął się. Obawiał się, że straci japo raz drugi, że tragedia będzie się powtarzać bez końca.

- Tak, właśnie o to chodzi. O akt wiary. Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Pamiętasz, jak bardzo staraliśmy się o dzieci, jak bardzo byliśmy rozczarowani, kiedy się okazało, że nie możemy ich mieć? Powiedzieliśmy sobie, że Bóg dał nam brzemię, by sprawdzić naszą wiarę. Być może wyszło nam to na dobre. - Zaszlochał, kiedy obraz Marion się rozplynął. - Nie zniósłbym utraty kogokolwiek innego.

Za oknem gabinetu zaczął padać śnieg. Mroźny wiatr hulał między szkieletami więzów, strącając z nich ostatnie żółte liście.

## Groza Rio Grandę

*Ta minipowieść została napisana do innej antologii Ala Sarrantonio: 999 - New Stones of Horror and Suspense (999 - Nowe opowieści grozy) z 1999 roku. Bardzo lubię tworzyć fikcję literacką ściśle związaną z miejscem, w którym rozgrywa się akcja. Kiedy mieszkałem w Iowa City, napisałem sporo opowiadań o rozrastaniu się Środkowego Zachodu. Gdy przeprowadziłem się do Santa Fe w Nowym Meksyku, zainteresowały mnie literackie możliwości tego, co miejscowi nazywali Krainą Czarów oraz Odmiennym Miastem. Groza Rio Grandę zaczyna się kilka przecznic od mojego domu i zajmuje zjawiskiem, które zacząłem zauważać mniej więcej dziesięć lat temu: leżącymi na środku drogi, co dzień innymi, butami. Później odkryłem, że nie jest to ciekawostka występująca jedynie w Santa Fe. Zjawisko zaczęto obserwować w społecznościach w różnych miejscach USA. Sprawą interesują się miłośnicy teorii spiskowych.*

Romero jechał Old Pecos Trail w stronę miasta. Minął stojący po lewej stronie Woman's Club z fasadą obudowaną kostkami suszonej na słońcu gliny i wznoszący się z prawej kościół baptystów. Kiedy dotarł na szczyt wzgórza, na żółtym pasie rozdzielającym jezdnie zobaczył buty do joggingu. Zjechał na piaszczyste pobocze i wysiadł z radiowożu.

Zatknął kciuki za skórzany pas z bronią i nie zwracając uwagi na ryk przejeżdżających samochodów, wpatrywał się w buty. Były związane sznurkami, z tyłu miały metkę Nike. Jeden przewrócił się na bok, ukazując startą podeszwę. Romero dałby głowę, że poprzedniego dnia ich tu nie było. Ale zaraz... wczoraj w tym samym miejscu leżały skórzane sandały. A przedwczoraj chyba damskie pantofle na wysokim obcasie. Nie

pamiętał dokładnie, był jednak pewien, że jakieś buty leżały tu także przedwczoraj. Dziwne...

Poczekał, aż w strumieniu aut zrobi się przerwa, wszedł na środek jezdni i wbił wzrok w buty, jakby próbował rozwiązać skomplikowaną szaradę. Zaabsorbowany, ledwie zwracał uwagę na mijające go samochody. Dopiero gdy tuż koło niego śmignęła rozpędzona ciężarówka, uznał, że powinien zejść z jezdni. Wyciągnął zza pasa palkę, wsunął ją pod węzeł na sznurowadłach i podniósł buty. Zaczekał, aż minie go kolejny pędzący samochód, tym razem minivan, po czym wrócił do radiowozu. Otworzył bagażnik i wrzucił buty do środka. Pewnie to samo stało się z poprzednimi -jakiś pracownik służb komunalnych sprzątnął porzucone buty. Była połowa maja, pełnia sezonu turystycznego, nie można więc dopuścić, żeby przyjezdni oglądali walające się po ulicach śmiecie. Romero postanowił, że gdy tylko wróci na komisariat, wyrzuci buty do śmietnika.

Następny pikap, który przemknął przez szczyt wzniesienia, pędził co najmniej dziewięćdziesiątką. Romero wszedł do wozu i ruszył na sygnale. Zatrzymał kierowcę, gdy ten stanął na czerwonym świetle przy Córdova Street.

Romero miał czterdzieści dwa lata. W policji Santa Fe pracował od piętnastu, ale roczna pensja w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów nie wystarczała na kupno domu w mieście, gdzie ceny były astronomiczne. Mieszkał więc w Pecos - trzydzieści kilometrów na północny wschód od Santa Fe. Niewielki, lecz przytulny dom należał najpierw do jego dziadków, potem do rodziców, a po ich śmierci - zabił ich pijany kierowca, który jechał niewłaściwą stroną autostrady między stanowej - stał się własnością Romero. Znajdował się w okolicy do niedawna cichej i spokojnej, teraz jednak skutecznie zatruwanej przez spaliny tysięcy samochodów parkujących przed hipermarketem, który zbudowano pół roku temu ledwie przecznicę dalej. Romero ożenił się w wieku lat dwudziestu. Jego żona pracowała w Pecos w biurze agenta Allstate Insurance, a dwudziestodwuletni syn pozostawał na utrzymaniu rodziców. Każdego ranka Romero awanturował się z synem, chcąc go zmusić do poszukania sobie pracy, ale jedynym efektem była kłótnia z żoną, która twierdziła, że jest nazbyt surowy dla chłopaka. W rezultacie dzień w dzień małżonkowie wychodzili z domu, nie odzywając się do siebie. Z powodu spożywania nadmiernych ilości dań na wynos i zbyt wielu godzin spędzanych za kierownicą, Romero, dawniej wysportowany i atletyczny gwiazdor szkolnej drużyny futbolowej, miał teraz nalaną twarz i pokaźny brzuch. Tego poranka zauważył, że siwieją mu skronie.

Właśnie wręczał mandat kierowcy pikapa, gdy wezwano go do włamania. Potem odstawił do aresztu złodzieja damskich torebek, którego udało mu się złapać, i przerwał bójkę dwóch skłóconych sąsiadów, którzy przypadkiem spotkali się na parkingu przed restauracją. Gdy wrócił na komisariat, nie pamiętał o butach. Zajął się pisaniem raportów, które musiały być gotowe na odprawę kończącą zmianę. Po odprawie był tak wykończony, że zamiast pojechać do domu, gdzie czekałaby go tylko kolejna awantura, skoczył z kolegą na piwo. Do domu wrócił o dziesiątej. Żona już spała, a syn wyszedł gdzieś z przyjaciółmi. Włączył telewizor i zjadł zimną kolację, oglądając jakąś starą komedię, która w ogóle go nie śmieszyła.

Kiedy następnego dnia wjechał na wzgórze przy kościele baptystów, od razu zauważył na pasie rozdzielającym jezdnie porzucone mokasyny. Skręcił ostro na pobocze, wysiadł z radiowozu, poszedł na środek ulicy i podniósł buty. Wrzucił mokasyny do bagażnika obok adidasów z poprzedniego dnia.

- Buty? - zdziwił się w komisariacie dyżurny sierżant. - O czym ty gadasz?
- Na Ołd Pecos Trail. Co rano leży tam para butów.
- Musiały wypaść ze śmieciarki.
- Codziennie? I zawsze właśnie buty? Poza tym te, które znalazłem dziś, są prawie nowe.
- Może ktoś się przeprowadzał i spadły z paki pikapa?
- Te mokasyny to Cole Haliny. Takich butów nie rzuca się na wierzch sterty rzeczy przewożonych pikapem.
- Czym ty się zajmujesz? To tylko buty. Może ktoś robi sobie jaja?
- Ale po co?
- Żeby się ludzie zastanawiali, skąd się biorą buty na ulicy. Tak jak ty się zastanawiasz. Głupi dowcip, ale sam widzisz, że działa.
- Taa - mruknął Romero. - Po prostu głupi dowcip.

Następnego dnia na środkowym pasie leżała para znoszonych butów roboczych firmy Timberland. Romero nie był zaskoczony ich widokiem. Spodziewał się, że zobaczy buty, i zastanawiał się tylko, jakie tym razem.

To chyba rzeczywiście głupi dowcip, pomyślał. I działa. A tajemniczy zartowniś jest okropnie uparty. Komu, u licha, chciałoby się...

Postanowił rozwiązać zagadkę. Między wezwaniem do wypadku drogowego na St. Francis Drive, którego sprawca zbiegł, a włamaniem do galerii sztuki przy Canyon Road kilka razy jeździł na szczyt wzgórza,

żeby sprawdzić, czy pojawiły się następne buty. Miał już pewien plan, dobry, ale tylko jeśli dowcipniś podrzuca buty w nocy. Jeżeli w dzień, cały pomysł na nic. Odetchnął z ulgą, kiedy podczas ósmej wizyty na szczycie wzgórza nie zobaczył nowych butów. Uznał, że ma szansę.

Najsilniejszą stroną jego planu była prostota. Wymagał tylko cierpliwości, a tej mu nie brakowało. Poza tym stanowił znakomity pretekst, aby wrócić później do domu. Tak więc Romero kupił w McDonalddie podwójnego hamburgera z frytkami, colą i dwie duże kawy i po zapadnięciu zmroku ruszył w kierunku Old Pecos Trail. Jechał prywatnym samochodem, pięcioletnim granatowym dżipem cherokee -nie chciał zwracać na siebie uwagi. Z parkingu kościoła baptystów miałby znakomity widok na Old Pecos Trail, ale w nocy, jako jedyny wóz na parkingu, byłby tam podejrzany. Naprzeciwko kościoła do głównej drogi dochodziła East Lupita Road - cicha ulica willowa. Gdyby tam stanął, niewidziany z Old Pecos, a miałby dobry widok na przejeżdżające nią samochody.

Uznał, że to może zadziałać. Na Old Pecos Trail paliły się uliczne latarnie, East Lupita była jednak nieoświetlona, siedział więc w ciemności, pojadał hamburgera i frytki, pił kawę i colę i przyglądał się uważnie szczytowi wzniesienia. Był spory ruch i światła przejeżdżających samochodów utrudniały mu zadanie. Po każdym samochodzie wbijał wzrok w interesujące go miejsce na środku ulicy, często jednak ledwie wyostrzył spojrzenie, oślepiły go następne reflektory i musiał jeszcze bardziej wyteżać wzrok, aby dostrzec, czy coś tam zostało rzucone. Prawą rękę trzymał na kluczykach, a stopę na pedale gazu, gotowy w każdej chwili zapalić silnik i ruszyć. Dla odprężenia co piętnaście minut włączał radio - na kilka minut, aby nie wyczerpać akumulatora. Po jakimś czasie ruch na Old Pecos Trail osłabł, co znacznie ułatwiało obserwację. Po wiadomościach o jedenastej, których głównym tematem był pożar w sklepie w centrum handlowym przy De Vergas, dotarło do niego, że wspaniały plan miał słaby punkt.

Musiał iść do toalety.

Był w niej, kiedy kupował jedzenie.

Ale potem wypił dwie kawy.

Mógłby się wysikać do kubka po którymś z napojów, ale zgniótł wszystkie trzy, żeby zmieściły się do torebki po hamburgerze i frytkach. Zaczynał go boleć pęcherz. Przejechał kolejny samochód. Nie wyrzucono butów. Ścisnął uda. Kolejne światła. Nie było butów. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zapalił światła i pojechał do najbliższej publicznej toalety, znajdującej się pięć przecznic dalej na całodobowej stacji benzynowej przy St. Michaels Drive.

Kiedy wrócił, na środku ulicy leżała para kowbojek.

- Jest prawie pierwsza! Dlaczego wracasz tak późno?

Romera opowiedział żonie o butach.

- Buty? Oszalałeś?

- Nigdy nie ciekawiło cię rozwiązanie żadnej zagadki?

- Owszem, jestem ciekawa, czy naprawdę uważasz mnie za idiotkę, która uwierzy, że wracasz o tej porze do domu z powodu paru starych butów porzuconych na ulicy. Masz kochankę, tak?

- Marnie wyglądasz - stwierdził sierżant.

Romera z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Balowałeś całą noc? - zażartował sierżant.

- Chciałbym.

Sierżant spoważniał.

- O co chodzi? Kolejne kłopoty w domu?

Romera chciał opowiedzieć mu o wszystkim, pamiętał jednak reakcję sierżanta podczas ich pierwszej rozmowy. Było jasne, że nie wywołałby w nim entuzjazmu. Wręcz przeciwnie.

- Tak, kłopoty w domu - odparł.

Sam musiał przyznać, że to, co zrobił minionej nocy, było co najmniej dziwne. Siedzieć przez trzy godziny w samochodzie, czekając na... Jeżeli ten zartownis zamierzał w dalszym ciągu wyrzucać buty na ulicę, to co go to obchodzi? Niech sobie wyrzuca. Po co mam marnować czas, próbując go złapać? Było dużo prawdziwych przestępstw, wymagających dochodzenia. Poza tym o co można by tego gościa oskarżyć? O zaśmiecanie miasta?

Tego dnia Romera starał się nie zbliżać do Old Pecos Trail. Kilka razy bez trudu mógłby przejechać z jednego miejsca śledztwa na drugie obok interesującego go wzniesienia, ale celowo wybierał inne trasy. Tłumaczył sobie, że musi skupić się na tym, co ważne.

Pod koniec zmiany dopadło go zmęczenie spowodowane brakiem snu minionej nocy. Wyszedł z pracy wykończony. W nadziei, że uda mu się spędzić spokojny wieczór w domu, włączył się do sznura samochodów na Cerillos Road, dotarł do międzystanowej dwudziestej piątej i skierował się na północ. Pomyślał, że za niecałe pół godziny położy stopy na podnóżku i będzie pił piwo. Minał zjazd na St. Francis Drive. Znak drogowy informował, że następny zjazd, na Old Pecos Trail, będzie za trzy kilometry. Wyparł tę informację ze świadomości, podziwiał zachód słońca i myślał o piwie, które już niedługo wypije. Włączył radio. W prognozie

pogody podano, że najwyższa temperatura dnia wyniosła dwadzieścia cztery stopnie, co jest typowe dla połowy maja, zbliża się jednak zimny front i w nocy będzie zaledwie pięć stopni, mogą nawet wystąpić przygruntowe przymrozki na niżej położonych terenach. Spiker radził przykryć wszystkie niedawno zakupione rośliny i...

Romero zjechał na Old Pecos Trail.

Chciał tylko rzucić okiem i zaspokoić ciekawość. W niczym to nikomu nie zaszkodzi. Kiedy wjeżdżał na wzgórze, stwierdził ze zdziwieniem, że serce bije mu nieco szybciej. Naprawdę spodziewam się znaleźć następne buty? Zaczyna mnie złościć, że cały dzień kręciłem się w okolicy i nie podjechałem sprawdzić? Wziął głęboki wdech...

Wypuścił powietrze, kiedy zobaczył, że na ulicy nic nie leży. No i proszę, warto było sprawdzić. Gdybym przyjeżdżał tu w czasie pracy, tylko marnowałbym czas. Mogę teraz spokojnie jechać do domu.

Ale gdy siedział z żoną przed telewizorem, pojadając kurczaka z KFC (syn poszedł gdzieś z kumplami), czuł niepokój. Był pewien, że ten, kto wyrzucił buty - kimkolwiek był - zrobi to znowu. I pomyśli sobie, że go przechytrzył. Mnie? - upomniał się w duchu. Przecież mnie nie zna. No cóż, uzna, że przechytrzył tego, kto zbiera buty. Na jedno wychodzi.

Piwo, na które Romero tak się cieszył, smakowało jak stęchła woda.

Następnego dnia na środkowym pasie leżała para beżowych damskich trzewików. Romero zatrzymał poranny ruch, zabrał buty i wrzucił je do bagażnika, obok poprzednich par. Skąd facet bierze te buty? Trzewiki są prawie nowe. Tak jak mokasyny z przedwczoraj. Kto wyrzuca prawie nowe buty - nawet dla żartu?

Kiedy Romero skończył zmianę, zadzwonił do żony i powiedział, że musi zastąpić chorego kolegę. Podgonił trochę papierkową robotę i pojechał do Pizza Hut, gdzie kupił na wynos średnią pizzę pepperoni z grzybami i czarnymi oliwkami. Wziął też colę i dwie duże kawy, tym razem jednak był przygotowany - miał ze sobą czterolitrową plastikową butelkę, do której będzie mógł oddawać mocz. Przygotował też walkman ze słuchawkami, żeby nie używać radia i nie martwić się o akumulator.

Pewien, że o niczym nie zapomniał, pojechał na punkt obserwacyjny na East Lupita. Zaparkował przy rogu, nieopodal kościoła, którego dzwonnica przypominała mu misyjne pueblo. Za kościołem widać było górę Sun i grań Atalaya, których zbocza zalewało krwiste światło zachodzącego słońca.

Romero założył słuchawki walkmana i przełączył go z płyty CD na radio. Znalazł program, do którego mogli dzwonić słuchacze. (Czyżby



środowisko naprawdę było aż tak bardzo zagrożone jak twierdzą ekolodzy?). Popijał colę, pogryzał pizzę i obserwował mijające go auta.

Godzinę po zapadnięciu zmroku stwierdził, że jednak o czymś zapominał. W prognozie pogody z poprzedniego dnia ostrzegano o spadku temperatury i możliwości wystąpienia przymrozków. Faktycznie - Romero zaczął czuć coraz większy chłód. Na szczęście miał ciepłą kawę. Objął się ramionami, żałując, że nie wziął ze sobą cieplejszej kurtki. Wkrótce przednia szyba zaparowała i musiał ją przetrzeć. Opuścił boczną szybę, żeby usunąć skraplającą się parę oddechu. Szyba przestała zachodzić, ale za to w samochodzie zrobiło się tak zimno, że zaczął drzeć. Włączył silnik, aby rozgrzać wnętrze dzipa.

Minęła jedenasta. Dwie noce temu mniej więcej o tej samej porze musiał pojechać do toalety. Kiedy wrócił po dwudziestu minutach, znalazł kowbojki. Jeżeli ten, kto wyrzucił buty, kierował się jakimś schematem, istniała spora szansa, że coś się wydarzy w ciągu najbliższej półgodziny.

Cierpliwości.

Tak samo jak poprzednim razem, kawa i cola w końcu zrobiły swoje. Na szczęście zadbał o rozwiązanie tego problemu. Wziął z fotela pasażera pustą butelkę, ustawił pod kierownicą i zaczął opróżniać pęcherz. Gdy kilka sekund później kątem oka spojrzął we wsteczne lustro, oślepiły go reflektory zbliżającego się samochodu.

Choć był pewien, że jego kierowca nie mógł zauważyć, co się dzieje w stojącym przed nim dzipie, poczuł się na tyle skrępowany, że przerwał siusianie, zakręcił butlę i odstawił ją na podłogę.

Jedź! - pogańiał przybysza. Parcie na pęcherz nie osłabło ani na jotę i czuł, że szybko musi dokończyć to, co zaczął.

Światła zatrzymały się tu za nim.

Co to ma znaczyć?

Po chwili na dachu samochodu z tyłu zaczęły wirować niebieskie i czerwone światła i Romera zrozumiał, że stoi za nim radiowóz. Zaciskając nogi, opuścił boczną szybę i położył obie dłonie na kierownicy. Zbliżający się funkcjonariusz, nie mając pojęcia, kto siedzi w środku ani co go czeka, na pewno będzie z tego powodu zadowolony.

Na zwirowej nawierzchni zazgrzytały podeszwy. Wnętrze samochodu Romero wypełnił strumień światła z policyjnej latarki - omiół puste pudełko po pizzy, na dłuższą chwilę zatrzymał się przy plastikowej butelce.

- Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

Romero rozpoznał głos.

- W porządku, Tony. To ja.

- Kim pan... Gabe?
  - We własnej osobie.
  - Co ty tu robisz? Mieliliśmy kilka zgłoszeń o podejrzanym osobniku, który siedzi w samochodzie, jakby obserwował okoliczne domy.
  - To tylko ja.
  - Dwa dni temu to też ty byłeś?
  - Tak.
  - Wtedy też mieliśmy zgłoszenia, ale zanim się zjawiliśmy, podejrzany samochód zniknął. Co tu robisz?
  - Czekam na podejrzanego.
  - Nic nie wiem o żadnej akcji. Co się dzieje?
- Romero uznał, że podanie prawdziwego powodu nie wchodzi w grę.
- Było kilka prób włamania do kościoła. Stoję tu, bo złodziej może znowu się pojawić.
  - Człowieku... siedzieć tu całą noc... ale cholerne zadanie ci dali.
  - Żebyś wiedział.
  - Cóż, w takim razie spadam, zanim ściągnę na ciebie jeszcze więcej uwagi. Udanego polowania.
  - Dzięki.
  - Ale następnym razem powiedz dowódcy zmiany, żeby nas zawiadomił, co jest grane, żebyśmy niczego nie spaprali.
  - Powiem mu - zapewnił Romero.

Policjant wrócił do radiowozu, wyłączył migające na dachu koguty, pomachał Romero i skręcił w Old Pecos Trail. Romero natychmiast złapał butlę i zaczął sikać. Trwało to przynajmniej dwie minuty. Kiedy skończył, opadł z ulgą na oparcie fotela. Jego odprężenie potrwało tylko do chwili, aż skierował wzrok na odpowiedni odcinek Old Pecos Trail.

Wypadł z samochodu i klnąc, ruszył biegiem w kierunku leżącej na środku ulicy pary męskich butów -jak się okazało, firmy Rockport.

- Powiedziałeś Tony'emu Ortedze, że zostałeś wyznaczony do obserwacji kościoła baptystów?

Romero z wahaniem skinął głową.

- Co to za bzdety? Nikt cię nigdzie nie posyłał. Siedzisz całą noc w samochodzie i denerwujesz ludzi. Jeżeli nie masz dobrego wyjaśnienia...

Romero nie miał wyboru.

- Buty.

- Co?

- Buty, które ciągle znajdują na Old Pecos Trail.

Sierżant wysłuchał historii, z każdą chwilą coraz bardziej wybalusząc oczy.

- Masz za mało roboty? Chcesz jeszcze poświęcać wolny czas na jakieś zwariowane...
- Wiem, że to trochę niezwykle.
- Trochę?!
- Ktokolwiek wyrzuca te buty, w coś gra.
- A ty masz ochotę też w to pograć.
- Słucham?
- On zostawia na ulicy buty. Ty je zabierasz. On zostawia następne buty. Tyje zabierasz. Grasz w jego grę.
- Nie, to nie tak.
- A jak? Posłuchaj mnie: przestań kręcić się po tej ulicy. Ktoś mógłby cię zastrzelić za natręctwo.

Kiedy Romero kończył zmianę, przed jego szarką leżała sterta kilkunastu starych butów. W jadalni ktoś się roześmiał.

- Nazywam się Romero, proszę pani, i jestem z policji. Minionej nocy i dwie noce wcześniej chyba trochę panią zdenerwowałem. Siedziałem w samochodzie i obserwowałem kościół po drugiej stronie ulicy. Zgłoszono nam, że ktoś może się próbować do niego włamać. Wygląda na to, że pomyślała pani, że to ja jestem włamywaczem. Chciałem tylko zapewnić, że kiedy siedzę tu w samochodzie, okolica jest całkowicie bezpieczna.

- Nazywam się Romero i jestem z policji, proszę pana. Obawiam się, że trochę pana zdenerwowałem minionej nocy i dwie noce wcześniej...

Tym razem całkowicie panował nad sytuacją. Nie miał coli ani kawy, pod siedzeniem trzymał jednak, tak na wszelki wypadek, plastikową butlę. Wziął też ciepłą kurtkę, choć nocne temperatury znacznie wzrosły. Próbował także lepiej się odżywiać -jadł burrito grandę con poilo z Felipe's, najlepszej w mieście meksykańskiej restauracji z daniami na wynos. Oparł się wygodnie i słuchał przez słuchawki walkmana audycji radiowej, do której słuchacze mogli dzwonić. W dalszym ciągu krążono wokół problemów ochrony środowiska: „Człowieku, kiedy byłem dzieciakiem, pływałem w rzekach. Jadłem ryby, które w nich złapałem. Musiałbym oszaleć, żeby robić coś takiego dziś”.

Zapadł zmrok. Old Pecos Trail pustoszała. Romero przygotował się na kilka godzin czekania. Prawdopodobnie nic się nie wydarzy do „zwykłej” pory -tuż po jedenastej. Słuchawki walkmana uciskały mu skronie. Zdjął je i zaczął poprawiać ustawienie, kiedy z lewej, od strony miasta,

przemknęły światła reflektorów. Równocześnie drugie światła przemknęły z prawej - w kierunku miasta. Romero miał opuszczoną boczną szybę. Przez warkot dwóch silników usłyszał głuchoe łąpienie, zaraz potem następane. Oba samochody zniknęły i dopiero po chwili dotarło do niego, że wpatruje się w leżące na ulicy buty do górskich wędrowek.

Jasna cholera!

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wcisnął pedał gazu. Samochód ruszył gwałtownie, spod tylnych kół poleciały kamyki i ziemia. Kiedy dotarł do Old Pecos Trail, musiał podjąć decyzję. Za którym samochodem jechać? Za prawym czy za lewym?

Nie miał prawa działać poza miastem. Więc w lewo! Pomknął za znikającymi tylnymi światłami. Droga opadała, potem znów się wznosiła aż do światel przy Cordova. Właśnie były czerwone i Romero miał nadzieję, że takie pozostaną, kiedy jednak zbliżył się do samochodu na tyle, aby rozpoznać, że to duży pikap, światła zmieniły się na zielone i kierowca przed nim ruszył.

Cholera jasna!

Romero miał na fotelu pasażera koguta. Wystawił go na dach, włączył i mocniej wcisnął pedał gazu. Niemal przefrunął przez skrzyżowanie. Zajechał pikapa od tyłu, zatrąbił, a kiedy kierowca zaczął zwalniać i zjeżdżać do krawężnika, pokiwał głową.

Romero był w cywilnym ubraniu, ale w kaburze przy pasku miał służbową beretę 9 mm, a do dżinsowej kurtki przypiął policyjną blachę. Oświetlił latarką ładunek kamieni leżący z tyłu pikapa i podszedł do kierowcy.

- Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- W czym problem, panie oficerze? - Kierowca, młody biały mężczyzna, był szczupły, miał krótkie jasne włosy i roboczą koszulę w czerwono-brązową kratę. Choć siedział, widać było, że jest wysoki.

- Za szybko przejechał pan przez wzgórze przy kościele.

Młody człowiek spojrział za siebie, jakby chciał sprawdzić, czy przejeżdżał przez jakieś wzgórze.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - powtórzył Romero.

- Na pewno nie jechałem szybciej niż dozwolone - powiedział młodzieniec. - Jest tam ograniczenie do sześćdziesięciu, prawda? - Podał Romero prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Romero przeczytał nazwisko.

- Lukę Parsons.

- Tak, proszę pana. - Głos młodzieńca brzmiał nieco piskliwie, był w nim ton uprzejmej grzeczności.

- Dillon w Nowym Meksyku, skrzynka pocztowa numer dwadzieścia pięć?

- Tak, proszę pana. To mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów na północ stąd. Za Espanolą, Embudo i...

- Wiem, gdzie jest Dillon. Co pana do nas sprowadza?

- Sprzedaję na straganie przy międzystanowej kamienie porośnięte mchem.

Romero skinął głową. Leżące w tyle samochodu kamienie były cenione z powodu możliwości wykorzystania w architekturze ogrodowej. Mech sprawił, że po deszczu nabierały ciekawych, przygaszonych barw. Ludzie zbierali je w górach, po czym sprzedawali na polanie przy wiejskiej drodze biegnącej równoległe do międzystanowej - razem z budkami dla ptaków, belkami podsufitowymi, drewnem do kominka, a w sezonie także warzywami.

- I przyjeżdża pan aż z Dillon, żeby sprzedawać omszałe kamienie?

- Muszę jeździć tam, gdzie są klienci. O co właściwie...

- Sprzedaje pan po zmroku?

- Czekam do zmroku na wypadek, gdyby zdecydowali się zatrzymać i coś kupić ludzie wychodzący z Harry's Road House albo z leżącej kawałek dalej restauracji ze stekami. Potem idę do Harry'ego i coś jem. Uwielbiam jego warzywa z grilla.

Romero nie spodziewał się takiego przebiegu rozmowy. Oczekiwał, że kierowca, zrozumiałwszy, że przegrał, zacznie się czuć nieswojo. Grzeczność młodzieńca była jednak rozbijająca.

- Chciałem porozmawiać o butach, które wyrzuci pan z samochodu. Za coś takiego grozi wysoka grzywna...

- O butach?

- Robi to pan od kilku dni. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego...

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi, panie oficerze.

- O butach, przy których wyrzucaniu na ulicę pana zaobserwowałem.

- Proszę mi uwierzyć, kogokolwiek pan przy czymś takim widział, nie byłem to ja. Dlaczego miałbym wyrzucać buty na ulicę? - chłopak był szczerze zdumiony.

Cholera, pomyślał Romero, pojechałem za niewłaściwym samochodem.

Oddał chłopakowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- Przepraszam, że pana niepokoiłem.

- Nie ma sprawy, panie oficerze. Wiem, że musi pan wykonywać swoją pracę.

- Wraca pan jeszcze dziś do Dillon?

- Tak, proszę pana.

- Jak powiedziałem, daleki dojazd jak na sprzedaż omszałych kamieni.
- Cóż, każdy robi, co musi.
- Żeby pan wiedział - powiedział Romero. - Bezpiecznej jazdy.
- Zawsze się staram, panie oficerze. Dobranoc.
- Dobranoc.

Romero wrócił na szczyt wzgórza, wziął z jezdni buty i wrzucił do bagażnika. Mniej więcej w tym samym czasie - około dziesiątej - zginął jego syn.

Jadąc do domu, minął miejsce wypadku. Gdy po przeciwnej stronie międzystanowej zobaczył migające światła, kontury dwóch karetek i trzech radiowozów oraz poskręcane wraki dwóch samochodów, mimowolnie pomyślał: Biedacy. Niech Bóg ma ich w swojej opiece. Ale Bóg nie mógł już wiele w tej sprawie zrobić; patolog właśnie pokazywał policji stanowej portfel, który wyjął ze zmasakrowanego ciała młodego Latynosa.

Kiedy zadzwonił telefon, Romero właśnie kłócił się z żoną, wściekłą, że znowu późno wrócił do domu.

- Odbierz! - wrzasnęła. - To pewnie twoja przeklęta kochanka!
- Powtarzam, że nie mam... - Telefon ponownie zadzwonił. - Tak, słucham?
- Gabe? Tu Ray Becker z policji stanowej. Mógłbyś usiąść?

Z każdym kolejnym słowem, które słyszał, w ciele Romero rosła lodowata kula. Nigdy w życiu nie czuł takiego odrętwienia - nawet gdy powiedziano mu o śmierci rodziców.

Żona od razu zauważyła, że dzieje się z nim coś złego.

- Co jest?!

Choć cały dygotał, udało mu się na tyle pokonać odrętwienie, żeby jej powiedzieć. Zaczęła krzyczeć. Krzyczała, aż straciła przytomność.

Dwa tygodnie później, po pogrzebie, żona Romero wyjechała odwiedzić siostrę w Denver, a on wrócił do pracy (sierżant był przeciwny, ale Romero wiedział, że oszaleje, siedząc sam w domu). Już pierwszego dnia, jadąc do wezwania, minął wzgórze na Old Pecos Trail przy kościele baptystów. Przypomniał sobie, jak obserwował to miejsce. Zamiast zastanawiać się nad tymi butami, powinienem był siedzieć w domu i zająć się synem, pomyślał z goryczą. Może mógłbym zapobiec temu, co się stało.

Na ulicy nie było żadnych butów.

Nie było ich także następnego dnia i dwa dni później.

Żona Romero nigdy nie wróciła z Denver.

- Musisz więcej wychodzić - powiedział sierżant.

Minęły trzy miesiące, była połowa sierpnia. W ramach czekającej go ugody rozwodowej i żeby uciec od wspomnień, Romefo sprzedał dom w Pecos. Przeniósł się do Santa Fe i kupił skromny domek w Eldorado. Niewiele to pomogło - w dalszym ciągu miał wrażenie, że nosi na plecach ciężar.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o randkach.

- Mówię tylko, że nie możesz cały czas siedzieć zamknięty w domu. Musisz wychodzić i coś robić. Rozerwać się. Myślę też, że powinieneś się lepiej odżywiać. Popatrz na syf w tej lodówce: skwaszone mleko, dwanaście puszek piwa i niedojedzone Chicken Mc Nuggets.

- Nie mam apetytu.

- Z taką zawartością lodówki, nie wątpię.

- Nie lubię gotować.

- Tak wiele wysiłku trzeba, żeby zrobić sobie sałatkę? W soboty jeździmy z Mariana targ. Jutro rano pojedziesz z nami. Nigdzie nie ma świeższych warzyw. Może gdybyś miał w lodówce coś porządnego do jedzenia, chciałbyś...

- Targ nie wyleczy tego, co się we mnie zepsuło.

- Staram się tylko ci pomóc! Mógłbyś chociaż spróbować być trochę miłszy.

Targ mieścił się niedaleko starego dworca kolejowego, za torami, na otwartym terenie, który miasto niedawno kupiło, zwanym Rail Yard. Farmerzy wjeżdżali tam załadowanymi pikapami i parkowali w przydzielonych im miejscach. Niektórzy ustawiali stoły i daszki, inni sprzedawali prosto z samochodu. Wszystkiego można było próbować - od ciast po salsę. W rogu przygrywała bluegrassowa kapela. W tłumie chodził człowiek przebrany za kłowna.

- Widzisz, nie jest najgorzej - powiedział sierżant.

Romero z ponurą miną mijał kolejne stragany, z cidrem, z lekami ziołowymi, z hodowanymi na podwórku kurczakami i z kielkami słonecznika. Obiektywnie musiał przyznać, że nie jest najgorzej. Jeszcze nigdy tu nie był - kolejny przykład, że pozwolił, by życie przepływało obok niego. Żał, zamiast zmotywować go do uczenia się na błędach, sprawiał jedynie, że czuł jeszcze silniejszą depresję.

- Co powiesz na kilka tych małych ciasteczek? - spytała żona sierżanta. - Można je trzymać w zamrażarce i podgrzać, kiedy ma się ochotę. To tylko jedna czy dwie porcje, więc nic się nie zmarnuje.

- Czemu nie? - mruknął Romero, zupełnie niezainteresowany ciasteczkami.

- Które?
- Słucham?
- Które? Brzoskwiniowe czy maślane z orzeszkami pekanowymi?
- Nieważne. Sama wybierz.

Zatrzymał wzrok na straganie, w którym oferowano religijne figurki z drewna oklejonego zbożowymi łupinami: Madonny, sceny ze żłobka, krzyże. Była to tradycyjna hiszpańska twórczość ludowa, uwagę Romero przykuła jednak nie atrakcyjność wyrobów, lecz fakt, że zamiast Latynosa sprzedawał je biały.

- Ta szarlotka też świetnie wygląda - powiedziała żona sierżanta.
- Świetnie. - Patrząc na wysokiego, szczupłego, jasnowłosego sprzedawcę ikon, Romero dodał: - Skądś go znam.
- Słucham? - zdziwiła się żona sierżanta.
- Nieważne. Zaraz wracam po ciastka. - Romero zaczął się przeciskać przez tłum. Jasne włosy młodzieńca były bardzo krótko ostrzyżone, a twarz szczupła, o wystających kościach policzkowych. Było w nim coś, co przypominało twarze figurek, które sprzedawał.

Wysokim, uprzejmym głosem wyjaśniał potencjalnemu klientowi skomplikowany sposób, w jaki powstawały jego rzeźby. Ten głos wydał się Romero znajomy.

Zaczekał, aż klient odejdzie z zakupem.

- Skądś pana znam, ale nie jestem w stanie określić, skąd - powiedział.
- Chętnie bym panu pomógł, ale nie sędzę, żebyśmy się już kiedyś spotkali.

Na szyi miał pleciony sznureczek z kawałkiem kryształu górskiego. Kamień był bladobłękitny, jakby pożyczył trochę koloru z oczu chłopaka.

- Pewnie ma pan rację, ale wygląda pan tak bardzo...

Uwagę Romero odwrócił jakiś ruch po jego prawej stronie. Inny młody człowiek przyniósł z samochodu wielki kosz pomidorów i chciał go postawić na sąsiednim straganie, obok koszy ogórków, papryki, dyni i marchwi.

Młodzieniec z pomidorami był wysoki i szczupły, miał krótkie jasne włosy i jasnobłękitne oczy. Był ubrany w sprane dżinsy i biały podkoszulek z krótkim rękawem - tak samo jak sprzedawca, z którym Romero rozmawiał przed chwilą. Miał też identyczny wisiorek z kryształem. Biel podkoszulka podkreślała opaleniznę.

- Ma pan rację - powtórzył Romero do pierwszego młodzieńca. - Nie spotkaliśmy się. Spotkałem pańskiego brata.

Przybysz wyglądał na zdziwionego.



- Jesteście braćmi, prawda? - ciągnął Romero. - Stąd to nieporozumienie. Nadal jednak nie mogą sobie przypomnieć, skąd...

- Lukę Parsons. - Przybysz wyciągnął dłoń.
- Gabe Romero.

Ramię młodzieńca było muskularne, uścisk dłoni miał pewny.

Kiedy Romero wreszcie sobie przypomniał, potrzebował całej siły woli, aby się opanować. Lukę Parsons? Boże, to z nim rozmawiał w nocy, kiedy zginął jego syn, a życie się rozpadło. Przyszedł na targ, żeby oderwać się od wspomnień, i spotkał człowieka, który przypominał mu to, co tak usilnie chciał wyrzucić z pamięci.

- A to mój brat Mark.

- Dzień dobry.

■- Nic panu nie jest?

- Dlaczego? Skąd to...

- Strasznie pan zbladł.

- Nic się nie stało. Ostatnio nie mam apetytu.

- W takim razie niech pan spróbuje tego. - Lukę Parsons wskazał niewielką butelkę z brązowym płynem.

Romero zmrużył oczy.

- Co to jest?

- Jeżówka. Wzmacnia układ odpornościowy.

- Dziękuję, ale...

- Kiedy poczuje pan, jak bardzo poprawia samopoczucie...

- Mówi pan tak, jakby to był narkotyk.

- Boski narkotyk. Nic zakazanego. Jeżeli nie poprawi panu samopoczucia, zwrócę pieniądze.

- Tu jesteś - powiedział sierżant. - Wszędzie cię szukałem. - Dostrzegł buteleczkę w dłoni Romero. - A to co?

- Jeżówka - odpowiedział za niego Lukę Parsons.

- Doskonała rzecz - powiedziała żona sierżanta. - Piję to, kiedy się przeziębę. Wzmacnia układ odpornościowy. Bardzo skuteczny środek. Boże, te pomidory wyglądają cudownie...

Zaczęła wybierać, a Lukę zwrócił się do Romero.

- Kiedy traci się apetyt, może to oznaczać, że organizm potrzebuje odtrucia. Bardzo dobre są do tego: kapusta, brokuły i kalafior. Uprawa ekologiczna. W ich pobliżu nigdy nie było żadnej chemii. Może pan też spróbować tego. - Podał Romero buteleczkę z mlecznym płynem.

- Ostropest plamisty - powiedziała żona sierżanta, nie przerywając wybierania papryki. - Oczyszcza wątrobę.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytał sierżant.

- Rosa z naszej ulicy interesuje się lekami ziołowymi - wyjaśniła, kiedy wracali z torbami pełnymi warzyw przez tory. - Jesteśmy przecież w Santa Fe, światowej stolicy medycyny alternatywnej i New Age. Jeśli nie można ich pokonać, trzeba się do nich przyłączyć.

- No tak, te kryształki na szyjach... to na pewno wyznawcy New Age - stwierdził Romero. - Zauważyliście, że paski mieli uplecione z konopi? Nie mieli nic ze skóry. Niczego ze zwierząt.

- Na pewno nie jedzą pieczonych kurczaków ani hamburgerów. - Sierżant znacząco popatrzył na Romero. - Zdrowi jak ryby.

- Jasne, rozumiem.

- Pamiętaj tylko, żeby jeść warzywa.

O dziwo, wkrótce poczuł się znacznie lepiej. Przynajmniej fizycznie. Nastrój w dalszym ciągu miał ponury jak niebo o północy, ale w jednym z poradników przeczytał, że droga do wyleczenia się prowadzi przez ciało do duszy. Jeżówka (jak informowała dołączona instrukcja - dziesięć kropli na szklanekę wody) była gorzka, ostropest smakował jeszcze gorzej, sałatki warzywne nie syciły go. Tęsknił za pizzą z pepperoni, musiał jednak przyznać, że warzywa z targu były lepsze od wszystkich, jakie dotychczas jadał. Nic dziwnego. Dotychczas kupował warzywa w hipermarkecie, gdzie leżały Bóg wie jak długo, nie licząc nawet czasu, który spędzały w ciężarówce w drodze do sklepu. Prawdopodobnie zbierano je niedojrzałe, aby „doszły” do momentu wystawienia na sprzedaż, i z pewnością były szprycowane ogromną ilością pestycydów i herbicydów. Kiedyś słuchał w radiu programu, w którym mówiono o truciznach w produktach żywnościowych. Rozmawiano także o zatruciu środowiska i...

Romero wzdrygnął się.

Słuchał tej audycji tamtej nocy, kiedy czekał na wyrzucenie kolejnych butów, a zginął jego syn.

Pieprzyć to. Jeśli mam się czuć źle, to przynajmniej będę jadł to, na co mam ochotę.

Po piętnastu minutach był w barze samochodowym w El Dorado i zamówił wielką porcję żeberek, frytki, sałatkę z kapusty i duże opakowanie sosu barbeque. Od śmierci syna przestał jadać w lokalach. Znało go za dużo ludzi, a nie miał ani nastroju, ani ochoty na pogaduszki o niczym. Po kolejnym kwadransie był w domu i oglądając jakiś talk show, pił piwo i pochłaniał żeberka.

Przed dziesiątą zrobiło mu się niedobrze.

- Przysięgam, trzymam dietę. Nie patrz tak na mnie! Przyznaję, miałem kilka wpadek, ale uczę się. Nigdy w życiu nie jadałem tyle pełnowartościowej żywności.

- Siedem kilo. W tej siłowni, do której się zapisałem, naprawdę traci się wagę.

- Cześć, Mark!

Wysoki, szczupły, jasnowłosy młodzieniec przy straganie z warzywami popatrzył na niego zdziwiony.

- Co jest? - spytał Romero. - Od sześciu tygodni co sobota przychodzę na ten targ, a pan mnie nie poznaje?

- Pomylił mnie pan z bratem. - Młodzieniec miał niebieskie oczy, wiśniorek z jasnoblękitnym kryształem, dzinsy, biały podkoszulek i szczupłą opaloną twarz o wydatnych kościach policzkowych.

- Wiem, że pan to nie Lukę. Jego bym rozpoznał.

- Mam na imię John.

- Miło mi pana poznać. Nazywam się Gabe Romero. Nie wiedziałem, że jest was trzech.

- Tak naprawdę...

- Sekundę, niech zgadnę. Jeżeli jest Mark, Lukę i John, musi być także Matthew. Założę się, że jest was czterech!

Kąciki ust Johna lekko się uniosły - jakby nie miał w zwyczaju się uśmiechać.

- Słuszny wniosek.

- Dedukcja to element mojego zawodu.

- Tak? A czym pan... - John wyprostował się, jego zimne jak gwiazdy oczy dostrzegły w tłumie nadchodzącego Lukę'a. - Miałeś nie odchodzić od stoiska.

- Przepraszam. Musiałem iść do toalety.

- Powinieneś być to zrobić przed wyjazdem z domu.

- Zrobiłem, ale co mogłem zrobić, skoro...

- Przede wszystkim nie mogłeś mi pomagać. Kończą się dynie. Przynieś jeszcze kosz.

- Naprawdę przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Lukę popatrzył na Romero, potem znów na brata i poszedł po dynie.

- Chce pan coś kupić? - spytał John.

Nie jesteś specjalistą od zdobywania przyjaciół, co? - pomyślał Romero.

- Tak, wezmę dwie dynie - odparł głośno. - I trochę pomidorów i papryki. To chyba będą ostatnie w tym roku?

John patrzył na niego bez słowa.  
- Porobię zapasy - stwierdził Romero.

Miał nadzieję, że upływ czasu osłabi wewnętrzną drętwotę, ale każda kolejna pora roku tylko przypominała mu o tragedii. Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc, i znów nadszedł maj. Mogło się to wydawać dziwne, ale nigdy nie łączył śmierci syna z wypadkiem na międzystanowej. Kojarzyła mu się ona ze wzgórzem przy kościele baptystów. Zdawał sobie sprawę, że pragnienie przejeżdżania tamtędy to swoista forma samoudręczania - ale im bliższa była rocznica śmierci syna, tym częściej mu ulegał. Kiedy pewnego dnia na początku maja wjechał na szczyt wzgórza, przez chwilę myślał, że ma halucynacje. Po raz pierwszy od prawie roku na ulicy leżały buty.

Brązowe skórzane buty do górskich wędrowek. Ich widok tak go zaskoczył, że zwolnił i zaczął się w nie tępo wpatrywać. Nagle dostrzegł coś, co sprawiło, że gwałtownie zahamował. Ledwie usłyszał pisk opon jadącego tuż za nim samochodu. Wsiadł z radiowozu i drżąc na całym ciele, przyjrzał się butom z bliska. Niemal biegiem wrócił do auta, by zawiadomić dyspozytora.

W butach były stopy.

Policjanci kierowali przejeżdżające samochody tak, by omijały zabezpieczone miejsce na poboczu. Romero stał tam z sierżantem, komendantem posterunku i patologiem, obserwując pracę techników. Wokół butów ustawiono wysoki na ponad metr parawan.

- Będę wiedział więcej, kiedy zbadamy dowody w laboratorium - po wiedział patolog - choć sądząc po gładkości cięcia, przypuszczam, że do odcięcia stóp użyto piły elektrycznej.

Romero zagryzł wargę.

- Czy ma pan jeszcze jakieś spostrzeżenia? - spytał komendant.

- Na asfalcie nie ma krwi, co oznacza, że krew na butach i kikutach wyschła, zanim buty wyrzucono na ulicę. Przebarwienie tkanki wskazuje, że między przestępstwem a umieszczeniem tu butów minęły przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Ktoś coś jeszcze zauważył?

- Rozmiar butów - powiedział Romero.

Wszyscy popatrzyli na niego.

- Ja noszę dziesiątkę, a te wyglądają na siódemkę albo ósemkę - wyjaśnił. - Podejrzewam, że ofiara była kobietą.

Ci sami policjanci, którzy rzucili stertę starych butów pod szafkę Romero, teraz wychwalali jego wyczucie. I choć już dawno pozbył się butów znalezionych przed rokiem na ulicy, nikt nie miał o to do niego pretensji. Przecież nie mógł przewidzieć, że okażą się ważne. Pamiętał jednak, jakie to były buty, tak jak pamiętał, że zaczął je zauważać niemal dokładnie rok temu: około piętnastego maja.

Nie było oczywiście żadnej pewności, że ten, kto wyrzucał buty przed rokiem, to ta sama osoba, która zostawiła na ulicy odcięte stopy. Zespół śledczy mógł opierać się tylko na skąpych dowodach zebranych tym razem. Tak jak podejrzewał Romero, patolog ustalił, że ofiarą była kobieta. Może więc sprawca jest turystą, który przyjeżdża do Santa Fe co rok w maju. Jeżeli tak, może popełniał podobne przestępstwa w innych częściach Stanów Zjednoczonych? Z danych przekazanych przez FBI wynikało, że w ciągu ostatnich lat na obszarze USA dokonano wielu morderstw z okaleczeniem ofiary, ale żadne z nich nie pasowało do profilu tego czynu. Zajęto się raportami o osobach zaginionych. Szybko sprawdzono i wyeliminowano raporty z Nowego Meksyku, gdy jednak poszukiwania zaczęły zataczać szersze kręgi, okazało się, że co miesiąc w Stanach giną tysiące osób i aby zająć się wszystkimi zgłoszeniami, zespół śledczy musiałby się składać z ogromnej liczby osób.

Romero został skierowany do grupy obserwującej Old Pecos Trail. Co noc za pomocą teleskopu noktowizyjnego obserwował teren z dachu kościoła baptystów. Jeżeli zabójca będzie się trzymał swojego schematu, pojawią się kolejne buty, w których - Romero modlił się o to do Boga - też będą stopy. Gdyby zauważył coś podejrzanego, wystarczy, że odczyta numer na tablicy rejestracyjnej i zaalarmuje ukryte wzdłuż Old Pecos Trail cywilne samochody policyjne. Kolejne noce mijały, a on nie miał nic do zgłoszenia.

Tydzień później w wiosce na południowy zachód od Albuquerque znaleziono czerwonego saturna z tablicami z New Hampshire. Był zarejestrowany na trzydziestoletnią kobietę, Susan Crowell, która przed trzema tygodniami wyjechała z narzeczonym na wycieczkę po kraju. Od ośmiu dni ani ona, ani jej narzeczony nie kontaktowali się z rodziną i znajomymi.

Maj przeszedł w czerwiec, potem w lipiec. Pod koniec lipca na rynku Santa Fe odbył się, jak co roku, hiszpański jarmark, na którym latynoscy artyści ludowi prezentowali swoje obrazy i rzeźby. Turystów było znacznie mniej niż zwykle, bo sensacyjne doniesienia o odciętych stopach zniechęciły wiele osób do przyjazdu do miasta. Ale gdy miesiąc później rozpoczęły się kolejne targi - indiańskie - po rynku krążyło trzydzieści tysięcy

przyjezdnych, zachwycając się tradycyjną indiańską biżuterią i ceramiką.

W czasie tych imprez Romero pracował całe dni, pilnując porządku. Bez względu jednak na nawał zajęć wciąż myślał o Old Pecos Trail. Co kilka dni jechał wieczorem na East Lupita i obserwował stamtąd samochody przejeżdżające Old Pecos Trail. Nie oczekiwał, że cokolwiek się zdarzy, ale bezpośredni kontakt z tym miejscem uspokajał go, pomagał skupić myśli i dawał dziwne poczucie bliskości z synem. Czasami patrząc na kościół po drugiej stronie ulicy, modlił się.

Którejś nocy Old Pecos Trail przejechała znajoma furgonetka z omszonymi kamieniami. Nigdy nie przestał kojarzyć tego samochodu z butami. Był przekonany, że pojechał wtedy za niewłaściwym samochodem i nie miał najmniejszego powodu podejrzewać, że Lukę Parsons ma cokolwiek wspólnego z zaginięciem Susan Crowell i jej narzeczonego. Mimo to przekazał grupie śledczej, że zatrzymał samochód Parsonsów rok temu, i cała rodzina została starannie prześwietlona. Cztery bracia mieszkali z ojcem na farmie w wąwozie Rio Grandę niedaleko Dillon. Ciężko pracowali i robili wszystko, aby unikać kłopotów.

Romero nie miał powodu zatrzymać furgonetki, uznał jednak, że warto za nią pojechać. Trzymał się na tyle blisko, by widzieć jej tylne światła. Furgonetka jechała w kierunku Santa Fe. Przy ratuszu skręciła w prawo i podążyła Paseo de Peralta na drugi koniec miasta, a tam skręciła na stację benzynową sieci Allup.

Romero stanął przy sąsiednim dystrybutorze, wysiadł z dżipa i udał zaskoczony widokiem kierowcy.

- Lukę! Co słychać?

Zawahał się, dostrzegłszy swoją pomyłkę. To nie był Lukę.

- John? Nie poznałem pana.

Wysoki, szczupły, jasnowłosy młodzieniec o poważnym spojrzeniu przyjrzał mu się uważnie. Zatrzymał wzrok na kaburze z pistoletem przy pasie. Romero nigdy nie przychodził na targ z bronią.

- Nie wiedziałem, że jest pan policjantem.

- Czy to ważne?

- Właściwie nie, ale teraz wiem, że w pana obecności moje warzywa są bezpieczne. - Powiedział to takim tonem, że stwierdzenie wcale nie zabrzmiało dowcipnie.

- I omszałe kamienie. - Romero wskazał dłonią tył pikapa. - Sprzedawał je pan na drodze przy między stanowej? To chyba robota Luke'a.

- Ma inne zajęcia.

- Fakt, ostatnio nie widywałem go na targu.

- Przepraszam, ale miałem męczący dzień. I czeka mnie jeszcze długa droga.

- Nie ma sprawy. Nie zamierzam pana przetrzymywać.

Luke'a nie było na targu w najbliższą sobotę, a także w następną.

Kończył się październik. W nocy ziemię ściał silny przymrozek, a rano w górach zaczął padać śnieg. Ponieważ targ został zamknięty do następnego sezonu i Romero miał wolną sobotę, postanowił wybrać się na wycieczkę.

Powietrze było zimne i bardzo klarowne. Romero jechał na północ autostradą numer dwieście osiemdziesiąt pięć. Minął modernistyczny budynek opery Santa Fe i zaczął zjeżdżać w kierunku wielobarwnej pustyni, której wyschłe koryta i ostańce ciągną się aż do wznoszących się po obu stronach gór. Minął Camel Rock Indian Casino i Cities of Gold Indian Casino i dotarł do wielkiego rozjazdu.

Nie skręcił na zachód na drogę wiodącą do Los Alamos. Jechał dalej na północ. Minął Espanolę. Krajobraz znowu się zmienił - wąska i kręta droga wiodła wśród wzgórz wąwozem Rio Grandę. UWAGA NA SPADAJĄCE SKAŁY - ostrzegła tablica. Jasne, że zamierzam uważać, pomyślał. Z lewej strony, częściowo zasłonięta bezlistnymi drzewami, płynęła legendarna Rio Grandę - wąska, niespiesząca się jesienią, przemykająca wokół zakrętów, bulgocząca nad głazami. Po przeciwnej stronie znajdowała się Embudo Station, dawny przystanek dylizansów, którego historyczne budynki przerobiono na mały browar i restaurację.

Minął Embudo i jechał dalej na północ. Wąwóz zaczął się rozszerzać. Po obu stronach drogi, w miejscach, gdzie muł polodowcowy użyźnił glebę, pojawiły się farmy i pola winorośli. Romero zatrzymał się w Dillon i spytał w sklepie przemysłowo-spożywczym o farmę Parsonsów.

Nie pojechał od razu na farmę - stanął przy punkcie widokowym za miastem i tam czekał na policyjny radiowóz. Jadąc do Dillon, zadzwonił do policji stanowej, która miała siedzibę w Taos. Przedstawił się i przekonał dyspozytorce, że potrzebuje wsparcia.

- Nie spodziewam się kłopotów - powiedział potężnemu policjantowi, który wysiadł z radiowozu. - Nigdy jednak nie można być pewnym.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Że zaparkuje pan przy bocznej drodze i zaczeka, aż wrócę z farmy.

- Nie przyjechał pan tu służbowo?

- Nie, to własna inicjatywa. Mam przecucie.

- Długo pan tam będzie?

- Niedługo, jakieś piętnaście minut. O ile wiem, Parsonsowie nie są zbyt gościnni. Chcę tylko poczuć atmosferę tego miejsca.
  - Jeżeli zostanę zawiadomiony o jakimś wypadku...
  - To pojedzie pan spełnić swój obowiązek. Ale byłbym wdzięczny, gdyby upewnił się pan, czy opuściłem farmę. Wracając do Santa Fe, zatrzymam się w sklepie spożywczo-przemysłowym w Dillon i zostawię tam wiadomość, że wszystko ze mną w porządku.
- Policjant nie wyglądał na przekonanego.
- Pracuję nad tą sprawą od dawna - powiedział Romero - i będę bardzo wdzięczny za pomoc.

Boczna droga odchodziła od głównej szosy tuż za znakiem z napisem TAOS 20 MIL. Biegła w dół ku żyznej dolinie, którą od północy i zachodu zamykały łańcuchy gór. Farmę Parsonsów otaczało dobrze utrzymane ogrodzenie. Pola, dokładnie uprzątnięte i zaorane, czekały na nadejście wiosny. Widać było, że gospodarze nie stronią od ciężkiej pracy.

Stodoła i budynki gospodarcze były świeżo odmalowane. Dom mieszkalny miał pobielone ściany i płaski dach z blachy. Za domem płynęła rzeka, szeroka w tym miejscu na jakieś dziesięć metrów.

Romero dostrzegł w stodole ruch - ktoś schodził z drabiny z puszką farby w rękę, ktoś inny pojawił się w otwartych drzwiach. Trzecia osoba wyszła z domu. Kiedy podjeżdżał, czekali na niego. Zatrzymał się.

Po raz pierwszy zobaczył trzech braci naraz i łączące ich podobieństwo wydało mu się jeszcze bardziej uderzające. Ten sam wzrost, identyczny kolor włosów i oczu, pociągłe twarze o wydatnych kościach policzkowych. Mieli na sobie takie same granatowe kombinezony i niebieskie wełniane koszule pod spodem.

Romero znał ich już jednak na tyle, że bez trudu rozpoznał, iż chłopak stojący z lewej to ten z braci, którego jeszcze nigdy nie widział, Matthew.

Wysiadł z samochodu i podeszedł do młodzieńców.

Żaden się nie poruszył.

- Nie widzę Lukę'a - powiedział Romero.
- Ma robotę- wyjaśnił John.
- Po co pan tu przyjechał? - spytał Mark.
- Jechałem do Taos i pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, czy macie jakieś warzywa na sprzedaż.
- Nie jest pan tu mile widziany.
- Wydawało mi się, że z otwartymi ramionami powitacie stałego klienta.
- Proszę odjechać.
- Nie chcecie mi niczego sprzedać?



- Matthew, przynieś mi telefon. Wezwę policję.  
Matthew posłusznie ruszył w kierunku domu.
- Nie trzeba - stwierdził Romero. - Już mnie nie ma.

Policjant stanowy czekał przy wjeździe na autostradę.

- Dzięki za wsparcie - powiedział Romero.
- Nie ma pan za co dziękować. Właśnie dostałem telefon w pańskiej sprawie. Nie wiem, co pan zrobił, ale są strasznie wkurzeni. Chcą pana aresztować za wtargnięcie na teren prywatny.

- ...radca prawny miasta - powiedział komendant.

Radca miał niezbyt pewny uścisk dłoni.

- A to jest pan Dały, adwokat Johna Parsonsa.

Jeszcze słabszy uścisk.

- Johna Parsonsa z pewnością pan zna - rzekł komendant.

Romero skinął głową Johnowi.

- Przejdę od razu do sedna - powiedział Dały. - Mój klient oczekuje, że przestanie pan go nękać.

- Przestanę go nękać? - zdziwił się Romero.

- Zatrzymanie samochodu rodziny bez powodu. Zastraszanie mojego klienta i jego braci w różnych miejscach, gdzie prowadzili interesy. Śledzenie mojego klienta. Zaczepianie go w miejscach publicznych. Wtargnięcie na teren jego posiadłości i odmowa oddalenia się na wezwanie. Narzuca mu się pan niemal wszędzie, dokąd się uda, i chcemy, aby to się skończyło -w innym przypadku zaskarżymy zarówno pana, jak i miasto. Przysięgli nie lubią rozrabiających gliniarzy.

- Rozrabiających gliniarzy? O czym pan mówi?

- Nie przyszedłem tu dyskutować. - Dały wstał i dał Johnowi znak, by zrobił to samo. - Mój klient jest całkowicie w prawie. Nie żyjemy w państwie policyjnym. Pan, pański wydział i miasto - wszyscy zostaliście ostrzeżeni. Jakikolwiek kolejny incydent i zwołam konferencję prasową, na której poinformuję każdego potencjalnego przysięgłego, dlaczego składamy pozew.

Powiódł po obecnych wzrokiem, który mógł oparzyć, i wyszedł. John wyszedł tuż za nim, zdążył jednak spojrzeć na Romero z taką nienawiścią, aż ten poczuł, jak płonie mu twarz.

W gabinecie zapadła cisza.

Radca prawny miasta odchrząknął.

- Chyba nie muszę panu mówić, że musi się pan trzymać od niego z daleka.

- Nie zrobiłem nic złego.
  - Śledził go pan? Pojechał pan do jego do domu? Prosił pan policję z Taos o wsparcie, kiedy wkraczał pan na teren posiadłości?
- Romero spuścił wzrok. . - Działał pan poza terenem swojej jurysdykcji, działał pan na własną rękę.
- Ci bracia są powiązani z...
  - Zostali sprawdzeni i oczyszczeni z podejrzeń.
  - Nie potrafię tego wyjaśnić, ale nie opuszcza mnie przeczucie, że...
  - Ja też mam przeczucie - powiedział radca prawny. - Jeżeli nie przestaniesz pan nadużywać swoich kompetencji, straci pan pracę, nie wspominając o konieczności wyjaśnienia w sądzie, dlaczego napastował pan czterech braci, którzy mogliby wystąpić w reklamie ciężkiej pracy i wartości rodzinnych. Na Boga - nawet nazywają się Matthew, Mark, Lukę i John! Gdyby nie wyglądało to na przyznanie się do winy, natychmiast zasugerowałbym zwolnienie pana!

Romero dostawał najgorsze przydziały. Jeżeli burza śnieżna spowodowała przerwanie dostawy prądu na skrzyżowaniu i trzeba było ręcznie kierować ruchem, był pierwszym kandydatem. Ilekroć trzeba było jechać w teren i cierpieć z powodu złej pogody, wysługiwano się właśnie nim. Komendant ewidentnie nakłaniał go do złożenia rezygnacji.

Romero miał jednak coś, co go chroniło. Gorąco, które zalało mu twarz, kiedy John spojrzał na niego nienawistnie, gdy odchodził. Pozostało w nim, a nawet się rozlało, ogarniając całe ciało. Kierowanie ruchem w śniegu, przy dmącym wietrze i temperaturze kilkanaście stopni poniżej zera? Żaden problem. Złość wystarczająco go rozgrzewała.

John Parsons w arogancki sposób pokazał, że wygrał, ale Romero zamierzał mu odpłacić. Piętnastego maja. W tym czasie przed dwoma laty zaczęły się pojawiać buty, a rok temu znalazł odcięte stopy. Komendant zarządził nadzór tego odcinka Old Pecos Trail, nikt jednak nie wierzył, że jeśli zabójca zamierza znów uderzyć, dokona tego w tak przewidywalny sposób. Pewne było jedno - Romero nie będzie przewidywalny. Nie zamierzał dać się wciągnąć w grę Johna Parsonsa i ryzykować utraty pracy, nie będzie więc kręcił się w okolicy Old Pecos Trail, aby John mógł tamtędy przejechać i stwierdzić, że molestowanie ponownie ma miejsce. Nie, Old Pecos Trail już go nie interesowała. Piętnastego maja wybierze się gdzie indziej.

W okolicy Dillon. Do wąwozu Rio Grande.

Planował wyprawę od dłuższego czasu. Po pierwsze, musiał uzasadnić swoją nieobecność. Urlop. Nie brał go w zeszłym roku. San Francisco. Nigdy tam nie był. Wiosną jest tam podobno wyjątkowo pięknie. Komendant był wyraźnie zadowolony - zupełnie jakby się spodziewał, że Romero poszuka tam sobie pracy.

Po drugie, ofiara nie mogła się dowiedzieć, jakim jeździ samochodem. Zamienił granatowego dżipa na zielonego forda explorera.

Po trzecie, potrzebował wyposażenia. Teleskop noktowizyjny, którego używał do obserwacji Old Pecos Trail z dachu kościoła baptystów, świetnie rozjaśniał ciemność, kupił więc podobny w sklepie ze sprzętem wojskowym. Poszedł też do sklepu fotograficznego i kupił obiektyw z zoomem do aparatu, który miał w domu. Potrzebował jedzenia i wody na kilka dni. Ubrał do poruszania się terenie. Czegoś, w czym dałoby się przenieść sprzęt. Butów wystarczająco mocnych, aby utrzymały zebrany ciężar.

Zaczynał urlop trzynastego maja. Kiedy poprzednim razem jechał do Dillon, jesień uspokoiła Rio Grandę, teraz jednak wiosenne roztopy poszerzyły i pogłębiły rzekę, zmieniły ją w rozszalały nurt. Zielone drzewa i krzewy okalały spienioną wodę, pełną prądów i głazów, między którymi przemykali ludzie na pontonach. Kiedy przejeżdżał obok wjazdu na farmę Parsonsów, zaniepokoił się, że może go zauważyć któryś z braci, potem jednak przypomniał sobie, że nie znajęgo samochodu. Popatrzył w lewo, na żyzną czarną ziemię, widoczne w oddali białe budynki i migoczący w słońcu blaszany dach. Widoczna za farmą rzeka szalała na tyle wysoko, że niemal podmywała łączącą brzegi kładkę.

Odjechał kilka kilometrów i zaparkował. Miejsce piknikowe pod topolami wyglądało idealnie. Stało tam kilka samochodów, a wszystkie były puste. Romero uznał, że należą do miłośników pływania na pontonie. Przy panującym tu ruchu jego samochód będzie jednym z wielu parkujących. Aby nikt się nie zastanawiał, dlaczego samochód stoi całą noc, i nie zaczął martwić, że właściciel utonął, Romero zostawił na desce rozdzielczej kartkę z krótkim tekstem: *Wędruję i obozuję wzdłuż rzeki. Wracam za kilka dni.*

Wyjął z auta ciężki plecak, zaciągnął paski i ruszył w dół skalistego zbocza, znikając po chwili między krzewami. Kilka wieczorów spędził w domu na ćwiczeniu chodzenia z pełnym plecakiem, ale teraz szedł po nierównym podłożu, pełnym kamieni, dziur i gałęzi. W dodatku było gorąco, a temperatura miała jeszcze wzrosnąć. Pocił się więc obficie i miał wrażenie, że plecak waży nie trzydzieści, ale pięćdziesiąt kilo.

Nie miał wątpliwości, że bez niego dotarłby do rzeki w dziesięć minut. Zajął mu to dwadzieścia. Nie najgorzej, pomyślał, słuchając ryku rzeki.

Kiedy wyszedł z krzaków, z zaskoczeniem zobaczył, jak wysoka i szybka jest woda, jak upokarzająco potężna. Odłożył plecak i rozprostował sztywne ramiona. Napił się z manierki. Kiedy wychodził z domu, woda była chłodna, teraz zrobiła się ciepława i nabrała metalicznego posmaku.

Do pracy!

Bez plecaka powrót do samochodu był igraszką. Otworzył explorera, wyjął następny bagaż, zamknął auto i wszedł z drugim ciężarem między krzewy. Dotarł do rzeki pięć minut szybciej niż za poprzednim razem. W worku miał mały ponton, w którym po napompowaniu było jednak wystarczająco dużo miejsca i dla niego, i dla plecaka. Sprawdził, czy plecak jest odpowiednio zamocowany, chwilę przyglądał się falującej wodzie, wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze i pchnął ponton na wodę.

Gdyby nie codzienne ćwiczenia na siłowni, nie miałby siły tak intensywnie i szybko wiosłować. Rzeka niosła go znacznie szybciej, niż przewidywał. Nie umiał powiedzieć, czego bał się bardziej - wywrotki czy minięcia farmy, zanim uda mu się dotrzeć do brzegu. Jezu, jeżeli mnie zobaczą... W pewnym momencie zauważył przez półprzymknięte powieki, że rzeka zaraz skręci w lewo. Prąd po zewnętrznej stronie zakrętu nie był aż tak silny i wiosłując szaleńczo, Romero zaczął się zbliżać do brzegu. Trzy metry. Dwa. Gdy tylko ponton uderzył o brzeg, przepelzł przez dziób, opadł całym ciałem na błotniste podłoże, podniósł się i wyciągnął ponton na brzeg.

Leżący w środku plecak podmywała woda. Gorączkowymi ruchami odpiął mocujące go paski i wyciągnął plecak na suchy ląd. Z dna kapała woda. Mógł mieć tylko nadzieję, że wodoszczelne torby, w które powkładał jedzenie, ubranie i sprzęt, spełniły swoje zadanie. Czy ktoś go widział? Przepatrzył brzeg za sobą i z przodu - pusto. Odwrócił ponton do góry dnem, wylał wodę, wciągnął go w krzaki i schował. Położył na nim kilka dużych kamieni, aby nie został zwiany przez wiatr, po czym wrócił na brzeg i z zadowoleniem stwierdził, że z rzeki nic nie widać. Nie miał czasu na odpoczynek. Zarzucił plecak na ramiona, i wmawiając sobie, że nie czuje bólu mięśni, ruszył w głąb łądu.

Trzy godziny później zakończył powolną, trudną wspinaczkę na szczyt. Krzaki były rzadkie, a głązy poruszały się luźno pod profilami jego butów. Piętnaście metrów od szczytu zdjął plecak i rozciągnął ramiona i barki, aby pozbyć się kurczów. Z twarzy skapywał mu pot. Napił się z manierki jeszcze bardziej niesmacznej i ciepłej wody, po czym położył się na kamieniach i zaczął czołgać w górę. Ostrożnie wyjrzał. W dole zobaczył stodołę i budynki gospodarcze. Słońce odbijało się od blaszanego dachu białego domu. Pola były zielone od wczesnych upraw i Romero

nawet z tej odległości rozpoznał jedno z warzyw - sałatę. Nie było widać nikogo. Znalazł zagłębienie w ziemi, wcisnął się do środka i wciągnął za sobą plecak. Na krawędzi zagłębienia leżały dwa kamienie, które będą go zasłaniały, kiedy będzie spoglądał w dół. Rzeka, pola, farma, stodoła, kolejne pola. Kryjówka doskonała.

W dalszym ciągu nikogo nie było widać. Pomyślał, że bracia są prawdopodobnie w Santa Fe. Wyjął teleskop z noktowizorem, aparat fotograficzny, teleobiektyw. Wodoszczelne torby sprawiły się znakomicie - sprzęt był suchy. Suche było także jedzenie i śpiwór. Jedynymi rzeczami, które zamokły, były zapasowe dżinsy i podkoszulek, które jak na ironię, wziął na wypadek, gdyby zmokło mu to, co miał na sobie. Rozłożył zapasowe ubranie na słońcu, popatrzył jeszcze raz na farmę - w dalszym ciągu nic się tam nie działo - i łączywie sięgnął po jedzenie. Cheddar, krakersy pszeniczne, krojona marchew i deser z suszonych brzoskwiń sprawiły, że ślina ciekła mu jak z kranu.

Piąta. Jeden z braci przeszedł z domu do stodoły. Z tej odległości trudno było powiedzieć, ale Romero, który patrzył przez obiektyw aparatu, miał wrażenie, że to Mark.

Wpół do siódmej. Pojawił się pikap. Romero ustawił obiektyw i rozpoznał w wysiadającym kierowcy Johna. Mark wyszedł ze stodoły, Matthew z domu. John wyglądał na niezadowolonego. Mark coś powiedział. Matthew milczał. Cała trójka poszła do domu.

Serce Romero zabiło szybciej na myśl, że mógł obserwować ich spór, a oni nie wiedzieli, że na nich patrzy. Kiedy zmrok zgęstniał, w domu zapalono światła. Po zachodzie bardzo szybko się ochłodziło. Romero włożył rękawiczki i kurtkę.

Może tylko marnuję czas?

Na pewno. Jeszcze nie jest piętnasty.

Temperatura spadała coraz bardziej. Było mu zimno w nogi, więc schował się do śpiwora i zjadł jeszcze trochę sera i krakersów, patrząc w dół to przez noktowizyjny teleskop, to przez wizjer aparatu fotograficznego. Teleskop rozjaśniał ciemność, zmieniając ją w zieleń. Jeden z braci wyszedł z domu, ale obraz w okularze teleskopu był nieco ziarnisty i Romero nie był w stanie określić, który. Poszedł do stodoły i po dziesięciu minutach wrócił do domu.

Światła po kolei gasły. Wkrótce dom spowity ciemności.

Romero uznał, że przynajmniej na jakiś czas przedstawienie się skończyło. Wsunął się ze śpiwora, zszedł do rzeki i oddał mocz za krzakiem.

Kiedy wrócił, dom wyglądał na tak samo spokojny jak w chwili, gdy opuszczał posterunek.

Znów przypomniał sobie, że dzisiejszy dzień nie jest istotny. Jutrzejszy raczej też nie będzie decydujący. Piętnasty będzie pojutrze.

Sprawdził, czy ma pistolet i komórkę w zasięgu ręki, wsunął się głębiej do spiwora i wyostrzył lunetę. Nic się nie działo.

Zimno sprawiło, że zaczęły mu ciążyć powieki.

Trzasnęły drzwi.

Romero poderwał głowę i spróbował przystosować oczy do jaskrawego porannego światła. Wysunął ramiona ze spiwora i przez aparat popatrzył na farmę w dole. John, Mark i Matthew wyszli z domu. Ruszyli żwawym krokiem w stronę pola, na którym rosła sałata. Zielone główki błyszczały od promieni słońca odbijających się w zebranych na liściach kryształkach rosy. John wyglądał na tak samo niezadowolonego jak wczoraj, coś mówił do braci. Mark odpowiedział, Matthew milczał.

Romero zmarszczył czoło. Do tej pory nie widział Luke'a. Co się z nim stało? Wyostrzył nastaw obiektywu i obserwował wchodzącą do stodoły grupkę. Zaczęło go dręczyć kolejne pytanie. Z raportu policyjnego wynikało, że bracia pracują dla ojca, do którego należy ziemia. Kiedy jednak „wtargnął” na farmę, nie zobaczył go.

Nie widział go także wczoraj wieczorem.

Ani dziś rano.

Gdzie on, do pioruna, jest? Czyżby ojciec był w jakiś sposób zamieszany w sprawę butów i...

Nie ma ojca i Luke'a, bo gdzieś wyjechali i...

Im więcej pojawiało się pytań, tym większy Romero miał mętlik w głowie.

Zamarł na widok odblasku światła od kawałka zmrożonej ziemi przy wrotach stodoły. Kiedy dokładniej się przyjrzał, stwierdził, że migotanie się porusza, jakby żywe. Nagle dotarło do niego, że to odbicie światła od soczewki aparatu, który wystawił nad krawędź skarpy. Refleks spowodowało wschodzące słońce. Jeżeli światło zamigotało, kiedy bracia byli na zewnątrz...

Zimne powietrze wydało mu się jeszcze bardziej lodowate. Schował aparat za krawędź, ostrożnie wysunął głowę i zaczął obserwować stodołę. Pięć minut później trzech braci wyszło na dwór i zaczęło swe codzienne obowiązki. Obserwując ich, Romero otworzył torbę z mieszanką chrupków, pszennych krakersów, rodzynek i orzechów, którą samodzielnie przygotował. Jadł, popijając wodą. Z powodu niskiej temperatury w no-

cy woda w manierce znów była przyjemnie chłodna. Wypił wszystko, miał jednak dwie inrie manierki, był więc na kilka dni zabezpieczony. W razie czego zejdzie do rzeki i nabierze wody przez pompkę z filtrem. Tabletki z jodem zabiją bakterie.

Po południu bracia byli na polu - Matthew orał ziemię traktorem, John i Mark zbierali kamienie wyniesione na wierzch przez zimową pogodę i nosili je do pikapa.

Marnuję czas, myślał Romero. Jezu, to zwykli rolnicy...

Dlaczego więc John próbował doprowadzić do tego, żeby wyrzucono mnie z pracy?

Zacisnął zęby. Mając słońce za plecami, mógł bez obawy użyć aparatu. Wieczór był powtórką poprzedniego. O dziesiątej w domu zgasły światła.

Jeszcze tylko jeden dzień, pomyślał Romero. Jutro jest piątnasty. Jutro nastąpi to, po co przyjechałem.

Otrzeźwił go ból. Gwałtowna fala odrętwienia rozlewającego się z prędkością światła sprawiła, że zakreśliło mu się w głowie. Trzecie trzaśnięcie spowodowało wybuch czerwieni za jego oczami. Oszołomiony, próbował opanować szok i walił rękami i nogami, aby wyjść ze śpiwora. Uderzenie w bark przewróciło go na bok. Otaczały go trzy sylwetki. Trzy postacie, z których ust wylatywały kłęby lodowatej pary, uniosły kije, by znów go uderzyć. Złapał pistolet i spróbował strzelić bez wyjmowania go ze śpiwora, ale kolejny cios pałką wytrącił mu broń z dłoni. Chwilę później kolejny cios, tym razem w czoło, sprawił, że zaczęło mu dzwonić w uszach, a oczy wywróciły mu się do tyłu.

Budził się powoli, zmysły miał rozedrgane. Pulsowało mu w głowie. Miał krew na twarzy. Czuł jej zapach. Miedziany. Pod lewym policzkiem czuł drażniącą nozdrza woń przegniłej słomy. Cienie. Słońce wpadające przez szpary między deskami. Stodoła. Wirowanie w głowie. Zbierało mu się na wymioty.

Poczuł kwaśny odór wymiocin.

- Matthew, przyprowadź Johna - powiedział Mark.

Zatupotały stopy.

Romero zemdlął.

Kiedy odzyskał przytomność, tkwił w kącie, z plecami opartymi o ścianę, uniesionymi wysoko kolanami, zwieszoną głową. Na pierś kapła mu krew.

- Znaleźliśmy twój samochód - powiedział John. - Widzę, że zmieniłeś model.

Odbijający się echem głos zdawał się dolatywać z daleka, kiedy jednak Romero z trudem uniósł głowę, stwierdził, że John stoi tuż przed nim.

John przeczytał notatkę, którą Romero zostawił na desce rozdzielczej. *Wędruję i obozuję wzdłuż rzeki. Wracam za kilka dni.*

Romero zauważył, że jego pistolet tkwi za paskiem Johna.

- Co robimy? - spytał Mark. - Policja przyjdzie go szukać.

- No to co? - odpowiedział John. - Jesteśmy w prawie. Złapaliśmy uzbrojonego człowieka, który wtargnął nocą na nasz teren. Broniliśmy się i pojaliśmy go. - John zmiął notatkę. - Ale policja nie przyjdzie go szukać. Nie wiedzą, że tu jest.

- Nie możesz być pewny - powiedział Mark.

Matthew stał bez słowa przy zamkniętych wrotach stodoły.

- Oczywiście, że mogę. Gdyby to była operacja policyjna, nie potrzebowałby tej notatki. Nie musiałby się martwić, że ktoś zaniepokoi się stojącym bez opieki samochodem. Tak naprawdę wcale by nie potrzebował samochodu - policja przywiozłaby go na miejsce. Jest sam.

Matthew wiercił się niespokojnie, raz po raz wyglądał na zewnątrz.

- Zgadza się, oficerze Romero? - spytał John.

Romero, którego sporo wysiłku kosztowała próba opanowania zawrotów głowy, udało się odezwać.

- Skąd wiedzieliście, że tam jestem?

Nikt mu nie odpowiedział.

- To przez to odbicie światła w soczewce, prawda? - głos Romero brzmiał, jakby gardło miał pełne żwiru.

- Jak Duch Święty na Pentecost - powiedział John. Romero tak opuchł język, że ledwie wydobywał z siebie głos.

- Potrzebuję... wody...

- Nie podoba mi się to - powiedział Mark. - Wypuśćmy go.

John odwrócił się do Matthew.

- Słyszałeś? Musi się napić.

Matthew chwilę się wahał, po czym otworzył wrota stodoły i pobiegł w kierunku domu.

John zwrócił się do Romero:

- Dlaczego nie przestałeś? Dlaczego musiałeś być tak uparty?

- Gdzie jest Luke?

- Właśnie to mam na myśli. Jesteś tak cholernie uparty!

- Nie musimy tego ciągnąć - powiedział Mark. - Wsadź go do samochodu. Pozwól mu odjechać. Nic złego się nikomu nie stało.

- Naprawdę?



- Powiedziałeś, że mieliśmy prawo zaatakować obcego z pistoletem. Dowiedzieliśmy się, kto to jest, kiedy było za późno. Sędzia odrzuciłby oskarżenie o napaść.

- On by wrócił.

- Niekoniecznie.

- Jestem tego pewien. Jak by było, oficerze Romero? Wróciłbyś?

Romero starł krew z twarzy. Nie odpowiedział.

- Oczywiście, że byś wrócił - powiedział John. - To leży w twojej naturze. Któregoś dnia zobaczyłbyś coś, czego nie powinienes. Może już się tak stało.

- Nie mów nic więcej! - ostrzegł brata Mark.

- Chcesz wiedzieć, o co chodzi? - spytał John.

Romero starł kolejną porcję krwi z twarzy.

- Myślę, że powinienes się dowiedzieć, za czym węszyłeś.

- Nie! - przerwał bratu Mark. - Nadal nie jestem pewien, że był sam. Jeżeli stoi za tym policja... to zbyt ryzykowne. Przestań!

Do stodoły zbliżyły się pospieszne kroki. Kiedy do środka wbiegł Matthew - z dzbankiem wody - tylko Romero odwrócił się w jego stronę.

- Daj mu wody - polecił John.

Matthew podszedł ostrożnie, jak ktoś zbliżający się do dzikiego zwierzęcia. Postawił dzbanek przed Romero i odskoczył.

- Dziękuję-powiedział Romero.

Matthew nie odpowiedział.

- Dlaczego nigdy nic nie mówisz? - spytał Romero.

Matthew i na to pytanie nie odpowiedział. Romero poczuł mrowienie na skórze.

- Jesteś niemową.

Matthew odwrócił się.

- Oczywiście... kiedy byłem tu w zeszłym roku, John kazał ci przynieść telefon, żeby zadzwonić na policję. Wtedy nie zastanawiałem się nad tym. - Romero poczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie. - Po myślałem sobie, że posyła najsłabszego w grupie, żeby w razie czego zająć się mną z Markiem. - Miał wrażenie, że nie ma w płucach nawet miligrama powietrza. Wziął kilka głębokich wdechów. - Ale przez cały czas, kiedy obserwowałem dom, nie powiedziałeś ani słowa.

Matthew nie poruszył się.

- Jesteś niemową. Dlatego John kazał ci przynieść telefon. Bo nie mogłeś sam zawiadomić policji.

- Przestań szydzić z mojego brata i napij się wody - powiedział John.

- Nie szydę z niego. Tylko...

- Pij!

Romero chwycił dzbanek, przystawił go do ust i przełknął, nie przejmując się kwaśnym smakiem w ustach, jaki pozostawiły wymioty. Chciał splukać zalegającą w ustach ślinę i żwir w gardle.

John wyjął z wiatrówki czystą chusteczkę i rzucił ją Romero.

- Zmocz ją. Zetrzyj krew z twarzy. Nie jesteśmy zwierzętami. Nie ma powodu pozbawiać kogokolwiek godności.

Zaskoczony tą uprzejmością Romero zrobił, co mu kazano. Wiedział, że im lepiej będągo traktować, tym większą będzie miał szansę ująć z życiem. Rozpaczliwie myślał nad sposobami wyjścia z sytuacji, w której się znalazł.

- Mylicie się, że policja nie bierze w tym udziału.

- Naprawdę? - John uniósł brwi i czekał, aż Romero powie coś więcej.

- Fakt, to nie jest oficjalna operacja, ale mam wsparcie. Powiedziałem mojemu sierżantowi, co zamierzam. Jeżeli nie będę dzwonił do niego co sześć godzin, zorientuje się, że stało się coś złego. Przyjedzie po mnie z kilkoma chłopakami.

- No, no, no. Naprawdę?

- Naprawdę.

- Dlaczego więc nie dzwonisz do niego i nie mówisz, że wszystko gra?

- Bo nie gra. Nie mam pojęcia, co tu się tak naprawdę dzieje, i nagle - uwierz mi - straciłem ochotę, by się dowiedzieć. Chcę tylko stąd odjechać.

W stodole zapadła cisza.

- Popełniłem błąd. - Romero wstał z trudem. - Nie powtórzę go. Znikam stąd. Widzicie mnie po raz ostatni. - Ledwo trzymając się na nogach, ruszył przed siebie.

John uważnie mu się przyglądał.

- Jeśli o mnie chodzi, to sprawę uważam za zakończoną- powiedział Romero i zrobił kolejny krok do wyjścia.

- Nie wierzę ci.

Romero minął Johna.

- Kłamiesz o telefonie i swoim sierżancie - powiedział John.

Romero szedł dalej.

- Jeżeli wkrótce do niego nie zadzwonię...

John zastąpił mu drogę.

- .. przyjedzie po mnie.

- I cię znajdzie.

- Zatrzymywanego wbrew woli.

- Więc zostaniemy oskarżeni o porwanie? - John rozłożył dłonie na boki. - Świetnie. Powiemy ławie przysięgłych, że chcieliśmy cię postraszyc, żebyś nas więcej nie nękał. Jestem gotów zaryzykować.

- O czym ty mówisz? - spytał Mark.

- Sprawdźmy, czy jego przyjaciele naprawdę przyjdą mu na ratunek. Jasna cholera, pomyślał Romero. Zrobił kolejny krok w kierunku wyjścia.

John wyciągnął zza paska pistolet.

- Nie! - krzyknął Mark.

- Matthew, pomóż Markowi z klapą.

- To się musi skończyć! - zawołał Mark. - To, co się stało z Matthew i Lukiem, to mało?

Jak mocno ściśnięta sprężyna, która nagle została puszczone, John zawirował w miejscu i uderzył Marka z taką siłą, że chłopak padł na klepisko.

- Od kiedy to ty rządysz w naszej rodzinie?

Mark starł krew z ust. Popatrzył na brata.

- Nie rządę. Ty rządysz.

- Zgadza się. Jestem najstarszy. Zawsze rządzi najstarszy. Gdybyś to ty był przeznaczony do rządzenia rodziną, urodziłbyś się pierwszy.

Mark milczał.

- Chcesz złamać zasady?

Mark spuścił wzrok.

- Nie.

- W takim razie pomóż Matthew z klapą.

Romero poczuł ucisk w żołądku. John celował do niego z pistoletu, a Matthew i Mark poszli do odleglejszego lewego kąta, odsunęli na bok stojącą tam beczkę ze zbożem i podnieśli ukrytą na poziomie ziemi klapę. Romero od razu uświadomił sobie, że jeżeli beczka zostanie odstawiona na miejsce, ktoś próbujący pchać klapę od dołu nie miałby szans nawet jej uchylić.

- Schodź na dół - rozkazał John.

Romero mocniej zakręciło się w głowie. Próbował opanować słabość, świadom, że musi coś zrobić, zanim jeszcze bardziej osłabnie. Gdyby John chciał mojej śmierci, już by mnie zabił, pomyślał. Ruszył w kierunku wrót stodoły.

- Mark!

Coś uderzyło Romero w nogi, podcięło go, sprawiło, że huknął ciężko głową o klepisko. Mark rzucił pałąk.

Bracia złapali go. Oszołomiony, próbował się szarpać i bić, ale nic to nie dawało. Sześć rąk przewlokło go po zapyłonym klepisku i wsadziło do otworu w ziemi. Gdyby nie złapał się drabinki, spadłby jak wór.

- Pewnie będziesz chciał się napić - powiedział John i podał mu dzbanek.

Z dołu ciągnął chłodny wiaterek. Romero z przerażeniem patrzył, jak kłapa nad nim się zamyka; po chwili chrobot poinformował go, że zasunęto ją beczką.

Boże, dopomóż mi...

Nie znalazł się jednak w ciemności. Kiedy popatrzył w dół, ujrzał słabe światło i - trzymany w rękach dzbanek sprawiał, że poruszał się dość nieporadnie - ostrożnie zszedł z drabiny. Na dole był krótki tunelik. Romero wszedł w niego. Odór gnijącej ziemi sprawił, że zacisnęły mu się nozdrza. Światło robiło się coraz jaśniejsze, aż w końcu Romero dotarł do jego źródła - wyłożonej płytami sklejk komórki z krzesłem i stołem. Podłoga też była wyłożona sklejka. Światło płynęło z nagiej żarówki zawieszanej na grubej belce na suficie. Z lewej strony pomieszczenia stało łóżko z czystą poduszką i kocem. Z prawej na drewnianej skrzyni ustawionej nad głęboką dziurą w ziemi zamocowana była deska klozetowa. Romero pomyślał, że chyba traci zmysły.

Powietrze - po zamknięciu kłapy o bardzo słabym ciągu - płynęło z otworu wentylacyjnego umieszczonego w górnej części ściany w głębi. Romero uznał, że przewód wentylacyjny jest długi i ma na końcu kratki tłumiące dźwięk, więc gdyby nawet zaczął wołać o pomoc, nie usłyszałby go nikt, kto znalazłby się na terenie farmy. Wentylacja dostarczała w każdym razie tyle powietrza, że Romero nie musiał się obawiać uduszenia. Miał masę zmartwień, ale to akurat było najmniejsze.

Sklejka na podłodze i ścianach była przebarwiona ze starości, ale poduszkę i koc musiano tu znieść niedawno - kiedy Romero powąchał poduszkę, pod ilastym odorkiem, który materiał zaczął wchłaniać, wyczuł zapach pralni.

Bracia nie mogli wiedzieć, że tu przyjadę. Spodziewali się kogoś innego.

Kogo?

Romero czuł jeszcze inny zapach. Próbował sobie wmówić, że to tylko wytwór jego wyobraźni, ale wyraźnie wyczuwał dolatujący ze ścian przepocony smrodek strachu - jakby w tym miejscu więziono już niejedną osobę.

Strach tak wysuszał mu usta, że musiał wziąć kilka łyków wody. Kiedy odstawiał dzbanek na stół, przyglądał się drzwiom, zamontowanym do-

kładnie naprzeciwko miejsca, gdzie stał. Były to proste drewniane drzwi zrobione z pionowych łat przytrzymywanych poziomymi deskami przybitymi u góry, pośrodku i na dole, napępiały go jednak obawą. Zdawał sobie sprawę, że będzie je musiał otworzyć i sprawdzić, czy kryje się za nimi jakaś możliwość ucieczki, i miał straszliwe przeczucie, że po drugiej stronie drzwi czeka na niego coś strasznego. Siłą woli kazał nogom się porużyć. Odmówiły. Kazał prawej ręce sięgnąć do klamki. Także odmówiła.

Spróbował uspokoić oddech. Choć w komórce było chłodno, po twarzy spływał mu pot. Usta miał za to bardziej suche niż przedtem. Znow napił się wody.

Otwórz drzwi.

Jego ciało z wahaniem posłuchało rozkazu, drżące nogi pokonały kilka metrów dzielących go od drzwi, drżąca ręka wyciągnęła się w kierunku klamki. Nic się nie wydarzyło i przez chwilę Romero wydawało się, że drzwi są zamknięte na klucz, kiedy jednak pociągnął mocniej, zaczęły się ze skrzypieniem otwierać. Zanim oczy zdążyły się przyzwyczaić do spowitych mrokiem cieni, nos wypełnił mu ziemisty zapach.

Przez straszliwą chwilę wydawało mu się, że patrzy na ciała. Mało brakowało, a zatoczyłby się do tyłu, wydając okrzyk przerażenia, resztką rozsądku kazała mu się jednak przyjrzeć dokładniej i stwierdzić, że patrzy na wypchane worki.

Kosze.

Półki...

...pełne warzyw.

Ziemniaki, buraki, rzepa, cebula.

Jezu, był w przechowalni warzyw pod domem! Choć smród go odrzucał, zaczął szukać drugich drzwi. Opukiwał ściany w nadziei, że usłyszy pusty dźwięk, który będzie oznaczał, że znalazł pustą przestrzeń - inne pomieszczenie albo nawet ścianę szczytową.

Nie znalazł niczego, co dodałoby otuchy.

- Oficerze Romero? - Słaby głos dolatywał z okolicy klapy wejściowej.

Romero wyszedł z piwniczki na warzywa i zamknął za sobą drzwi.

- Oficerze Romero?

Romero rozpoznał głos Johna. Ruszył naprzód i zatrzymał się w połowie korytarzyka, aby nie było go widać z otworu klapy. Ktoś świecił w dół latarką.

- Tak?

Przy drabinie stał koszyk. Prawdopodobnie John spuścił go na linie i wciągnął ją, zanim zawołał więźnia.

- Nie jestem głodny.

- Na pańskim miejscu bym jadł. W końcu nie wie pan, kiedy dostanie następny posiłek.

Pusty żołądek zacisnął się.

- Znajdzie pan w koszyku coś do czytania, co pomoże zabijać czas. Lawrence. Wydaje się odpowiednim autorem, bo mieszkał na ranchu nie daleko stąd, na północ od Taos. Został tam też pochowany.

- Nie obchodzi mnie to. Co zamierzacie ze mną zrobić? - Romero aż się zdziwił, słysząc własny głos - to, jak bardzo drżał.

John nie odpowiedział.

- Jeżeli pozwolicie mi odejść, zapomnę, że to wszystko się zdarzyło. Nie stało się nic takiego, czego nie można by odkręcić.

Kłapa zamknęła się. Błade światło zniknęło.

Szuranie na górze, kłapa znów została zablokowana beczką.

Romero miał ochotę krzyczeć.

Podniósł koszyk i sprawdził zawartość. Chleb, ser, krojona marchew, dwa jabłka... i książka. Był to zniszczony egzemplarz w twardej okładce, bez obwoluty. Napis na grzbiecie informował: D.H. Lawrence *Opowiadania wybrane*. W opowiadaniu *Kobieta, która odjechała*, tkwiła zakładka. Kartki w tej części książki przewracano tak często, że górne rogi niemal się przetarły.

Uderzenia, jakimi poczęstowano go w głowę, sprawiły, że czuł się, jakby wbito mu w nią kolec. Oddychając szybciej niż zwykle, bardziej otumaniony niż kiedykolwiek, wrócił do komórki. Postawił kosz na stole i usiadł na łóżku. Najchętniej by się położył, ale wiedział, że musi zajrzeć do zaznaczonego opowiadania. Jedno, co dało się na pewno powiedzieć o Johnie, to że nie działał bez namysłu. Opowiadanie musiało być ważne.

Romero otworzył książkę. Przez chwilę widział podwójnie. Zmusił wzrok do skupienia się i problem tak samo szybko zniknął, jak się pojawił. Widział wyraźnie, ale objaw był oczywisty: miał wstrząśnienie mózgu.

Muszę jechać do szpitala.

Cholera jasna, skup się!

*Kobieta, która odjechała.*

Akcja opowiadania rozgrywała się w Meksyku. Bohaterką była kobieta, która wyszła za męża za zamożnego przemysłowca, właściciela kopalni srebra w Sierra Madre. Miała dwoje dzieci - syna i córkę. Mąż ją uwielbiał. Miała wszelkie wygody, o jakich mogłaby zamarzyć, nie mogła się jednak pozbyć wrażenia, że coś ją dusi - jakby była kolejną własnością męża, jakby była przedmiotem do dyspozycji męża i dzieci. Coraz więcej czasu spędzała, patrząc z tęsknotą na góry. Ciekawiło ją, co tam jest. Na pewno coś pięknego. Któregoś dnia wyjechała konno, by nigdy nie wrócić.

Romero przestał czytać. Wstrząs wywołany przez rany wyssał z niego siły. Miał trudności z utrzymaniem głowy prosto. Znów dostał skurczów żołądka. Muszę zachować siły... Zmusił się do wstania, podszedł do koszyka, zjadł kawałek marchewki i kęs świeżego chleba o grubej, chrupiącej skórce. Napił się jeszcze trochę wody i wrócił do łóżka.

Przerwa nic nie dała. Wycieńczony tak samo jak przedtem, czytał dalej.

Kobieta wjechała w góry. Miała ze sobą żywność na kilka dni i pozwoliła koniowi wybierać, jaką drogą chce iść. Wspinali się coraz wyżej. Mijali sosny, osiki i topole, aż na jej drodze stanęli Indianie i zapytali, dokąd się udaje. Do ukrytych wiosek, odpowiedziała. Zobaczyć domy mieszkających w nich ludzi i poznać ich bogów. Indianie zaprowadzili ją do porośniętej bujną roślinnością doliny, w której stało kilkanaście niskich chat. Mieszkańcy wioski powitali kobietę i obiecali, że wszystkiego ją nauczą.

Romero znów widział podwójnie. Objawy wstrząśnienia mózgu najwyraźniej się pogarszały. Strach osłabiał go. Miał ochotę się położyć, ale zdawał sobie sprawę, że jeżeli zaśnie, może się już nigdy nie obudzić. Spanikowany stwierdził, że musi zacząć wzywać pomocy.

Kto go usłyszy? Nikt. Nawet bracia.

Otrząsnął się z odrętwienia, podszedł do stołu, wziął jeszcze jeden kęs chleba, ugryzł jabłko i usiadł, aby dokończyć opowiadanie.

Kobieta miała wrażenie, że znalazła się we wnętrzu snu. Mieszkańcy wioski dobrze ją traktowali, przynosili jej kwiaty i ubrania, jedzenie i napoje na miodzie. Spędziła kilka dni w przyjemnym odrętwieniu. Nigdy w życiu nie spała tak długo ani tak głęboko. Co wieczór hipnotyzowało ją bębnienie na placu. Czas płynął. Jesień przeszła w zimę, spadł śnieg. W najkrótszym dniu roku mieszkańcy wioski powiedzieli, że Słońce jest zagniewane. Że trzeba Słońcu podarować Księżyc. Zanieśli kobietę na ołtarz, rozebrali ją i wbili jej w serce nóż.

Wstrząsające zakończenie sprawiło, że Romero gwałtownie poderwał głowę. Śmierć kobiety była tym bardziej przerażająca, że nieszczęsna zdawała sobie sprawę, iż się zbliża, poddała się jej, nie próbowała walczyć, przyjęła ją niemal z radością.

Romero wzdrygnął się. Kiedy znów opadły mu powieki, przypomniał sobie o napojach na miodzie, które mieszkańcy wioski przynosili kobiecie.

Musieli ją odurzyć.

O cholera... z trudem uniósł opadającą głowę i popatrzył na koszyk i dzbanek.

Jedzenie i woda są zatrute.

Przetoczyła się przez niego fala strachu -jedynej emocji, jaką jeszcze był w stanie odczuwać. Głowa tak mu odrętwiała, że przestała boleć. Dłonie i stopy zdawały się nie należeć do reszty ciała. Zaraz zemdleję...

Zaczął się kłąć.

Nie!

Nie możesz.

Nie rób tego.

Zabieraj leniwe dupsko z tego łóżka. Jeżeli zaśniesz, umrzesz.

Kiwając się na boki, wstał. Zatoczył się w kierunku stołu. Uderzył w kant. Niemal przewrócił stół. Wyprostował się. Zatoczył się w kierunku ubikacji. Zgiął się wpół. Wsadził sobie palec w gardło. Zwymiotował wodę i jedzenie.

Kiwając się jak pijany, podreptał do drabiny, złapał ją, odwrócił się, poczłapał z powrotem, doszedł do drzwi piwniczki z warzywami, odwrócił się i powłókł się znów do drabiny.

Jeszcze raz.

Musisz chodzić.

Jeszcze raz.

Musisz utrzymać się na nogach.

Kolana ugięły się pod nim. Zmusił się do ich wyprostowania.

Zrobiło mu się szaro przed oczami. Zataczając się, szedł dalej, kierując się dotykiem.

Była to najtrudniejsza rzecz, jaką robił w życiu. Powtarzał sobie, że się nie podda. Zdanie zamieniło się w mantrę. Nie poddam się.

Czas się zamazywał, delirium stało się czymś zwykłym. W którymś momencie długiej męczarni wzrok zaczął mu się rozjaśniać, a nogi jakby odzyskiwały siłę. Kiedy wrócił ból głowy, pomyślał z nadzieją, że narkotyk przestał działać. Nie zataczał się już, a szedł.

Nie przestawał iść. Muszę być gotowy, powtarzał sobie. Kiedy umysł wrócił jako tako do normy, ogarnęły go wątpliwości. Dlaczego John chciał, żebym przeczytał to opowiadanie? Było przecież ostrzeżeniem przed jedzeniem i wodą.

A może wyjaśnieniem tego, co się działo? Propozycją dokonania wyboru? Oszczędź sobie strachu, czerp z dóbr tej ziemi i poddaj się tak, jak zrobiła kobieta.

Akurat!

Romero wylał niemal całą wodę do latryny. Spłukała jego wymiociny, ukryła, co zrobił. Zostawił kawałek chleba i kilka kawałków marchewki. Obgryzł jabłko i wypluł kawałki, zostawiając ogryzek. Zaniósł resztki do



piwniczki z warzywami i schował w najciemniejszym kącie, za koszami ziemniaków.

Popatrzył na zegarek. Kiedy wrzucili go do środka, była jedenasta rano, teraz dochodziła północ. Słyszając drapanie odsuwanej beczki, położył się na łóżku, zamknął oczy, zwiesił rękę za łóżko i spróbował na tyle opanować oddech, aby wyglądać na nieprzytomnego.

- Uważaj. Może udawać.
- Większość jedzenia zniknęła.

Złapały go ręce, uniosły. Ponieśli go korytarzem. Pomrukiwał, jakby nie chciał, żeby go budzono. Po założeniu mu uprząży jeden z braci wszedł na drabinę i ciągnął linę, podczas gdy pozostali podnosili go od dołu. Kiedy znalazł się na poziomie klepiska stodoły i zdjęto mu uprząż, zaczął kręcić głową i pomrukiwać.

- Sprawdźmy, czy może stać - powiedział John.

Romero lekko zamrugał powiekami, jakby mu mimowolnie drżały.

- Wraca do siebie - powiedział Mark.
- Więc będzie nam mógł pomóc.

Zanieśli go na dwór. Zaczął ruszać głową na boki, jakby zimne powietrze nieco go otrzeźwiło. Położyli go z tyłu pikapa. Dwóch braci siedziało przy nim, trzeci kierował. Noc była tak zimna, że pozwolił sobie na wzdrygnięcie.

- Tak, zdecydowanie przychodzi do siebie - powiedział John.

Samochód zatrzymał się. Podniesiono go i zaniecono na pole. Kiedy Romero odważył się lekko uchylić powieki, zdziwiło go, jak jasne jest światło księżyca. Był na tym samym polu, na którym poprzedniego dnia bracia zbierali kamienie.

Postawili go.

Udał, że się chwieje.

Serce waliło mu jak oszalałe, ale wiedział, że musi szybko coś zrobić. Do tej chwili czuł się wobec tej trójki bezradny. Stodoła była zbyt zamkniętym miejscem, aby próbować ucieczki. Potrzebował otwartej przestrzeni, gdzie mógłby biec. To pole będzie musiało mu wystarczyć, wiedział bowiem, że tu właśnie zamierzają go zabić.

- Ustaw go tak, żeby klęczał - rozkazał John.
- Ciągle jeszcze możemy to przerwać - odpowiedział Mark.
- Straciłeś wiarę?
- Nie... tylko...
- Odpowiedz: straciłeś wiarę?
- Nnn...nie.

- Więc ustaw go tak, żeby klęczał.

Romero pozwolił sobą manipulować. Serce tak mu waliło, że bał się, iż wyskoczy mu z piersi. Ostry kamień zranił go w kolano. Nie wolno mu było dać tego po sobie poznać.

Pochylili go do przodu, aż podparł się rękami. Jak zwierzę. Miał odkryty kark.

- Udowodnij swoją wiarę, Mark!

Coś skrobnęło - wyciągany z pochwy nóż. W świetle księżycy mignęła stal.

- Zrób to - powiedział John.

- Ale...

- Udowodnij swoją wiarę! Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

- Panie - zaczął John - Panie, przyjmij tę ofiarę w podzięcie za współmałość naszej ziemi i bogactwa, które rodzi. Krew...

Romero poczuł kolejny ostry kamień, tym razem pod dłonią. Objął go palcami i odwrócił się i z całej siły rzucił nim w głowę najbliższej z otaczających go postaci. Rozległ się głośny trzask, postać jęknęła i zaczęła się osuwać, a Romero wstał i wyszarpnął Markowi nóż z ręki. Wbił mu go w brzuch i ruszył na ostatniego z braci, w którym rozpoznał Johna - z pistoletem w ręku. Zanim Romero zdążył go zaatakować nożem, John zatoczył się do tyłu i wycelował. Romero nie miał innego wyboru, jak rzucić nożem. Trafił, nie wiedział jednak, czy ranił przeciwnika. W każdym razie atak sprawił, że John cofnął się jeszcze o krok, stracił cel i pocisk, który wystrzelił, trafił w ziemię. W tym momencie Romero chował się już za pikapem, po chwili był na ścieżce i biegł w kierunku domu. John znowu strzelił, pocisk odbił się od karoserii samochodu.

Gnany strachem Romero widział przed sobą światła domu, więc skręcił w lewo, aby nie stanowić celu na ich tle. Huknął trzeci strzał, kula śmignęła tuż obok i rozbiła okno domu. Zmuszał nogi do maksymalnego wysiłku. Oddychał z trudem. Po chwili usłyszał za plecami ryk silnika pikapa. Muszę zejść ze ścieżki... Skręcił jeszcze bardziej w lewo, przepełził przez płot i pobiegł przez pole boćwiny, miażdżąc młode, delikatne pędy.

Szukały go światła reflektorów. Pikap się zatrzymał. Ciszę przerwał czwarty wystrzał. John najwyraźniej uważał, że na tym odludziu nikt z sąsiadów nie usłyszy strzelaniny albo nie będzie się nią przejmował. Problemy z kojotami.

Piąty pocisk ukłuł lewe ramię Romero. Oddychając szybko i ciężko, kluczył zygakiem, równocześnie pochylał się i biegł - najszybciej, jak

mógł w zgiętej pozycji. Dotarł do następnego płotu, przecisnął się przez druty i pognał przez kolejne pole, deptając następne rośliny. Chyba była to rzepa.

Ryk silnika jadącego wiejską drogą pikapa robił się coraz głośniejszy.

Zaczął go zagłuszać inny ryk - kotłującej się rzeki. Światła domu znajdowały się teraz po prawej stronie Romero, on jednak chciał pozostać w ciemności. Woda w Rio Grandę łaskotała coraz głośniej.

Był prawie na miejscu. Jeżeli...

Światła pikapa zbliżały się.

Kolejny płot. Romero zanurkował między druty tak gwałtownie, że postrzelone ramię zapiekło do żywego, nie zwracał jednak uwagi na ból - światło księżyca pokazywało mu drogę do kładki. Pomknął przed siebie, cały czas słysząc za plecami silnik pikapa. Światła reflektorów odbijały się w spienionej rzece, szalejące białe grzywy zdawały się go przywoływać. Z okrzykiem triumfu dotarł do kładki, jego stopy załomotały o mokre drewno. Poślizgnął się. Kładka się zachybotała. Prysnęła na nią kolejna porcja wody. Romero stracił równowagę, o mało nie wpadł do rzeki, ale jakoś się pozbierał. Tuż obok śmignął kolejny pocisk. Po chwili był na drugim brzegu, nurkował między krzewami, wił się przez ciemność po prawej stronie. John strzelił dwa razy w miejsce, gdzie Romero wpadł między krzaki, uciekinier był już jednak dalej. Starał się jak najmniej hałasować, próbował uciszyć dyszący oddech.

Drapało go w gardle, bolała go klatka piersiowa. Dotknął lewego ramienia i poczuł dwa płyny - zimny i ciepły: wodę i krew. Trząsł się z zimna. Nie był w stanie opanować drżenia. Reflektory pikapa oświetlały wchodzącego na kładkę Johna. Pistolet trzymał w prawej dłoni. W lewej miał coś innego. Przedmiot błysnął. Dużej mocy latarka. Zaczął świecić na krzaki. Romero przywarł mocniej do ziemi.

John szedł po kładce.

- Liczyłem tak samo jak ty! - zawołał. - Osiem strzałów! Zanim wysiadłem z samochodu, policzyłem: zostało jeszcze siedem plus jeden w komorze!

W każdej chwili światło latarki mogło dosięgnąć miejsca, gdzie Romero się chował. Złapał kamień, wdzięczny losowi, że został raniony w lewe ramię, i rzucił. Kamień odbił się od kładki. Kiedy Romero pomknął w górę rzeki, John skierował latarkę w miejsce, skąd nadleciał kamień, i strzelił.

Tym razem Romero się nie zatrzymywał. Kamienie nie miały szans przeciwko pistoletowi. Mogło mu się poszczęścić, ale wołał nie kusić losu. John domyślał się, dokąd Romero biegnie, więc gdyby znów się

pokazał, aby kolejny raz rzucić kamieniem, miałby dużą szansę go oświecić i postrzelić.

Biegnij dalej w górę rzeki... niech John cię ściga. Nie celując, wysokim łukiem rzucił za siebie następny kamień, John nie dał się jednak oszukać, by strzelać na ślepo. Niech będzie, myślał Romero, pełznąc przez ciemne krzewy. Dopóki za mną podąża...

Ponton... Znaleźli moje obozowisko, znaleźli mój samochód.

Ale czy znaleźli ponton?

W ciemności trudno było zachować orientację. Pamiętał, że rzeka w pobliżu skręca. Tak... a biegnąca wzdłuż rzeki grań schodzi dość łagodnie do wody. Ruszył przed siebie, z rozmysłem robiąc tyle hałasu, żeby John go usłyszał i szedł za nim. Uzna, że panikuję. Aby nasilić efekt, rzucił za siebie kolejny kamień.

Gałąź smagneła go po twarzy. Wystarczyło, że przez chwilę nie uważał. Biegł dalej, dostrzegł, że brzeg zakręca, ujrzał przed sobą opadający ku rzece stok i zaczął gorączkowo przeszukiwać krzaki. Potknął się o ponton i niemal rozbił sobie głowę o kamienie, którymi go obciążył.

Światło latarki Johna kłuło krzaki, szukało go.

Szybciej!

Romero zdjął kurtkę, napchał do niej kamieni, położył ją na tych dwóch, które już leżały we wnętrzu pontonu i pociągnął ponton ku rzece. John usłyszał hałas i przesunął światło latarki, Romero zdażył jednak schować się w krzakach. Prąd ścigał ponton na środek rzeki. W świetle księżycy i latarki wypchana kamieniami kurtka wyglądała, jakby to Romero kulił się w środku w nadziei, że nie zostanie postrzelony.

John odwrócił się w stronę rzeki i strzelił. Raz, potem drugi. Z lufy błysnęły długie jęzory ognia, ale strzały ledwie było słychać na tle dudniącej wody. Woda zagłuszała także ruchy Romero, który wyskoczył z krzaków i uderzył z całym impetem w Johna. Objął go za szyję ranną ręką, a drugą złapał pistolet.

Siła impetu wrzuciła ich do wody. Prąd natychmiast ich porwał - jego potęgą była nie mniej wstrząsająca niż zimno. Głowa Johna została wciągnięta pod wodę. Trzymając go, próbując utrzymać go pod wodą, Romero także musiał walczyć z rzeką rzucającą nim na boki. Prąd najpierw wyśoko go wyniósł, potem zrzucił w dół. Zimno było tak przenikliwe, że całe jego ciało odrętwiało, mimo to dalej dusił Johna i starał się wyrwać mu pistolet. Wyprzedził ich wielki pień. Prąd odwrócił Romero brzuchem do góry. John przebił się nad powierzchnię, Romero zanurzył się pod wodę. Ręce Johna wpychały go jeszcze głębiej. Romero zaczął kopać. Zdawało mu się, że słyszy krzyk Johna, który się od niego oderwał i wypłynął na

powierzchnię. Był dwa metry od niego - próbował utrzymać się nad wodą i wycelować z pistoletu. Romero zanurkował. Słyszając strzał, użył siły prądu do głębszego zanurzenia się, po czym wyprysnął na wierzch po prawej stronie Johna, złapał go za rękę i energicznie mu ją wykręcił.

Ty skurwielu... jeżeli mam umrzeć, to razem z tobą. Wciągnął Johna pod wodę. Uderzyli o podwodny głaz, ból sprawił, że Romero zawył. Łapiąc łąpczywie powietrze, przebił się nad powierzchnię. Ujrzał przed sobą Johna, który do niego celował. Zobaczył oświetlające kładkę reflektory pikapa. I wielki pień zakleszczony między rzeką a kładką. Zanim John zdążył strzelić, huknął z impetem w grubą gałąź. Chwilę potem z drzewem zderzył się Romero. Uwięziony w gałęziach, pchany rwącym prądem Romero wyciągnął ręce po pistolet, John był jednak w lepszej sytuacji - celował do niego z bezpośredniej odległości. Ale zanim strzelił, jego twarz wykrzywiła się w zaskoczeniu - z kładki spadł mu na głowę wielki kamień, rozłupując czaszkę.

Romero ledwie uświadamiał sobie obecność Matthew na kładce. Był zbyt sparaliżowany przerażeniem i widokiem krwi spływającej po twarzy Johna. Chwilę później rzucona ku rzece belka trafiła Johna i przycisnęła go jeszcze bardziej do pnia drzewa. Kiedy gałąź, rzucona belka i John oderwali się od pnia, by zniknąć w wirze, Romero zdawało się, że widzi wystające z piersi Johna drewno. Pchnięty przez poruszającą się masę, wyciągnął ręce w górę, próbując złapać się kładki. Nie udało mu się. Przemknął pod kładką i spróbował złapać się z drugiej strony; napiął ciało w oczekiwaniu uderzenia w głaz i z obawy, że straci przytomność. Nagle coś go złapało. Ręce. Matthew leżał na kładce, wyciągał się w dół najbardziej jak umiał i trzymał Romero za koszulę. Romero próbował mu pomóc, starał się przy tym nie patrzeć na ranę na czole i rozbite prawe oko, gdzie trafił go kamieniem. Trzymał Matthew za przedramię, podciągał się, czuł przepływające mu wokół nóg śmieci i nagle poczuł, że leży na kładce. Oddychał łąpczywie, próbował powstrzymać drżenie ciała.

- Nienawidzę go - powiedział Matthew.

Przez chwilę Romero był pewien, że to igraszka zmysłów, że strzały i huk wody sprawiły, że słyszy coś, czego nie ma.

- Nienawidzę go - powtórzył Matthew.

- Boże, ty umiesz mówić...

Później Romero się dowiedział, że chłopak odezwał się po raz pierwszy od dwunastu lat.

- Nienawidzę go - powtórzył Matthew. - Nienawidzę nienawidzenie nienawidzenie nienawidzę...

Uwolnwszy się z ucisku milczenia, który ciążył na nim przez prawie dwie trzecie życia, Matthew mówił niemal bez przerwy. Mówił, kiedy poszli sprawdzić, co z Markiem i okazało się, że nie żyje; mówił, kiedy poszli do domu i Romero wezwał policję, mówił, kiedy się przebierali, kiedy Romero opatrywał chłopaka i kiedy czekali na policję. O wschodzie słońca na farmie pojawiły się radiowozy. Histeryczna litania Matthew nabierała tempa, aż lekarz musiał mu podać środki uspokajające i zabrano go karetką.

Wśród policjantów był ten, którego Romero prosił kiedyś o wsparcie. Wkrótce przyjechali z Santa Fe komendant Romero i jego sierżant. Zaczęto już ekshumacje i pokazały się pierwsze ciała. A właściwie to, co z nich zostało po tym, jak krew została wylana na pola, a korpusy pocięto na kawałki.

- Dobry Boże, ile ich tu jest?! - powiedział jeden z policjantów. Na polach znajdowano coraz więcej ciał.

- Robili to, odkąd Matthew sięga pamięcią - wyjaśnił Romero. - Matka umarła przy jego porodzie. Pochowali ją na jednym z pól. Ojciec zmarł na atak serca trzy lata temu. Nigdy nikomu o tym nie powiedzieli. Po prostu gdzieś go zakopali. Co roku w dniu uważanym za ostatni z możliwością przymrozku - piętnastego maja - składali kogoś w ofierze. Za zwyczaj był to ktoś bezdomny, kogo nikt nie szukał. W zeszłym roku byli to Susan Crowell i jej narzeczony. Mieli pecha, że złapali gumę pod samą farmą. Przyszli i poprosili o udostępnienie telefonu. Kiedy John się dowiedział, że są z innego stanu...

- Ale dlaczego? - spytał przerażony komendant.

- Aby dać ziemi życie. O tym właśnie jest opowiadanie D.H. Lawrence'a. O płodności ziemi i przechodzeniu jednej pory roku w drugą. Podejrzewam, że tak mniej więcej John wyjaśniałby ofiarom, dlaczego muszą umrzeć.

- A skąd w tym wszystkim buty? - spytał komendant. - Nie rozumiem, co mają znaczyć buty.

- Lukę je wyrzucał.

- Czwarty brat?

- Tak. Leży na którymś polu. Popełnił samobójstwo.

Komendant wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- Na wiosnę, zanim warzywa dojrzały, Lukę jeździł do Santa Fe z kamieniami. Codziennie przejeżdżał Old Pecos Trail. Dwa razy dziennie mijał kościół baptystów. I miał coraz większe wyrzuty sumienia. Matthew zdawał sobie z tego sprawę, ale nie podejrzewał, jak bliski załamania był jego brat. Ten kościół był próbą odkupienia Luke'a. Któregoś dnia zobaczył leżące na ulicy niedaleko kościoła stare buty.

- Chce pan powiedzieć, że to nie on wyrzucił pierwsze?
  - Nie, ktoś zrobił głupi żart, nasunęło mu to jednak pomysł. Uznał, że to znak od Boga. Dwa lata temu zaczął wyrzucać buty ofiar. Zawsze mieli z nimi problem. Ubrania gniją w miarę szybko, ale z butami trwa to bar-
- \ dzo długo. John kazał je wyrzucać do śmietników w Santa Fe, ale Lukę nie mógł się na to zdobyć, tak samo jak nie był w stanie wejść do kościoła i pomodlić się o swoją duszę. Mógł jednak wyrzucić buty w okolicy kościoła w nadziei, że zostanie mu wybaczone, a ofiary ich rodziny dostąpią zbawienia.
- Rok później wyrzucił buty ze stopami w środku - powiedział komendant.
  - John nie wiedział, że Lukę zabrał te buty. Kiedy się o tym dowiedział, zamknął brata w komórce. Pewnego dnia Lukę uciekł, ukląkł na polu i poderżnął sobie gardło.

Zapadło milczenie. Z oddali dobiegł krzyk, że znaleziono kolejne ciała.

»

Romero dostał płatne zwolnienie lekarskie. Przez cztery lata raz na tydzień chodził do psychiatry. Kiedy ludzie, z którymi się spotykał, oznaj -miali, że są wegetarianami, oświadczał: „Też kiedyś byłem, ale teraz jestem mięsożerny”. Oczywiście nie mógł jeść samego mięsa. Organizm ludzki potrzebuje witamin i minerałów dostarczanych przez warzywa, więc choć próbował różnych tabletek i preparatów, w końcu stwierdził, że nie potrafi całkowicie wyrzec się warzyw. Jadł je z ponurą miną, bo zawsze przypominały mu się wtedy pyszne, ogromne, zdrowe pomidory, ogórki, papryka, dynie, kapusta, groch, fasola, marchew i boćwina, które hodowali bracia Parsonsowie. Widząc, czym je nawozili, Romero żuł i żuł, ale warzywa stawały mu w gardle.